

I/686

III

O. Serafin Kaszuba

" S T R Z E P Y "

Wspomnienia pisane w Kazachstanie w latach 1966 - 1967

/Cyfry w nawiasach wskazują numerację stron rękopisu. Od strony 289 zaczyna się nasza paginacja/

Strzępy!

/1/ 11.IV. Dziś ósma rocznica. Taki sam słoneczny, kwietniowy dzień. Tylko że to było Róme, kościół, w którym jeszcze rano odprawiłem Mszę św., choć było już wezwanie od Demczenka i kłębiło się niejasne przecucie. Przecież wczoraj wyszedł paszkwil "o zemnych dziełach". Pomodliliśmy się za zdrajców - coś w rodzaju "nie wiedza, co czynią". Zdaje się, że Teofila była w kościele i jeszcze nie wiele osób. I oto słyszę słowa Demczenka: "Od dzisiaj nie masz prawa".

Rano przypomniało mi się, że to właśnie dzisiejszy dzień. Opowiadałem o tym trochę Aleksandrowi i czuję się źle. Może dlatego, że rano wyszedłem na przymrozek, a może że to dziś wielkanocny Poniedziałek i gospodarze wyszli z chaty na modlitwy a ja chodzę po mieszkaniu, jak ptak w klatce. I oto nagle przyszła myśl: pisać. Teraz już nie ważne, dla kogo i po co. Po prostu niech się rozwija taśma i chwytą wspomnienia, choć pozostały tylko strzępy. Kiedyś były jakieś ambicje pisarskie. Staje mi przed oczyma ten /2/ gruby profesor od robót z moim jakimś wypracowaniem w ręce. Później wysmiano mój drewniany sonet. Ale wciąż powracała chęć pisania. I gdyby tak rozpocząć tam we Lwowie choćby w piwnicy drżącej od bomb od owych ostatnich Zaduszek na Łyczakowie.

Nie i nie - wszystko się rwało i parło naprzód jak fałs. I oto teraz Arykty. Beznadziejnych pięć lat w błotem odciętej od świata azjatyckiej dziurze. Pisać, pisać. Niech dzień po dniu nawija się jak przędza kłębek myśli i wspomnień. Oby wreszcie doczekać się Chleba i Wina. Właściwie tylko tego mi potrzeba. Wczoraj słyszeliśmy z Wetykanu ukraińską liturgię. Codzień odprawiamy Mszę św. bez postaci. Już z góry miesiąc w różnych kazanatach, byle nie zapomnieć. Nie ma brewiarza ni mszału, tylko stary niemiecki Goffine, a zacny Georgij ma różne prywatne modlitewki. Co za zacni ludzie On i Aleksander! Karmią i goszczą bezinteresownie biednego zesłańca. Rosa też poczerwości niewiasta. Za chwilę przypomnimy sobie Enaus.

/3/ Wczoraj przeżyłem Misterium Wielkanocne - od rana do nocy - jak nigdy. Tak można cudownie wypełnić czas świąteczny. Krok za krokiem: Niewiasty - potem jeszcze sama Magdalena - Piotr i Jan - Uczniowie w drodze - wreszcie: "Pokój Wam" w wieczniku. Cudownie! Jak film. Wogóle jak wspaniałym darem Bożym jest pamięć.

W pierwszych dniach uwięzienia byłem jak ten, który z drogich kamyków odtwarza mozaikę. Tak powstał kanon, litanie i wiele pieśni. To ratowało doskonale od nudy.

12.IV. Mama gdzieś wyszła i pozostawiła mnie samego w ciasnej sionce naszego domu. Tylko tam pełno rupieci i starego drewna. Chciałem to uprzątnąć zanim ktoś nadejdzie ale przemógł sen. I oto nagle błysk - raz i drugi, jakby ktoś świecił latarką w nieodkryte drzwi. Dzień. Może mój dziękuję Ci! Jeszcze jeden. Do rozmyślania nasunęły mi się słowa Marii: "wina nie mają". Tak Matko, Ty wiesz, że tego trzeba. A te świątne słowa Jezusa potem wyrzeczzone, jakie pełne głębi: Co mnie i Tobie? Nasze myśli są inne. /4/ Wino - krew moja. Jeszcze nie przyszła godzina - a kiedy wreszcie przyjdzie?

Kantora sowchozu znajduje się niedaleko - parę minut drogi - przedtem szkoła mektebi, na drugim końcu tejże ulicy - szpital. Prócz tego jest jeszcze poczta z przysadkowatym kozakiem z wieczną czarną czapą na głowie, parę magazynów mało kiedy w porę otwartych, no i bania w piątek dla kobiet, a w sobotę zapchana płcią brzydką. Wszystko razem nie wiele więcej jak nasz Zamarstynów - ale ten dawniejszy, bo teraz to już kawałek Lwowa.

W kantorze bywam codziennie od przyjazdu z Kurgaldzino. Nawet pierwszą noc spędziliśmy tam z towarzyszami na podłodze. Potem parę dni nie było dyrektora. Potem kazał wziąć sprawkę od doktora, potem czekaliśmy uczestkowego i oto dziś ruszyło coś naprzód. Przyjechał milicjant, dostaliśmy jeszcze jedną sprawkę, bo tamta zginęła i uradzili coś dla mnie niezrozumianego.

A teraz codziennie czytanie biblii. Podobno luteranska ma 1400 błędów, ale teraz to dla mnie jeżyny pokarm.

/5/ Dobrze, że policzyłem w kalendarzu. Wszak to dziś dziewiąty wtorek. Nasza nowenna. Trzyście już minęło ale to było w poscie, a teraz świąteczna. Przystroście ołtarz - wyżej i wyżej aż do samej góry. Więcej swiatła i zieleni - Leon niech zrobi piękną girlandę. Mikołaju, Irko, Heleno - może i kwiatów jest jeszcze, może Sokoły nie odleciały - śpiewajcie żywo: "Jeśli cudów szukasz". Tak my ich szukamy, a one idą za nami. Może to są te lata łaski, których owoce wciąż trwają - może to ta drobna cząsteczka towarzysząca nam nieustannie jest symbolem tej nieustannej opieki nigdy nie zawodzącej zaufania. O św. Antoni! Zbyszek - nie - nie ma Zbyszka, nie ma

i p. Róży może i was nie ma! Wszystko rozpiływa się w mroku - gasną światła, niknie ołtarz, milkną śpiewy a w moim ręku jedynie niemiecka modlitwa, a przed oczyma koszmar tamtej nocy.

Ulice obstawione kordonem a z kościoła otwartego jak rozdarte Serce Ebawiciela - wywożą wszystko po kolei - ołtarze, ławki, obrazy. Gdzie byłeś Józefie drogi, beznogi żebraku, kiedy twój dar z latami uciulanych groszy zamali jak niepotrzebny grat? A ty Chryste w cierniowej koronie, czy i /6/ wtedy szeptałeś: nie wiedzą, co czynią? Kiedy Cię przewieziono w zamkniętym więzieniu do muzeum byłeś całkiem doszownie pogardą i pośmiewiskiem spóółstwa. A obrazy z Aleksandrii i Szpanowa - pamiętasz Januszko, jak je ostrożnie wieźliśmy, żeby nie uszkodzić. Serce Jezusowe królujące nad wielkim ołtarzem! Częstochowska, jaśniejąca w światłach! Uśmiechnięta srodka Tereska i ten pipny Papież Eucharystii, jakiego nigdzie więcej nie było! Wszystko na zwak jak niepotrzebne rupiecie.

"Deus venerunt gentes in haereditatam tuam". A potem dzwony wydarto jak serce z martwego już ciała, a zbrodniarz co zżymał krzyż, powiesił się podobno jak Judasz. Przestał wołać polski Dóg - ale czy przestał żyć? Czy ta garstka udręczonych, która modli się teraz na grobach, nie jest tym ziarnem, które musi obumrzeć, aby przynieść owoc?

13.IV. Dzisiaj Chrystus ukazał się uczniom nad jeziorem. A rytky też opływiają wody. Chciałem je obejść ale szeroko rozlane, gdzieś daleko sięgają horyzontu. Może to tylko wiosenne roztopy, które potem wyschną. /7/ Wody! Tantych też już teraz nie ma śladu, a przecież pochłonięły nasze dzieciące życie. Czemu przypomina mi się teraz ta pierwsza ale od razu okrutna tragedia? Powoli niksące w czeluści ręce brata, bat nielitościwego pastucha, rozpacz matki, a potem gdzieś - może tylko w głębi duszy słyszane słowa: "teraz ty musisz jego zastąpić". Do przecież on miał być księdzem. Miał już swój ołtarz, głosił kazania i był dzielnym ministrantem. Teraz trzeba zrezygnować z kariery wojskowej i dźwigać naprzód siebie mszał, choć głowa nie dostawała do mensy. A kiedy się potkniesz i runiesz na pulpit jak długi, usłyszysz słowa pociechy: "to się może zdarzyć, takiemu, co ma żonę i dzieci". Więc się szeptało w drodze modlitwę dziecinną: jeśli chcesz, przyjmij mnie do swojej czeladki.

Ale woda zawsze była straszna i przy Mamie nie wolno było o niej wspomnieć. Wciąż nie wiedziała o przejażdżkach kajakiem i kąpielach w Sanie.

A Tatry i Morskie Oko z Kryotyną! Dalekie echo harcerskich pieśni o potem zaczarowany Staw Ciemnosmreczyński: "już słońeczko na zachodzie, przegląda się w cichej wodzie". Hej lata, lata - /c/ jak ta cicha woda, bez szmeru płyną i płyną i cicho jak szept tatrzańskich sosen donosi się ostatnie echo: "rybaku wiosła złóż i na brzeg wracaj już ..." hej.

Ale brzeg jeszcze daleko. Od Bałtyku po Szarne Morze, od Nowy do Irtyszu snują się srebrne nici wspomnień.

Pewnie to było wczesną jesienią, kiedyśny się wybrali z Mikołajem przez Rygę do Tartu i wtedy zetknęliśmy się z morzem. Było spokojne i szare, obojętne na zalewające brzegi ludzkie mrowie i tylko siłą wyobraźni można było widzieć podnoszące się groźnie białe fale, rozpięte żagle i jakieś wojska wikingów wędrujące tropem Smętka. Jakże inaczej tam na południu! Wszystko tohnie egzotycznym piękniem, że człowiek się gorszy, kiedy widzi obojętnie patrzących na cuda natury. Jadąc na Krym odświeżałem w pamięci "Sonety", ale śladami Mickiewicza iść nie można - chyba w Bachczysaraju szukać grobu wygnanki, w obliczu Czatyrdahu odsłonić głowę i modlić się po cichu z uczuciem. Zresztą na wszystko nie było czasu. W Jałcie na jednym grobie jest napis: /9/ "teraz masz już czas". Tak, ale to "teraz" jeszcze nie przyszło. U schodziło się parę osób: doktor, matka, żona i ta warszawianka, która z górą 30 lat ...

W kościele muzeum, w wielkim ołtarzu Lenin. Idźmy prędzej nad morze, zanim brzegi oblepi ludzkie mięso. Można wpatrywać się w toń i nie odrywać wzroku. Woda mieni się szmaragdem i opalem może i chryzolitem, czy wógoie nienazwanym kolorem, tylko gdzieś w dali może czerń usprawiedliwiająca nazwę. Mijamy siedząc na statku "jaskółcze gniazdo" i oto Ażupka - chaos, koniec czy początek świata, kotłowisko bezkształtnych brył. Pałac Woroncowa, zwykle muzeum mało nas obchodzi, ale cuda przyrody w nikityńskim parku wprawiają w ekstazę. A poprzez gałęzie drzew, załamania pagórków - woda morza. A rzeki?

Mickiewicz z obczyzny nie wrócił nad ojczysty Niemen i tylko "duszę utęsknioną" prznosił do jego ukwieconych brzegów. Nasza

droga inna i inne czasy. Cdzie, kiedy człowiek przegląda się w jakiejś wodzie, jak trudno wygrzebać z pamięci. Czas płynie jak woda i niesie wszystko w swych falach kwiecie i śmieci - dobro i zło, /10/ na zatracenie.

Przełom nie dawał mi spokoju. Wystarczyło, że tam są bracie, aby ich szukać. I oto już witam. Prawdziwi, w habitach, z brodami - trzech, bo jest jeszcze Ernest, organista z bożym darem. Jak pięknie ustronie wybrano tu na zbożne wywczasy! Na wysokim brzegu Niemna, wśród drzew jak marzenie nagle wystrzela wieżyczka z krzyżem. Obok w zaroślach pustelnia, gdzie brat Kryspin ma swój warsztacik i gospodarenkę. W kościele po kapucyńsku proste urządzenie, w ołtarzu oryginalna Madonna i św. Jerzy. Jakże zapomnieć nieliczne dni tam spędzone, które utrwaliła nawet ateist. propaganda - ale to dopiero potem. Teraz chodzimy z Ernestem po wonnym kobiercu kwiatów i wdychamy ozon. Nie ma w tym żadnej przesady. Tak obfitej ilości ziół i kwiatów, traw i pnączy nie ma chyba nigdzie więcej - "gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, gdzie panińskim runieńcem dzięcieliną pała". Ale to mało - trzeba by jeszcze przypomnieć borowiki i smardze i wierzby płaczące jak wdowy i mateczniki lecz zajężdża statek i płyniemy do Grodna.

Cichy Niemen przepasuje miasto jak triumfalna wstęga. Przegląda /11/ się w nim starożytna fara i Bernardyni i najbliższy mu franciszkański kościół - cacko wymalowany przez artystę proboszcza. Czy cię kiedy jeszcze zobaczą miasto Kazimierzowe?

I teraz jedziemy Dźwiną. Majestatyczna jej nazwa brzmi Dalgava a miasto nad jej brzegiem, dawna obronna twierdza Dalgavpils. W trzech częściach zniszczone z trudem się odbudowuje, ale rzeka taka sama jak od wieków, spokojna, rozlewna, pełna majestatu. Statek zajężdża do małych przystani wysadzając nielicznych pasażerów. Wreszcie Elerna. Kościółek małeńki i skromny ale miły i przytulny, jak jego gospodarz o. Piotr, jeden z piątki wysłużonej na Kazachstanie. Ochają go owieczki, bo trudzi się też mówić po polsku, co czasem wychodzi niefortunnie, jak owe "tłuste deski". Była pierwsza Komunia św. z całą uroczystością, gdzieś około św. Piotra. Może to nie przypadek, że powracamy do ewangelii. Piotr nóżnagi rzuca się w morze na spotkanie Pana a inni dźwigają sieci z mnóstwem ryb, a Jezus wszystkim zastawia ucztę. Czy ta wędrówka po morzach i rzekach,

która mi wypełniła /12/ dzisiejszy dzień a przedtem wiele lat, przyniosła jaki owoc? "Panie Ty wszystko wiesz".

14.IV. Przymrozek już lżejszy, drogi wysychają, wczoraj była poezja a dla nas nic. Obawiam się, że może zatrzymują lub też, jak w Psalmie: Omnes vicini mei spreverunt me, obliti sunt amici mei", choć to ostatnie mało prawdopodobne. Aleksander pisał, że w czternastym dniu już go P.Jezus obficie pocieszył, a ja już drugi miesiąc stoję codziennie jak Magdalena przed pustym grobem ze łzami - quando veniam et apparebo ante faciem Domini? Ale Aleks. przedtem wiele pracował i wiele cierpiał. A ja?

Wtedy przybyłem po raz pierwszy, jego właśnie zabrali. Ciekawa to była jazda i niezapomniany dzień. W Aleksiejewce było wszystko przygotowane, bilety kupione, ale Msza św. przeciągnęła się i pociągu już nie zastaliśmy. Helena pojechała, lecz bilet drogo opłacony pozostał i z drogi wracać się nie rażno. Zaczęła się gonitwa najpierw autobusem, czy jakąś maszyną, do Symf. potem samolotem do Moskwy. Wszystko szło wspaniale. Na pociąg z Krymu trzeba było jeszcze długo czekać. Wreszcie /13/ nadszedł, ale Heleny nie ma. Nie ma ni przy wyjściu z peronu ni w poczekalniach. Wędrowka z jednej stacji na drugą nie dała rezultatu. Któżby myślał, że ona czekała równie niecierpliwie na peronie?

Wypadło pierwszą daleką podróż odbyć samemu i zjawić się na nieznannej stacji w jesienny zabłocony dzień z jednym tylko adresem w pamięci. Ale Taincza to nie Leningrad ni nawet Symferopol. Rychło nie rychło dobrnęło się do Zapadnej i oto pierwsze ciekawe spotkanie. Zaraz po mszy św. proszą do chorego. Skąd się dowiedzieli? Myśmy widzieli na ulicy!

Wtedy słyszałem wiele o Aleksym, jego apostołskim zapale i owocach gorliwości. Legenda, jak ta, która opromieniała jego imiennika syna Eufemiana. Potem widziałem gdzieś daleko u jakichś Niemców jego nabożnie przechowywaną fotografię i nigdy jej nie zapomnę. Szczupła ascetyczna postać, śniada pociągła twarz, ale szczególnie oczy wpatrzone gdzieś w dal czy w głębię czyjejś duszy, mówią bez pytania, że to on Apostoł-męczennik. Takim był pewnie w czasie dolegliwych badań, a potem na śmiertelnym operacyjnym stole. Iść w jego ślady - nie /14/ pozwolić zginąć plonom przez niego zasianym! Czy to był hazard, czy myśl od Boga? Z jednym chorym uchem i wogóle

małym przygotowaniem do apostołskiej pracy cóż możesz zrobić dobrego. Wracaj, porzuć, przyjdzie lepszy od ciebie!

Może mój, jakże dobry jesteś! Przyszła posyłka! Wszystko!
15.IV. Muszę napisać Kati, że zgrzeszyłem zaczynając wątpić. I ona przyłeciałaby na skrzydłach. Ale też to było tak niespodzianie. Prosiłem Aleksandra, czyby nie zechciał jeszcze raz zadzwonić do Blumów, bo przed Świętami się nie udało. Pocieszył mnie, że wkrótce będzie sposobność maszyną do Celinogrodu. Czytałem Dzieje Apostolskie aż do bólu głowy, bo to takie interesujące, że trudno się oderwać. I przy tym na każdym kroku coś dla mnie. Wp. ten upór Pawła w powrocie do Jerozolimy, choć wiedział, że tam czynią na jego życie. Ale on miał z pewnością specjalne natchnienie i zadanie do spełnienia. Może chciał odpokutować swoje dawne życie. /15/ Lub znowu jego praca przy apostołstwie. Zawsze był zajęty. Czy nie lepiej było chwycić się byle czego i siedzieć spokojnie w Tainczy? Jest nad czym rozmyślać na godzinnej przechadzce wokół Arykty. Przy tym po drodze zawsze się coś znajdzie. Pierwszy raz była to stara robocza rękawica /moje skórkowe zginęły w przyjemnej kaverie/ potem dwie kopiejki, potem jedna - lusterko z moskiewskim widokiem i oto wczoraj kępkę włosienia a opodał kawałek białego przewodu. To też się na coś przyda. Na ganek Aleksander z tajemniczą miną, a w domu - paczka. Te Deum laudamus! Nie mogę mówić ni myśleć. I więc zacznie się nowe życie - znowu z Nim i przy Nim! Mistrzu! Magdalena płacze - a ja już nawet płakać nie mogę, chyba potem po Mszy św. pocichutka. W czasie Mszy św. przyszła niespodzianie jeszcze jedna kobieta, więc było ich czworo. Dziś rano tylko dwoje gospodarzy - ale to nic - teraz już mi nic więcej nie potrzeba.

Gospodarzom powiedzieli, że dają im kwatery. A więc już oficjalnie jestem zainstalowany.

/16/ 16.IV. Moje "nakazanie" liczy się od 16 marca, a więc dzisiaj upływa pierwszy miesiąc. A ile ich jeszcze? Nie mam ochoty liczyć, bo P.Bóg jeden wie, co mi przeznaczył. Jak dziwne są te drogi, którymi mnie prowadzi. Przecież w Arykty nie byłoby kapłana, gdyby nie moje nosielenie. Wczoraj pierwszych pięcioro spowiadało się, a dzisiaj raniutko mieliśmy uroczystą Mszę św. Piotr św. przemawiał tklawie do nowo ochrzczonych dzieci. To stosowało się także do odrodzonych w łasce sakramentalnej " złożywszy złość ... jak nowonar-

dzone dzieci pokrzepiajcie się duchowym, niefakszowanym mlekiem - a poznacie jak słodki jest Pan". Ile ich jeszcze znajdzie się tych "żywych kamieni" dla odbudowy duchowego domu?

Pokazuje się, że nie rozumiałem. Na kwateranta dają doktora. A co ze mną zrobią? znowu zogałka. Na przechadzce spotkałem moich towarzyszy z więzienia. Jeden z nich chorował w szpitalu. Znalazłem kawałek żelaziwa, który może służyć za świecznik, ale czy się przyda? Aleksander prosił mnie do siebie. Choć protestant, ma w mieszkaniu obraz Serca Jezusowego i jest niezwykle gościnnie.

/17/ 17.IV. niedz.in Albis. A jednak przydało się i to nadzwyczajnie. Przyjechały trzy niewiasty, jakby trzy wielkanocne Maryje. Samolotem a potem pieszo szły 12 km. Człowiek nie godzien takiego poświęcenia. Ledwie zalażły z tłumokami do Aleksandra. Dziś rano cieszyliśmy się razem Dawcą Pokoju, a teraz wzajemnym opowiadaniom nie ma końca. Tymczasem na dworze siąpi deszcz i robi się nowe błoto. Nie wyobrażam sobie, jak będą mogły wrócić.

18.IV. Deszcz padał długo, drogi rozmiękły, ale znalazła się maszyna do rejonu - i oto znowu jestem sam. Zdawałoby się, że to minął dobry sen, gdyby nie stos przywiezionych rzeczy - i chaos w głowie. Tak dobrze czułem się żebrakiem bez kopiejki, a oto teraz znowu jest to i owo i mamona do rozporządzenia. Trudno, nie mogą nadużywać bezinteresownej gościnności. Rzeczy schowano do kufra, a mnie trzeba uporządkować nagromadzony obficie materiał. A więc Maria przyjeżdża za mną trzy razy. Jak ta prawdziwa Magdalena! W piątek przyszli z pierwszą wizytą i wtedy dowiedziała się, że jestem /18/ w ich rękach. Zabrali książki do nabożeństwa, ale nic więcej. W poniedziałek wybrali się na poszukiwanie w celinogradzkich kazań. Kazimierz był w Harag/andzie/. Wszystko na próżno. Tymczasem w mieszkaniu wyłamali drzwi i zabrali resztę pozostałych książek. Bandyci?, nie, Pięciu przedstawicieli władzy. Maria zrobiła wotum, że nie spocznie, aż znajdzie. Druga podróż była równie bezowocna, ale przyszedł list i oto wybrały się już teraz dwie z Józefą. W Akm/olińsku/ przyłączyła się Emma. Leciały po raz pierwszy samolotem, ale równie chętnie siadłyby do kosmicznego statku. Żegnałem je ze łzami jak siostry prawdziwy brat. Teraz więcej zacieśniają się rodzinne węzły: Mieczysław, Walenty, Kazimierz - nie! O.Ludwik, Benedykt, Antoni, a sióstr już łatwo nie zliczysz. Chciałem im napisać serdeczne pozdrowienie w rodzaju Pawłowym, ale zdążyłem tylko wyjąkać przez łzy:

Trwajcie i wzrastajcie w miłości.

19.IV. Przeżywam jeszcze wczorajsze pożegnanie. Czy też był samolot i czy już dzisiaj są w domu, a przynajmniej u Emmy? Cieszę się, że im dałem na drogę Najlepszego Towarzysza. To tak /19/ cudownie wzruszające. Niegdyś mówił Jezus do uczniów: "jako mnie posłał Ojciec, tak ja was posyłam", a teraz nędzny sługa posyła Ciebie, abyś szedł tam, gdzie on iść nie może. Nic się więc nie przerywa - zmienia się tylko forma, tak jakby musiała się też zmienić, gdybym leżał w szpitalu.

W tymczasem Arktyka coraz więcej się interesuje nowym mieszkańcem. Podobno nauczyciel w szkole przestrzegał przed jakimś baptystą, który się zjawiał agitować, a dzisiaj w magazynie sprzedawczyni niespodzianie zapytała: Czy pójdziecie na cmentarz, bo to dzisiaj ruskie przewody. Ach tak! Nawet nie zdziwiłem się, że do nieznanego zwraca się z dziwnym bądź co bądź - pytaniem. Przewody! Ile strun brzęczy w duszy, ile obrazów przesuwają się w pamięci, kiedy idę we wskazanym kierunku!

W Równem uroczystość odprawiało się zwykle w przewodni Poniedziałek. Rano żałobne nabożeństwo w kościele, wieczorem procesja na cmentarzu. Oto kopcą czarne skrzydła sztandarów - w środku krzyż. Długi korowód /20/ przewija się po głównej alei, potem staje gdzieś na skrzyżowaniu. Antoni rozściela czarny całun - stawia świece - modlimy się za kapłanów: jest ich kilku na cmentarzu: niedaleko bramy Urodu, potem gdzieś i w środku alei - nie pamiętam nazwiska, wreszcie na samym końcu biały nagrobek z krótkim napisem ks. Łuzar. To na dalekich rubieżach ojczyzny spoczął kapłan herceiz, który bohaterką śmiertcią uratował życie setkom wygnańców w czasie bombardowania. Za rodziców modlimy się zwykle przy grobie matki ks. kanonika Syrowicza. Potem dalej wkrąg. Wszystkim, wszystkim wieczny odpoczynek. Spada na groby święcona rosa, unoszą się dymy kadzidła. "Szukałeś mnie spracowany". Ja też troszkę utrudzony, ale to nic. Trzeba jeszcze pochodzić po grobach, nad którymi płaczą. Oto Piotr Tat. na nowym motocyklu znalazł śmierć, oto dziewczeczka kwiatek ledwie rozwinięty świeżo w mogiłę złożona, staruszczyzna cicha, pobożna z rzewną elegią na krzyżu. Nie można pominąć grobu Kochańskich. Cna córka i siostra, jak Elze strzegła spoczynku zmarłych - dziś już

wśród nich. /21/ Już samym późnym wieczorem przy blasku świateł
przechadzimy do Haneczki. Uśmiecha się do nas blade jak za życia
leżąc na męczeńskiej pościeli. Ktoś czyta półgłosem skrzzące się
złotem słowa:

 Cierniami szłąną drogą
 kroczyłaś dobra i czysta,
 na krzyż złożona młodo
 Oblubienico Chrysta.

Cisza, słychać syk palących się świec i lekki poszum wiatru.
Dopiero po chwili z szumem poruszanych gałęzi łączy się wspólny
już głos: Dziś poprzez łez pryzmaty
 patrzym w Twą zjawę świetlaną
 i myśli mkną w zaświaty
 za Tobą hen do Pana.

W innych parafiach "przewody" odprawiały się w miarę możliwości
w wyznaczonym czasie. Garstka wiernych gromadziła się w Korcu, Łoź-
bunowie, nawet w Sarnach nieustrudzony o.Łudwik organizował żałobny
początek na mocno zrytym bombami ugorze. W Ostrogu trzeba było płakać
nad zniszczeniem. Szczególnie pamiętne były przewody w Białotyń-
Sielcu. Na grobach pogańskim i ruskim zwyczajem zostawiano jadło.
Chlebów zebrano wory i rozdawano biednym. Ale /22/ też to zapewne
było przyczyną doniesień i nieprzyjemności.

Ostatni raz byłem na rówieńskim cmentarzu sam. Robiłem przegląd
parafii i większość znalazłem tam pod świeżo albo już uwiędłą runią.
Jest zacny Dziadek i Labcia, wiecznie kłócący się ale gotowi za
siebie iść w ogień. Opodał obok Haneczki p.Stanisław szlachetny
prezes, mężnie broniący Kościoła; gdzieś dalej Józef kulawy żebrak,
który ufundował ołtarz swemu Patronowi, jest Pani Generałowa - ina-
czej jej nie nazywano - konwertytka o mistycznej duszy zrośnięta
z kościołem w ciągu wielu lat.

Młodzi, starzy, dzieci - obok Polaków, Cześni, Łotysze,
Czesi, Rosjanie zbratani w wspólnym uścisku krzyża.

Moja parafia.

Cmentarza nie znalazłem. Wróciłem z silnym bólem głowy.
20.IV. Od kilku dni panuje u nas porządek niemal klasztorny. Wstaje-
my o świcie, choć nie ma kołatki. Potem idziemy do chóru tj. przed
ołtarzyk, gdzie bladobarwne aniołki adorują Serce Jezusowe a napis

głosi: "beschütze uns". Uśmiecha się też do nas śliczna Madonna z Dzieciątkiem, /23/ która przyjechała aż z Ameryki. Georgij odma-
wia po niemiecku ranne modlitwy, a mnie się przypomina jakiś kleryk
recytujący półsennym głosem: "O najłaskawszy Boże, miłości hojny,
któryś tu jest prawdziwie obecny". W więzieniu starałem się odtwo-
rzyć w pamięci cały tekst - nie wiem, czy mi się udało.

Potem oni idą do gospođarskich obrządków, a ja spełniam funkcję
hebdonadnarza w litanii i medytacji. Na Mszę św. przychodzi oprócz
nich jeszcze jedna krewna, która grubym basem pomaga mi śpiewać
"Salve Regina" po egzochwiałach i kondukcie. Następuje tertia i sexta.
Przygotowujemy czerwoną stulę.

Napisałem list do Maryśki i idę z nim na pocztę. Potem jeszcze
raz szukam cmentarza. Chodzę długo w mylnych kierunkach. Jakiś bez-
nosy pastuch pokazuje, że nie rozumie. Trudno się z nim porozumieć
po rusku. Byłem już zniechęcony, kiedy zdala spoza jakiejś sterty
siana ukazał się krzyż. Ave crux! Cmentarz okopany jak uroczysko
i otoczony wałami. Rozbite butelki i porzucone papiery świadczą o
wczorajszym święcie. Na jednej z rozpos- /24/ tartych gazet czytam:
"horyzonty słonecznych kontynentów". Zupełnie odpowiednio - ale
teraz słońce już zachodzi i ostatecznie promienie rzuca na parę dzie-
siątków grobów zgromadzonych na dość znacznej przestrzeni. Krzyże
łacińskie, greckie - pomiędzy nimi gwiazdy, jak na dobrze zasłużo-
nym mandurze. Na prawosławnych grobach od wczoraj jeszcze nie ru-
szono jedłko: malowane jajka, placki, cukierki. Itoś postawił butel-
kę z kieliszkiem - przynajmniej ta była pusta. Na ugwieżdżonych
mogiłkach też się wszędzie coś znalazło - przynajmniej cukierki!
Minowoli przychodzi na myśl: po co, jeśli tam jest tylko proch?
i przypomina się przeczytany tytuł "horyzonty słonecznych kontynen-
tów". Jeszcze nieraz tu wrócę.

22.IV. Pojechali. Jeszcze przez okno pobłogosławilem ich na drogę.
Serce bije mocno i trochę się ściska. Nie przypuszczałem, że rych-
ło po Tainczy zjawią się Szortandy. Przywieźli różności i ... pła-
czące listy - od Frani, Heli i wszystkich. Maria zajęchała po dro-
dze i spełniła polecenie. Teraz już mam wszystko co pot- /25/ rzebne
do pracy. Kiedy się ona zacznie?

Albin przysłał nowy mszał i nadzieję na coś więcej. Pisze o
biblii tysiąclecia i przysyła życzenia z okazji Milenium. Widocznie

u nich to rzeczywiście ma wielkie znaczenie. Mszę Mu napisać jak
dziwnie inaczej zaczęło się u mnie. A jubileusz? obchodzi Kazisław
i jeszcze ktoś a Władysław pięćdziesięciolecie. mnie jeszcze daleko
do tego, ale właśnie 25 lat minęło święceń, kiedy mi odebrano prawa.
I jeszcze chyba Łaska Boża, że mogłem sam dzień jeszcze świętować,
bo podobno już w lutym zapadła decyzja. A tegoroczne 33-lecie? to
był szósty dzień więzienia. Już mnie oprowadzili po ambulatoriach,
uznali za chorego, już tylko przejść komisję. W głowie huczy i bije
jak mrotem, ale trzeba jeszcze odmówić Mszę: "In nomine Patris".
Towarzysze leżą na szeslongach - nie zwracają uwagi. Szkoda, że to
Msza bez niczego - nie - przecież On przychodzi - czuję Jego obec-
ność - jakże słodko.

Dzisiaj do Mszy św. służyli Kazimierz i Gałka. Czytałem na
ewangelię z Cezarei Filipowej: "Tyś jest Chrystus, Syn Boga" a potem:
"bramy piekielne nie przemogą Go". Tak nie przemogą! Jak dziwna /26/
wzmianka o dzisiejszym papieżu, męczenniku: "Gajus Dalmata ex gene-
re Diocletiani imperatoris". Nie mogę wyjść ze zdumienia: na tronie
krwiożerczy tyran - a w spelunkach ukrywa się jego krewny- Namiest-
nik Chrystusa. Nie przemogą. Napisałem Heli, żeby dobijali się o
kaplicę. Mają prawo oparte o konstytucję. Pracowali, krwawili się
i pocili budując dziś kwitnące osiedla. Teraz nikt im nie może bro-
nić swobodnej modlitwy. Umierający mają prawo zaprosić kapłana, a
tu na całej przestrzeni nie masz ani jednego - a jeśli się zjawi,
to go sądzą jak przestępcę i to w czasie kiedy nawiązuje się kontakt
z Watykanem.

Prosiłem, żeby kto przyjechał na 3^{go} maja. W tym dniu nijak
odprawić przy samych Niemcach. A to przy tym Millenium!
23.IV. Dobry Pasterz sprowadził mi trzy nowe owieczki. Jedna nawet
mocno zabłąkana - aż z Polski - w niemiecką rodzinę - nie umie dzie-
ci uczyć pacierza. Czytałem im te słodkie słowa, które nadają ton
jutrzejszej niedzieli, ale dziś też są wymienione z powodu św. Woj-
/27/ ciecha: "Jam jest pasterz dobry". Oto niegodny służa Jego
przyszedł do Was rozproszonych, równie jak On gotów oddać życie za
owce. Nie, tego nie powiedziałem, czuję, że byłoby zuchwalstwo- może
nieszczerość. Czy jesteś naprawdę gotów?

Dzisiaj na naszym ołtarzyku św. Jerzy - rycerz na białym koniu

lancą zabija smoka. Podobno przeciwstawił się Dioklecjanowi za jego okrucieństwo i za to został po okrutnych mękach ścięty.

A obok niego już w myśli tylko - bo obrazu nie ma - nieustraszony również "rycerz Chrystusowy" biskup, mnich, męczennik - Adalbertus-Wojciech. Zawsze był gotów i oddał swe życie, kiedy przyszedł czas, aby krwią męczeńską zapłodnić pogańską ziemię. A Ty? kiedy w ową pamiętną niedzielę zatrzymała się przede mną maszyna i uprzejmy naczelnik zaprosił mnie do wnętrza, pomyślałem: skończyło się, i byłem spokojny, jakby to była zwykła przejażdżka po mieście w trochę niezwykłym towarzystwie. Ale czy to była gotowość na wszystko? Mówili wciąż: uwolnią, i tym się żyło z dnia na dzień - nawet, dopomagało losowi przez nadzwyczajny post i niespania. /28/ A kiedy i to okazało się bezskuteczne i przeczytano wyrok, którego nie słyszałem, jeszcze kołatała się jakaś nadzieja. Wtem oddają zabrane rzeczy - w duszy odżywa się nieśmiało: "Te Deum", a naraz szyderczy głos: pójdiesz w tiumnu i na zsyłkę. Czy wtedy na chwilę coś się nie buntowało: dlaczego? za co? A przecież to nie pytki, katorgi, katusze. A teraz jak słodko i spokojnie czuć się jak owieczka w ramiączkach Pasterza.

Właściwie wczoraj na cmentarzu zupełnie inaczej układałem sobie dzisiejsze notatki. Najpierw stanął mi przed oczyma Jerzy - Rumak /jakoś dobrze dobrane imię rycerza do dziarskiego nazwiska/ ów błady kleryk z pieprzykiem na policzku i przyklejonym uśmiechu, który po latach przysłał mi parę słów do Równego, jako świecki kapłan. Było tam coś w sensie usprawiedliwienia. Raczej ja mogłem go przeproszać, że jego brewiarz znaleziony gdzieś w drodze, banderowej porwali na papierosy. Potem zamajaczył w pamięci ten krępy mały Georgij towarzysz licznych dziennych i nocnych przechadzek, który w ów feralny dzień miał czekać na stacji /29/ w drodze do siostry.

Ale już specjalnie chciałem porozmawiać z Tobą, Bracie Wojciechu, serdeczny tyńiecki chłopaku z dużym nosem - i wybacz małego ociosaną twarzą. Pamiętaj ty, jak podkasawszy habit wspinaliśmy się po skałach Ojcowa. Może i nie - może to było jakoś inaczej. Ale cóż to słyszę o Tobie aż tu w Klorcu. Ludzie czekają na kazanie, a Ty śpisz w najlepsze. Przecież nie miałeś takiego zwyczaju Sługo Boży - wczoraj jeszcze podbijałeś serca. I oto cały kościół płacze, a nie mogą się Ciebie dobudzić. A potem leżysz na środku w najestacie ubrany jak do uroczystej celebry i mówisz nam wszystkim bliskim i dalekim: "memento".

24.IV. "Dominus pascit me" - Pan mnie pasie. Zdaje się, że te proste słowa Dawida czy Wulgaty niepotrzebnie zmieniono na rzeczownikowe: "Pan jest moim pasterzem". Może to brzmi trochę śladziej, ale nie oddaje sensu. Można być czy nazywać się pasterzem i leżeć beczynnym na murawie lub czytać książkę kiedy trzoda lezie w szkodę lub skubie uszkłe wióra. Dobry Pasterz z ewangelii /30/ rzeczywiście nas pasie: szuka, prowadzi, pokazuje dobrą paszę, a słabą zranioną owieczkę bierze na ramiona. Dzisiaj zjawiły się w komplecie wszystkie sześć. Jak na tym amerykańskim obrazku, który leży przede mną. Niewysłownie słodki Jezus tuli w fałdach płaszcza małą owieczkę, a obok niego gromada innych podnosi pyszczki ku Niemu jakby pytające: dokąd iść?

Kiedy daję im Jezusa, ogarnia mnie wzruszenie: ile to trzeba było przejść krętych dróg, aby dojść do nich! Deduxit me super semitas iustitiae propter nomen suum.

Wczoraj przyszedł list od Zofii. Teraz czas go przemyśleć i przeżyć. A więc mieli rezurekcję. Włódz. nie zawiódł: kazał się modlić za mnie jak niedawno modliliśmy się za Aleksego. Kto wie, czy nie właśnie tym modlitwom wszystko zawdzięczam. W Nowogr. też mieli gościa i to aż pięć dni. Widocznie łatwiej pozwalają. Bogu dzięki.

Siostry pytają o mnie. Bardzo serdeczna gromadka. Feli trzeba napisać, że byłem u siostry w Oktiabrsku. Do Tauty Kurgana już nie zdążyłem. W Kasperówce niech szukają innego. Rózia, Weronika /31/ Jadwiga, Stasia, Stanisław / trzeba im napisać na imieniny/, jak serdeczne chwile spędziliśmy jeszcze niedawno. Umarła Kijowska - ślepa, sparaliżowana Boża męczennica. Została również chora córka. Dobrze, że ostatnio byłem u nich. Ojciec był bezbożnik, kazał się pochować pod płotem, a one pewnie za niego cierpiały i cierpią. We wtorek odprawię za nią nabożeństwo. Czuję się jak dawniej i dusz-pasterzem żywych i umarłych - tylko pasie może ich i mnie już tylko On: "Choćbym kroczył po cieniach śmierci, nie lękam się złego, bo Ty jesteś ze mną". "Parasti in conspectu meo mensam". Ty stół biesiadny zastawiasz przede mną na złość tym, którzy mnie trapią".

Dzisiejsza przechadzka na cmentarz nie udała się. Było tam parę kobiet, więc nie chciałem żeby się interesowały obcym przyby-
szem. Zmówiłem Anioł Pański zdaleka. Byłem zato na cmentarzu kazachskim. Muzukmański cmentarz widziałem już nieraz. W Bachczyseraju oglądałem groby chanów z kamiennym turbanem na mogile.

/32/ Na Kazachstanie widziałem też już nie jeden. Ale zawsze ta egzotyka ma pociągający urok. W Aktiubińsku i Brantyr mahometanie mają miejsce spoczynku o miedzę od naszego cmentarza. Tutaj cmentarz tubylców jest oddalony o jakieś dwa kilometry. Z daleka za wodą wygląda jakby jakie tajemnicze uroczysko. Charakterystyczne po rogach zębate czworoboki z czarnej samary wyglądają surowo i ponuro. Erak strzelistych, baniastych wieżyczek, które w takim choćby Załtyrze rzucają się z daleka w oczy jakby las namiotów, natomiast wysokie z głowiatym zakończeniem tablice grobowe są takie same, tak samo pokryte szeregiem punktów i kresek tworzących starożytne pismo. Patrząc na nie człowiek dopiero uświadamia sobie gdzie się znajduje. Inna kultura, rasa, wiara. Na czterech rogach mogił, na tablicach grobowych - półksiężyc. Na niektórych tablicach księżyc obejmuje w uścisku gwiazdę - to już całkiem nowoczesnie i aktualnie w okresie polotów i sputników. Oczywiście /33/ wiście tutaj ma to znaczenie inne.

Ale oto świeży grób spowity szarfami jeszcze bez księżyc i gwiazd. Napis po kazachsku, ale wiem o co chodzi. Uczeń 10^{ej} klasy zamordowany w rejonie i porzucony w kloace. Ha! i takie rzeczy się zdarzają.

Jeszcze raz patrzę na tajemnicze napisy i półksiężyc. Doże mój! Wszak to tych samych wyznawców Mahometa Franciszek chociaż nawracać chodząc po żarzących węglach. Piotr, Daniel i inni szli jak szaleńcy głosić Chrystusa Saracenom a potem na katusze i szubienice. A człowiek styka się z nimi bezpośrednio i milczy. Gdyby tak poznać ich gładzącą mowę a potem gdzieś na zielonej runi stepu przysiąc się do czarnego pastucha z kozią bródką i mówić im mówić o nieznanym, a pięknych rzeczach, jak misjonarze gdzieś pod równikiem lub w Zanzibarze. Mają podobno swego mułkę, który ich grzebie w samarowych mogiłkach i czyta Koran. Może czasem wędrują do Almołińska jak do Mekki, gdzie nad meczetem małe minaret może i z muezinem. /34/ A nasza wielotysięczna rzesza złączona przecież z półmiliardem katolików na świecie, kryje się jak krety i odprawia nocne wigilie jak w katakumbach.

Przypominam sobie, że to właśnie dziś św. Fideliusa: męczennika patrona Propagandy; Modlimy się: Doże przez zasługi gorejącego

serafickim ogniem św.Fidelisa ... utwierdzi nas w wierze i miłości, abyśmy do śmierci byli wierni - fideles.

25.IV.Dzisiaj od rana brzmia mi w duszy słowa ewangelii na dzień ewangelistów: posłał ich po dwóch - "binos". A więc iść w pojedynkę na podbój dusz, to nie program Chrystusowy. Św.Grzegorz ma rację, że apostołstwo musi opierać się na miłości a miłość możliwa tylko w wspólności. Gdyby o tym pomyśleć w swoim czasie, ilu uniknęłoby się ponyłek!

Prawda, i nas z początku było dwóch. Nawet On starszy zawiązywał mnie do pomocy, a poparcie otrzymał z nieoczekiwanej strony - od komisji repatriacyjnej. Podczas gdy Zaręba nalegał delikatnie na wyjazd, Wysocki przysłał już do /35/ kokieta przestrożę, że byłaby hańba dla duchowieństwa, gdyby ostatni kapłan wyjechał. Tak podobno wyraził się rówieński pełnomocnik. Kościółek rokitniański miły przytulny z grotą lurdeńską obok, od którego mieliśmy już nawet klucze - też zachęcał do pozostania. Niestety, nie można było znaleźć garstki wiernych do komitetu. Może to zdecydowało, że kiedy nadszedł dzień wyjazdu, ładowaliśmy rzeczy na lory. Wtedy pokazało się, że dla nas nie ma miejsca. Może to był jeszcze ostatni manewr komisji - nie wiem? Z trudem udało się wreszcie rozmieścić po rozmaitych wagonach toboły i kufrы. Jakaś paka z książkami została jeszcze na miejscu. Jakies obrazy zrzucano na tor, mnie przyjęto w kącie ogromnej węglarki i ruszyliśmy. Wagony toczyły się z brzękiem i gruchotem. W mroku nocnym mijaliśmy maleńki kościół w Klęsowie, którego energiczny proboszcz ks.Antoni Ch. niedawno został zabrany. Potem już w nocy przejechaliśmy Sarny.

Ach te Sarny! Po raz /36/ pierwszy byłem tam jadąc do Karasina. Ciekaważ to była podróż i niezapomniana, bo właśnie wigilijny dzień. Do Równego przyjechałem z Ludwipola, gdzie byłem na wezwanie Bolesława, aby objąć Dermankę. W międzyczasie osiadł tam ks.Prażat Zagórski, mnie więc wypadło wracać lub oddać się do dyspozycji rówieńskiego dziekana. W imię franciszkańskiej zasady, aby przy pługu nie oglądać się wstecz, wybrałem to ostatnie. Parę dni przesiadywałem w rówieńskim kościele w konfesjonale pod chórem. Nie wiedziałem, że będzie to moje ulubione miejsce przez długi szereg lat. Na razie

na to się nie zanosilo. Duża parafia, księży trzech z dziekanem na czele, wciąż przyjezdni goście. Gdzieś już przed samym Bożym Narodzeniem ksiądz Syrewicz zaproponował: Umarz ks. Keroń w Larasinie - parafia mała - trochę trudny dojazd - ale jeśli ojciec chce pracować ...? Pewnie, że choć, po to przecież przyjechałem, a więc nie ma się co namyślać.

Kozbita stacja rówieńska pełna ludzi. Pociągi przychodzą nie- /37/ regularnie, okropnie zapchane. Trzeba cudu, aby się dostać. Już kilka odeszło i nie sposób było się wsiąść. Przeszedł dzień, zapada wieczór a następny to już wigilia. Cozy się kleją, głowa cięży. Wtedy przychodzi na stacyjkę dyburujący i wypędza na mroźną platformę. Wyrwają się słowa buntu: przecież my nie psy! Jak to zabrzmiało po rusku nie wiem, ale o mało nie skończyło się fatalnie. Kolejczarz sprowadził milicjanta, aby mnie aresztował za to, że ich nazwał: "sobaki". Na szczęście skończyło się na przetrząśnięciu mojej walizki i jakichś szyderstwach. Pożegnałem ich serdecznym Ostańcie z Bogiem. Prawdziwa katastrofa miała się zacząć, kiedy najechał pociąg. Moją walizkę zmiotło z platformy i dostała się pod koła. Z rozdartej boku wysypały się wnętrzności: zapakki, mydło, książki, prowianty - już nie wiem co. Był to było. Trzeba było postrzymując rozsypany bagaż biec od wagonu do wagonu, aż ktoś litościwy wciągnął.

W Sarnach plebania obok kościoła, /38/ a monumentalny z niedokończoną nowożytną wieżą obok kościół widny zdaleka. Byłem do ostatka zmęczony, kiedy staną przy ołtarzu w tej świątyni, która potem wchłonnie w swoje ponure mury tyle rzecnych wspomnień. Teraz kościółka nie widzimy. Jest zresztą pusty. Księża wyjechali wraz z większością wiernych. Na plebanii usadowił się wojenkomat. Kostopol przejeżdżamy również niepostrzeżenie. Jeszcze nawet nie wiem, że obok nowego kościoła pod wezw. Euchar. Serca Jezusowego, znajduje się mała niepokazna kapliczka, o którą można będzie walczyć.

W Równem dwie strzeliste wieże witają nas krzykiem milczącej rozpacz. Jeszcze przed kilku miesiącami pytałem jedyne go pozostałego tam rezydenta: /Ks. Syrewicz w Dachau, Sikorski w Polsce/ co masz zamiar robić? Ja nie wyjadę! brzmiała odpowiedź. I oto teraz dzwony milczą. Jacyś tankiści steroryzowali go i to wystarczyło, żeby wierni zostali sami. /39/ Zresztą cóż się dziwić. Podobną

rozmowę miałem we Lwowie z Ekscelencją. Kiedy po przyjeździe zastałem klasztor pusty, zaszedłem do niego poradzić się, bo był naszym przyjacielem: Trzymajcie się, Ojczy - rzekł dobroliwie - ja nie wyjadę - a wkrótce z Kurii nie pozostało śladu.

Dojeżdżamy do Zdołbunowa. Myśli się kłębią. Trzeba się zdecydować. Potem będzie za późno. Gdyby się kogo poradzić. Przypomina się jakiś głos: ach to ks.kanclerz Szych mówi: Ojczy! my musimy wyjechać wszyscy, może ojciec pozostanie z pełnym prawem na diecezję. Zdaje się że odpowiedziałem z uśmiechem: "to już tylko brak sakry". Wtedy nie wiedziałem, że pozostaje też ks.Jan. W każdym razie miałem już przy sobie dokument podpisany przez ks.Szumana: "do wyjazdu Polaków". W Zdołbunowie nie było już czasu się namyslać. Kiedy pociąg z trzaskiem buforów stanął, wziąłem walizkę w rękę, pożegnałem się z jedną Anielą i niespostrzeżenie przeszedłem tory. A rzeczy? niech /40/ jadać cało do Ojczyzny. Może niedługo będzie tam moja rodzina, może i ja. Wszakże "do wyjazdu Polaków". A zresztą: "nie miejcie trzosa ani torby podróźnej". Plebanię zastałem zamkniętą, ale że miałem zaproszenie, popróbowalem otworzyć swoim kluczem. Wadał się wysmienicie. Rozglądałem się po kuchence, sypialni, pokoju. Wszystko w porządku, ale widąc że gospodarza dawno brak. Jest fortepian z nutami, jakieś obrazy, portrety. Teraz zjawiają się pierwsze parafianki - obie zachęcająco uprzejme. Nie, nie opuszczę was. Ale teraz trzeba do Równego. Jest dzień św.Młary - rzeczywiście jasny, piękny dzień pierwszej nowej pracy.

Ale dzisiaj jest ponuro. Deszcz siąpi leniwo lecz nieustannie. Znowu będzie błoto i o przechadzce ani marzyć. Czuję się okropnie samotnie. Od kiedy ks.Jan spoczął na łuckim cmentarzu, zostałem sam jeden na całym Wołyniu. W Tainoży też /41/ byłem sam, ale o tym się nie myślało, kiedy się miało zawsze skrzydła gotowe do lotu. Teraz ta samotność okrutnie spotęgowana. Nie ma komu powierzyć tajników duszy i w pamięci kołocze się trwoga Apostoła: "ne cum ceteris praedicaverim, ipse reprobus efficiar". Jak mądrze i miłosiernie posłałeś o Jezu swoich uczniów parami: "binos".

Nie pamiętam kiedy i gdzie zobaczyliśmy się poraz pierwszy z ks.kanonikiem. Może to było w kilka dni potem na tejże samej plebanii, gdzie mieszkał zanim przeniósł się na stałe do Łucka. Przywiózł mnie p.Medyński swoim ekipażem, bo o autobusie jeszcze

nie było mowy, a pociąg wciąż jeszcze był trudny. Krępy, niski, trochę tatusiowaty, zawsze półuśmiechnięty ks. Jan od razu chwycił za serce. Gościnnie nadzwyczaj, często był w kłopotach, czym gościa przyjął, bo sam był skromnie obchodząc się bez gospodyni. Widywaliśmy się często, bo miał prawo na Łdożbunów jako dawny proboszczrski, od której to parafii /42/ Łdożbunów potem się odizolował.

W Łucku też bywałem u niego jako sąsiada i powiernika duszy. Te wizyty dawają wiele przyjemności i pociechy. Zawsze wyjeżdżano się stamtąd pokrzepionym na duchu, jakkolwiek sam miał wiele kłopotów. Najpierw na katedrę waliły się podatki. Zbieraliśmy wspólnie orlary. Jakaś rówieńska dama ofiarowała złoty rancuszek. Potem zarządzono remont na horrendalną sumę - wreszcie zamknięto. Był to cios bolesny dla całej naszej diecezjalnej resztki. Stolica diecezji przeniosła się do kaplicy na cmentarzu. Dla leciwego kapłana zaczęła się codziennie dość długa wędrówka. Siły się nadwątliły ale się nie skarżył i obywatel nadal byle czym, zawsze gotów do usługi innym. W czasie moich chorób odwiedzał mnie i wzmacniał. Może i to nie najmniejsze, że przy wielu zajęciach pomagał w nauce dziewczynce gospodyni gdzie mieszkał.

Ubierałem się do Mszy św. w Ostrogu, kiedy mi doniesiono, że umarł. Cicho i skromnie jak żył. Cho- /43/ roba dręczyła Go od dawna, a nikt o tym nie wiedział. Kiedyśmy z ks. Jasionowskim stali nad Jego mogiłą wiedzieliśmy, że w niej pochowana przeszłość diecezji.

26.IV. "Owce moje słuchają głosu mego. Znam moje i znają mnie moje". czy wolno mi, o dobry Jezu, posłużyć się Twoim słowem i mówić o moich owcach? Wiele z nich, jakże wiele już na Twoich wiecznych pastwiskach, inne w ojczyźnie lub nawet za morzem znalazły innych, lepszych pasterzy, ale zawsze to moje - te zwłaszcza, które i teraz trwają z płaczem przy sprofanowanych świątyniach. Dzisiaj odprawiałem za Kijowską, kazałem ich o tym zawiadomić, żeby wiedzieli, że i teraz mają wciąż jeszcze pasterza. "Nikt nie wyrwie ich z ręki mojej".

Słońce trochę prześwieca przez chmury, ale jeszcze deszcz pada całą noc, drogi rozmiękły, trzeba siedzieć w domu. Odpowiedni czas, żeby zmierzyć wzdłuż i wszerz pastwiska zdeptane w ciągu zługich lat.

I więc najpierw Karasin. Była już późna noc, kiedy zapchany po brzegi /44/ rozklekotany pociąg dotarł z Sarn do Maniewicz. Jakiś chłonek pokazał mi drogę i w ciemności z rozbitą walizką dotrąłem do kościoła.

Na plebanii było już po wieczery. Znalazło się trochę ryżu czy kaszy. Była to chyba jedyna w swoim rodzaju wieczerza wigilijna bez opłatka. Pasterka odprawiała się w nocy w piątnie utrzymanym kościele. Ms. Jastrzębski, dobry gospodarz postarał się nawet o lśniąca parkietową podłogę. Po nabożeństwie chciano mnie położyć na spoczynek, ale jakże tu spać, kiedy czeka nowa parafia i to na samo Doże Narodzenie. Uchciałem natychmiast iść czy jechać ale mi z przekąsem powiedziano, że to trochę daleko a nad ranem będzie lora. Co takiego? Nie mogłem się doczekać, wreszcie o świtaniu wyszliśmy.

W dali na wąskich torach płaska platforma, do której zaprzęgała chudą szkapinę. Ach to to! Koń z trudem pociągnął i lora potoczyła się po relsach. Zaraz za wioską wjechalismy w las, który od czasu do czasu przerzedzał się dając miejsce jakimś po- /45/ lom czy polanie. Ludzkich osad prawie nie było. Jechalimy dobrych parę godzin, kiedy wreszcie zapytałem: gdzież ten Karasin? Odpowiedziano, że właśnie dojeżdżamy. I oto lora stanęła przed niewielkim budynkiem z czerwonej cegły, który na wszystko mógłby być podobny, gdyby nie mały krzyż nieśmiało sterczący nad drzwiami. W półciemnym surowym wnętrzu parę osób otulonych w kożuchy. Ha! nie wiedzieli, że będzie proboszcz - pewnie się jeszcze zejdą. Nie wiedziałem, że to cała parafia.

Wioska odległa o dwa km. w całości prawie ukraińska. Około kościoła mieszkali osadnicy, jeszcze z czasów Piłsudskiego, który podobno w Karasinie miał kwaterę, ale teraz nie ma po nich śladu. Została tylko obszerna drewniana plebania ogołocona ze wszystkiego po śmierci proboszcza, aż do błotowych przyborów włącznie. Do obszugi była zuchowata Irena, która raz na dzień gotowała kaszę. Prawda, że ta inopia nie trwała długo. Przyniesiono to i owo. Zjawiła się miejscowa nauczycielka z jakąś pomocą, /46/ potem przyjechała z Ludwipola zaproszona gospodyni z rzeczami. Już więc nie straszne były nocne hałasy w ścianach, jak z początku. W kościółku aż się ożywiło, ale owieczki wciąż jeszcze można było policzyć na palcach.

Trzeba ich było szukać po odległych jakichś siedmiu wioskach i to nie więcej można było naliczyć ponad setkę. Do kościoła mieli daleko, a starzy, jak ta r. Wolska którą odwiedziłem w chorobie, nie mogli się wcale do niego dostać. Taka była moja pierwsza parafia. Czasem błądząc po lasach spotykałem na drodze sarenkę, która stając filuternie pytała: po coś tu przyszedł?

W czerwcu zaprosił mnie Bolesław na odpust do Ludwipola. Do Karasina już nie mogłem wrócić. Jakos w parę dni po uroczystości Serca Jezusowego Niemcy bez strzału zajęli miasteczko. Wróćcie nadeszły wieści o banderowcach. Gospodyni karasińska ledwie uszła z ich rąk. Ale dla wiernych ukazały się nowe możliwości. Mnie zaproponowano Bystrzyce.

Na wzgórzu za wioską znajdowała się /47/ tam kaplica pałacowa. Smukła, piękna ze strzelistą wieżyczką była ukochaniem ludu toteż z zapałem zabrali się do jej odnowienia. Wnętrze przyozdobiono zielenią, skromny ołtarzyk przystrojono wiankami. Kiedy w ołtarzu umieszcząłem portatył z relikwiami, ktoś ciekawie patrzył. Naśmieszony jasny, letni dzień pierwszego nabożeństwa. Lud wypełnił kościół po brzegi: niewiasty, trochę młodości i chłopców, dziewczęta wystrojone barwnie napół z miejską, entuzjazm unoszący się w nagrzanym powietrzu, wszystko to donagano się gorących słów. I wtedy to przemówił - Szowacki, a raczej jego Piotr Dantyszek. Przemówił na końcu, ale mocno:

I choćby tyle w nas życia co w krosie,
Co rośnie podło gdzieś przejezdnej drogi,
Zkamieni zawsze wtamani na nogi.

Nie wiedziałem, że to będzie fatalne. Na razie jak te złamane kłosa podnosiliśmy się ku słońcu. Parę razy odwiedziłem szkołę w Niemili, gdzie pracowała katechetka. Nabożeństwo w kaplicy przyciągało coraz więcej. Ale i w Bystrzycach nie zabawiłem /48/ długo. ks. Prałat Zagórski wyjechał z Dermanki do Żytomierza toteż parafianie zaprosili mnie, by zająć jego miejsce. I oto znalazłem się u celu wołyńskiej podróży, do którego dążyłem rok z górą okrężną drogą.

Plebania w Dermance nie była dla mnie obcą. Parę razy odwiedzałem ks. Prałata, który miał wiele książek i znałem już jego gospodynię atletyczną Antosię. Ale z parafianami miałem się zetknąć dopiero teraz. Najbliżej plebanii mieszkali Markiewiczze, dwie czy trzy

panny i brat żonaty. Delikatna mała Tekla, tercjarka, najwięcej tkwi w pamięci Naprzeciw kościoła Fortis Kuczyński zakryścianin, dalej Cyrkiewicz, Soroczyński, Nagalewscy - wszędzie rosły chłopaki, dorosłe panny. Ale kwiat młodzieży znajdował się w Ludkach, gdzie przy szkole mieszkał p. Baran z rodziną. Drugi nauczyciel p. Boons z młodą żoną we Frankopolu również bywali częstym gościem na plebanii. W kościele życie się rozwijało. Odpust św. Izidora w maju i większe święta gromadziły wiernych licznie. Niezapomniane /49/ wrażenia zostawiała kolęda. Para sań naładowanych rozochoczoną młodzieżą zajeżdżała kuligiem przed chaty i pełną pierś śpiewała: "radość nam".

Bywaliśmy wszędzie: w Ludkach, Frankopolu, a dalej na i najdalszych hutorach. Na ostatek w jakiejś chacie zakończenie i skromna zabawa. Omijało się tylko rodziny gorzące, co też miało pożądaną skuteczną, budzącą uspięne sumienia. Ło jąd niewiary i zepsucia walczył się w różnej formie. Były dziwne małżeństwa, znalazło się też parę rodzin sektanckich. Raz zgłosiła się do chrztu młoda żydówka. Nieźle jak ostrożnie należy te rzeczy traktować, dlatego zaadałem lepszego przygotowania. Potem już nie przyszła, ale innym mówiła ze śmiechem: ksiądz myśli, że ze mnie naprawdę zrobi chrześcijankę. Mimo to ukrywano w Ludkach kilkoro prawdziwych neofitów. Była kongregacja gorliwych tercjarek z Anielą na czele, dla których odprawialiśmy specjalne nabożeństwo. Uczciliśmy szczególnie też patrona młodzieży św. Stanisława. /50/ Grupa młodzieży zbierała się wieczorem na rekolekcyjną nowennę. W niedługi czas potem miało to nieoczekiwany skutek.

W pełną niedzielę zjawiała się na plebanii ukraińska milicja ze znanym mi już z Bystrzyc Igorem synem batiuszki na czele i zarządzili rewizję. Nie znaleźli nic prócz jakichś zagranicznych monet, ale oświadczyli, że mają polecenie mnie zabrać. Był właśnie czas nieszporny i lud zgromadził się w kościele, kiedy poprosiłem, żeby mi pozwolili jeszcze się pomodlić. Nie trudno wyobrazić sobie wrażenie, kiedy żołdak wszedł za mną, a ja upadłem na kolana przed ołtarzem, a potem milcząco wyszliśmy. W Ludwipolu przebyłem noc w jakimś żydowskim alkierzu zamienionym na więzienie, a rano stanąłem przed hitlerowskim sędzią czy śledczym.

Pierwsze zaraz pytanie było o radio. Kiedy oświadczyłem, że na plebanii jest jakiś odbiornik pozostawiony przez mojego poprzednika, wstąpiła w niego furia i myślałem, że zaraz mnie każe rozstrzelać, ale sprowadzono mnie do kazamaty, a że /51/ miałem ze sobą brewiarz, enciałem się pomodlić. Wtem zjawia się ukraiński siepacz - potem dowiedziałem się, że to ten sam, który przypatrywał się moim zajęciom przy bystrzyckim oktarzu - i potrącając biczyskiem jak pastuch proponuje, abym po dobremu wyjawiał, gdzie u nas schowana broń itd... Kiedy mu spokojnie wyjaśniłem, że nic nie ma, zamierzył się biczyskiem, ale widocznie nie miał do tego prawa, bo tylko dał czas do namysłu. Powiedziałem, że ten czas wykorzystam na brewiarz. Mimo wszystko nie wybiła jeszcze moja godzina. Jakiś Niemiec przyszedł i wypytał szczegółowo o to "radio", które okazało się pustym pudełkiem, a ponieważ zbliżały się Święta, polecono mnie wypuścić. Wtedy zapytałem owego "naczelnika" pastucha: za co wy się właściwie na mnie mścicie? A on spojrzawszy złośliwie po chwili odpowiedział: o co, panie ksiądz, co rusz to swynia, a co, "złamani zawsze wstaniemy na nogi". Za pierwsze nie biorę na siebie odpowiedzialności. Być może, że coś podobnego Hornijczuk podsłuchał pod drzwiami, ale drugiego nie mogłem się zaprzecć.

/52/ Niebo wciąż zasnuwane chmurami, ale deszcz przestał padać, a głowa ciąży, postanowiłem więc jednak wyjść na przechadzkę. Dobrze zrobiłem, bo spotkałem Kobaczkowa, który mi powiedział, że przyjechał uczestkowy. Ponieważ posieleńcy mają obowiązek co miesiąc się rejestrować, a miesiąc już się kończy, poszedłem do kantory. Był tylko sekretarz, ale to wystarczyło. Zapytałem krzywo, jak należy do głuchego, co robię, pokiwał głową, kiedy mu powiedziałem, że nie dają żadnej roboty i na tym się skończyło. Kiedy się znalazłem nad wodą, przypomniała mi się Szucz.

W tym roku wieczór wigilijny spędziłem u Daranów. Czuję się tam dobrze w ciepłej atmosferze rodzinnej. Wracając na pasterkę ujrzałem daleko gdzieś nad Szuczą pożar. To płonął szlanownia. Odtąd coraz częściej niebo różowiło się kłuną. Palili Niemcy, partyzanie, banderowcy. Razu pewnego - było to po jednej z moich wycieczek do Lorec, gdzie dałem do naprawy swój zegarek, zia- /53/ wił się na plebanii jakiś na bandytę wyglądający osobnik z karabinem i zażądał zegarka. Lubiłbym może zaproponować, ale spojrzawszy na drżącą

ze strachu Antosię musiałem oddać pożyczony od ks. Godzińskiego zegarek. Myślałem, że to banderowiec i kto wie czy na dworze nie ma całej watahy. Pokazało się, że to był zuchowaty wyczyn partyzanta i że go nawet za to rozstrzelali, ale zegarek przepadł.

Inną przygodę już poważniejszą miałem w Ludwipolu. Bolesława partyzanie uprzedzili, żeby się ratował, bo oni idą na ortskomendanta. Tamach się udał, komendanta zabili, a rano kerna ekspedycja spaliła systematycznie wszystkie domy. Pozostał tylko kościół i ksiądz proboszcz, który się pod nim schował. Potem pojawiły się wieści o bestialckim mordowaniu Polaków. Parę nowożeńców z Łudek, która udała się do rejonu w celu zarejestrowania, znaleziono w lesie okrutnie poranioną bez oczu, uszu, jeszcze żywą. Opowiadano jak została wymordowana i spalona Niemila. Na odpust św. Izydora ks. Godziński jeszcze przyjechał, ale źrze- /54/ liśmy o niego, bo po drodze grasowały bandy. Kiedy wieczorem pojawiły się kuny i to coraz bliżej, chowaliśmy się w kościele, jakby to coś miało pomóc. Wreszcie przyszedł alarm, że mają nas okraść. Wtedy cała wioska z dobitkiem przeniosła się nocą do Łudek dalej od skowrogięgo Łęścia, gdzie na krzyżach wieszali płachty - sygnały śmierci dla Łudek. Meczowanie jednak nie mogło trwać długo. Ludzie powoli powracali do swoich, ale niebezpieczeństwo wisiało wciąż groźną chmurą. Wtedy postanowiliśmy przenieść się do Horodnicy.

27.IV. Wczoraj przyszła paczka od Wikołaja. Jak on o wszystkim pomyślał. Pomiędzy stosami ciastek i pierników jest i butelka wina i sporo opłatków. Jest i coś jeszcze. Dzisiaj rano dopiero na samym spodnie wygrzebano - brewierz - pars verna. Mam wprawdzie swój, ale bez polskich oficjów - a nadchodzi wkrótce św. Stanisława. Właśnie jakiś ksiądz Stanisław jest podpisany. Na pierwszej karcie czytam pośpiesznie ołówkiem napisane słowa do dziekana, słowa trochę dziwne: "jam consumma- /55/ tum est - zaledwie parę godzin dzieli mnie od celu - ostatnie zatem ślą podziękowanie za czułą opiekę. Tam przed Panem będę błagał o nagrodę". Tak mógłby pisać neoprezbiter, kiedy ma po raz pierwszy stanąć przy ołtarzu. Ale to consummatum est! a potem pożegnania i uściski ostatnie braciom w kapłaństwie, a wreszcie okrzyk: "Christus vincit ... Christus regnat".

I oto na następnej karcie już wraźniej: "Kochany Tatusiu i Drogie Rodzenstwo! Tylko kilka godzin dzieli mnie od śmierci niczem

nie zasłużonej - obowiązkiem kapłana jest złożyć i tę ostatnią ofiarę za Chrystusa. Ginę za nauczanie dzieci religii. Nie płaczcie, ani się smućcie po mnie - idę do Lamusi i tam wszyscy się spotkamy - a dalej jeszcze to samo ale inaczej i jeszcze więcej po kapłańsku: po trzech miesiącach więzienia cieszę się, że godny jestem cierpieć i umrzeć kapłanem. Nie zapomina też, że jest Polakiem. Oto co pisze do jakiejś ciotki: - Już mnie nie ma między żyjącymi. Obecnie znajduję się w celi śmierci a za trzy godziny - po wszystkim. Ostatnie zatem pozdrowienia i ukłony - tylko /56/ nie płakać po mnie, bo jestem spokojny - żal tylko tego, że Tej co prędko zmartwychwstanie - już na ziemi nie zobaczę".

Już nie potrzebuję czytać kartki do kolegi, któremu oddaje brewiarz. Tam już całkiem drastycznie: za 3 godz. kula przeszyje mi czaszkę" i składam ostatnią ofiarę i prośba, byś w tym imieniu pozdrowił Dieksztę. Ach więc to tam - jest i dokładniejsza data: Głębokie 4.III.1942. Myślę, czy te kartki zostały przypadkiem w brewiarzu? chyba nie. Może chodziło o przypomnienie, że dla tej samej sprawy trzeba również cierpieć, choćby to nie oznaczało kuli w czaszce.

W każdym razie w Twojej posyłce, Mikołaju, chyba to najważniejsze.

Laz jeszcze patrzę na datę: marzec 42 rok. Gdzie ja byłem wtedy? Może ginieś w Karpikówce, czy Carowym Borze, bo z Bernanki robiliśmy wypad na wschód. Po grząskich pisakach Zwichelskich bezdroży stary Lirykowiec lub starczy jeszcze Janek Lisowski, popłótnik całymimi gołziniemi dobrze wmoszczony wór, żeby dowieść księdza do swoich. Lękasz to radość była kiedy po latach 20 i więcej ujrzeli kapłana. Dom zamieniał się w kaplicę, /57/ Stary Goławski od wczesnego rana do sumy śpiewał godzinki, różaniec, potem jeszcze coś bez przestanku. Tekła zaś jak Marta z ewangelii troszczyła się około bardzo wiele.

W Karpikówce był kościół zbudowany przez Legionistów, kiedy szli na Kijów. Drewniany, wyniosły na wzgórzu. Rządził w nim w czasie nieobecności księdza Janek, a zacna Drapikowska wyśpiewywała ciągnąc w nieskończoność cienkim dyszkantem: słuchaj Jezu, jak Cię błoga lud. A Jezus słuchał i błogosławił żywym i zmarłym, bo i na cmentarzu radowały się kości poniżone, kiedy rozbrzmiało tam

od lat nie słyszane: "libera". Tęże się, że już w tym czasie odprawiłismy pierwszą po latach kolędę w Łacinówce, hucie, Tesnówce. Coś podobnego nie łatwo się zapomina. Do późnej nocy szła procesja z krzyżem od chaty do chaty nie omijając prawosłownych, a na całą wioskę roznosiło się śpiewanie czy raczej radosny krzyk: wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja, wiwat i Józef, z księdzem kompanija. Nikt tam nie dbał o poprawność /58/ tekstu, który w książkach wydrukowano inaczej. To krzyczały i radowały się serca, którym nareszcie wolno było swobodnie chwalić Boga!

Raz kiedyśmy lasem wracali, gdzieś za Małą Owilą zatrzymał nas oddział Uzbeków gotowy do strzału. Tylegitymowali nas i wypuścili, ale opodał w wiosce był oddział partyzantów. Zatrzymali nas na całą noc w jakiejś brudnej chacie, nad ranem pozwolili jechać dalej, ale konie przepadły. Zamiast pary pysznych kasztanów - mój gospodarz - czy nie Wilczyński - musiał się zadowolić jakąś starą hetą. Nie żałowaliśmy jednak, bo oni przecież nas bronili przed zaciskającym się coraz bardziej pierścieniem bandery. Kiedy nam dano znać o groźnym napędzie, nie było się co namyślać. Najpotrzebniejsze rzeczy włożono na furmankę - reszta została zakopana tajemnie pod kościołem i ruszyliśmy cicho przez Frankopol na Horodnicę. Te dwanaście kilometrów dzielące oba osiedla przemierzaliśmy już nieraz i ludzie nie byli obcy. Odprawiało się ciche nabożeństwo /59/ stwo u Prymaków niedaleko kościoła i u Karoliny Cieleckiej. Był już znany młody, energiczny Stanisław Swiniarski i Anieli, tercjarka, z Anasztazówki, którzy nas zawsze serdecznie witali, ale teraz jechaliśmy jak wygnancy i serce zbiło trwożnie, kiedy za mostkiem na Kerczyku ujrzeliśmy jakichś ludzi. Wysłany na zwiady chłopak oznajmił, że banderowcy czekają na księdza. Kazałem zawrócić furmance, a sam przeżegnawszy się krzyżem Świętym, jakimś płytkim brodem przedostałem się na drugi brzeg. Zaczęła się wędrówka po nieznanym ścieżkach. Każdy szelest mógł oznaczać zbliżającą się śmierć. Kiedy po długich godzinach wyczerpany zbliżyłem się do miasteczka, jakiś żołnierz zapytał zdumiony: wie sind sie gekommen?

W Horodnicy po prawej stronie drogi już prawie za miastem znajdował się duży, smukły budynek z czerwonej cegły - kościół. Niewielka wieżyczka jeszcze pozostała, ale wnętrze nie przypominało dawne-

go przeznaczenia. Dawne prebiterium oddzielone ścianą zarzucone rupieciem i jakimś starym belastwem. kawa poprzedzielana /30/ na szereg mniejszych klitek. Ale to przecież Dom Boży, a teraz inne czasy, zabierzemy się do pracy, jak owi synowie Matatiasza nad zniszczoną świątynią. Apel rozchodził się szeroko i dzień został wyznaczony, ale niewielu czy nikt się nie zjawił. Przemagał strach czy może jakiś i głęboko zakorzeniony marazm. Wtedy kilof w rękę i tynk leci aż miło. Potem cegła za cegłą. Zjawiają się ludzie z bliska i z daleka. Praca wre. Znika ściana za ścianą - wreszcie wnętrze puste, swobodne. Teraz już trzeba murarzy, cieśli. Skąd fundusze od biednych, wyczerpanych wojną ludzi? Resztą pieniąż nie ma wartości. Trzeba płacić chlebem i oto płyną worki ze zbożem. Pudry, dziesiątki pudrów z Anastazówki, Murczyckiej i Krywałskiej Huty, i dalej aż od Emilczyna. Trzeba się spieszyć, bo nadchodzi jesień i mury nie wyschną. Już jest i wspaniały portal z dębowego drzewa i okna świeżo wybite mają ramy. Jeszcze prowizoryczny ołtarz, koniecznie z k.Łoską Szkaplerzną, bo to Patronka, /61/ i jesteśmy gotowi do poświęcenia. Nie wiem jakim sposobem zjawiło się szczęściu księży. Był ks. dziekan Pająk z Międzyrzecza i Diakowski Henryk Kiewirkowski, oczywiście też nieodzowny ks. Gołwiński z całą grupą panów koneckich, które przywiozły różne dary, kiliny i ozdoby do kościoła. Baglińska przyjechała z tłustą gęsią. I to było potrzebne.

Był dzień 11 października - Święto Macierzyństwa Marii.

28.IV. W dniu sw. Pawła od krzyża staje przed oczyma w całym majestacie misterium Urucia. "Z Chrystusem przybity jestem do krzyża". Czy była choćby jedna chwila w życiu, w której mógłbym to szczerze powtórzyć, jak ci bracia, którzy na krzyżu i za krzyż ginęli? Może to było wówczas we Lwowie, kiedy pod młotkiem i dłutem profesora trzeszczała czaszka i przypominałem sobie cierniową koronę? Ale to było tak krótkotrwałe, że trudno by nazwać prawdziwym cierpieniem. Wciąż znałem je tylko z opowiadania.

Za parę dni po moim przybyciu do Horodnicy przywieźli do szpitala /62/ poranioną dziewczynkę Paszkowskich z Frankopola, którzy mieli przechować moje i kościelne rzeczy. Bagaż został jeszcze cało dostawiony, ale tejże nocy bandyci wymordowali okrutnie całą rodzinę złożoną z jakichś osmiu starych dziadków, rodziców, dzieci.

Najmłodszą, dziesięcioletnią dziewczynką klóli powoli nogami zadając osiemnaście ran. Dziecko prosiło: "dobiście". Wtedy nastąpiło silniejsze pchnięcie, straciła przytomność. Odzyskała ją pod stołem trupów, kiedy się naradzali, co z nimi zrobić. Na szczęście pókułarce, porzucili je i odeszli. A ona pozostała świadkiem.

A Dermanka? Pewnie jakieś kilkanaście lat potem, już z Korca byliśmy tam z Dąbrowskim, do którego przyjechał ktoś z Polski - obejrzeć groby. Z trudem można było znaleźć ślady zarosniętego gęsto omentarza. Na miejscu kościoła pozostały kamienne schody. Z plebanii ni domów wokoło ani śladu.

Gdzieś około Bozego Ciała, kiedy zaczynaliśmy myśleć o pracy przy kościele, nad Dermanką ukazała się /63/ kuna. Szczegóły wkrótce doniesiono. W wiosce zjawił się oddział partyzantów z czerwonymi znaczkami. Uspokoiłi wystraszonych ludzi i kazali iść do pracy. Wtedy rozpoczęła się rzeź. Tylko nieliczne młodzież zbiegła. Starzy legli na polu krwią użyźniając ziemię. Potem takich było na Wołyniu z górną 40 tysięcy.

W naszym w Horodnicy byli bezpieczni. I oto rozkolebała się na wieży korecka sygnaturka, kościółek zapelnik się ludem i z śpiewem litanii ruszyła procesja. ^WPadają krople święcone na mury, widać się żywy kadziła. Potem celabra oczywiście w asyście, bo jest i ks. Śpiewak ze Starej Huty - i oto przyszedł do świątyni swojej Panujący. Przeszedł do wszystkich i dla wszystkich. Do tego ludu ucieszonego latami nielenia, który wspomniel swojej ojczyznej mowy, ale nie pacierzy, i dla tych sterców, co jak Symeon oczekiwali zbawienia. Przeszedł i dla dzieci tylko z wody ochrzczonych pragnących anielskiego chleba. Ie przyszedł też jeszcze dla innych.

/64/ Raz, jeszcze w trakcie pracy przy kościele zawezwano mnie do Ortschaftsrentanta. Starszy już szpachowsty major czy pułkownik spojrział poważnie i zapytał: Sind Sie katholischen Priester? Kiedy potwierdziłem, zaczął opowiadać, że jego brat jest proboszczem przy wiekańskim tunie św. Szczepana, a on jest również wierzącym katolikiem. W jego głosie była gorycz, kiedy się skarżył na niebezpieczeństwa tej awanturniczej wojny. W kościele nie wiem czy był, ale inni zachodzili często. Raz zjawił się jakiś młody Ślązak z płożoną duszą, który oświadczył, że jest prozesem katolickiej młodzieży i prosił o komunię św. Potem przychodził prawie codziennie.

Od radości wysytko się w górnym i pamięci płąca

29.IV. Oj wczoraj rwie mi się wątek. Udziałem właśnie opowiedzieć o buncie Uzbeków i nowych moich owieczkach, kiedy przyszedł list od Nikolaja. Teraz oni jeżdżą swobodnie jak ja wtedy - po Krecznach, Gródka, Litajgrodzie, może też będą i w Kołozanach, gdzie się sterali o mnie. Ks.Muczyński pracuje w Larze i jeszcze dwu parafisch, ks.Drazepecki w Szarogrodzie. Inne zaś przypominają się natrętnie /66/ rano czytane słowa: "wszelką latorośl nie przynoszącą owocu odetnie" - jakie to groźna przestroga - ale dalsze pełne pociechy - "a wszelką, która przynosi owoc oczyści, aby więcej owocu przyniosła".

Potem przyszła posyłka od Zofii. Czyż mi myślą naprawdę mnie wyekwipować na szereg lat? kupiła nowe spodnie, jakąś bieliznę i różności. Ale czemu Zofia nie napisała, że umarła Larnańska, a Medyński dogorywający?

Wreszcie przyjechała Maria a z nią jeszcze troje: Georg, Katia i Nila. Tego już się nie spodziewałem zwłaszcza Georgia, ale dobrze, że przyjechał, bo pojedzie do Lwowa. Byliśmy razem na cmentarzu. To już nie była dotychczasowa samotna przechadzka. Beszły się kobiety z dziećmi do chrztu, bo moje Siostry zaczęły spustelską pracę, ochrzciłem tylko jedną dziewczynkę, ale kontakt został nawiązany. Dziś po raz pierwszy na mszy św. było dziewięcioro. Gregor skrzył w komży - ale śpiewać nie możemy, bo przez ścianę słyszeć, a mieszkają obcy.

30.IV. Już się zaczyna. Wczoraj był jeszcze /66/ jeden chrzest, a dziś rano mieliśmy piękny moment: obłóczyny Georgia. Śr.Konrad będzie miał swoje naśladowcę. Wieczorem zaczyna się nabożeństwo majowe.

2.V. Witaj majowa jutrzeńko!

Myślałem, że trzeba będzie tylko wspominać, tymczasem zaczęła się jakaś nowa karta, może równie piękna. Ochrzciliśmy kilkanaścioro dzieci. Wczoraj św.Józef Robotnik rozbudził trochę gorliwości. /wczoraj 12, dziś już 18/. Nabożeństwa majowe śpiewamy najpierw po polsku, a potem schodzi się sporo Niemców. "Chata skraju" stała się Domem Bożym "Non nobis, Domine, non nobis". Gospodyni - była luteranka - brała ślub.

3.V. Plakaliśmy serdecznie i rzewnie. To jakże nie płakać, kiedy tam daleko tek wielkie święto, a nas tu czworo w obcej niemieckiej chacie powtarza te same słowa przysięgi: "my dzieci narodu polskiego" - dodawaliśmy jeszcze, "rozproszone na dalekich, obcych ziemiach". Ileż to razem z nami płacze w tym wielkim dniu dzisiejszym tysiąclecie! W Tańcoży, Szortandy na posesjach, a i tam daleko w Równem, Dółbunowie, Morcu. /67/ Serdeczna łotko - niech się płacz sierot ... Nieznośnie płakali razem z nami. Może przez współczucie, a może i w ich sercach rozbudziła się tęsknota do innego życia, gdzie w maju kwitnąe kwiatki, ozdabia się nimi ołtarz Gottesmutter i śpiewa pełną piersią. Myśmy też śpiewali trzy dni rano i wieczór. Georgi przypomniał piękną melodię litanii i nawet nie baliśmy się przechodzących pod oknem kazachskich sąsiadów. Podobno nieźli ludzie, szkodzić nie będą. Sami schodzą się z swoim mężką tak samo. Ale teraz te dni minęły, a ksiądz nają podobno powieźć gdzieś indziej. Książę ścisła się serce i powtarza jakże odpowiednio wypisane na naszym prowizorycznym tabernakulum słowa: "Herr, bleibe bei uns".

Nie mogłem zaraz wracać do domu. Trzeba było iść naprzód siebie byle gdzie, by po drodze stracić wezbrany ból i gorycz. Z daleka wiązaniem odjeżdżającą maszyną. Ileż to razy powtarzać się będzie to bolesne pożegnanie? Już niedoaleko omentarza ujrzałem wśród zeschłej trawy, jakby jakieś zjawisko, małeńki żółty kwiatek. Rozglą/68/ dałem się dokoła, czy nie na ich więcej. Ani śladu na całym rozległym stepie. Zerwałem i podniosłem, delikatnie jak relikwię. I oto mam w ręce nie jeden, a dwa przytulone do siebie nieśmiało kwiatuszki. Znowu dwa. Misit illos binos. Nie, już nie mogę i nie chcę być sam dziś, kiedy tam są wszyscy razem u stóp Królowej.

Kiedy byłem tam po raz pierwszy? Jakoś nieśmiało wyłania się z mroku pierwsza ksiża św. przed cudownym obrazem. Może to było wtedy w pierwszych latach kapłaństwa, kiedy byłem wysłany z rekolekcjami do braci szkolnych. Jakże zawiedli się kiedy zamiast miodopłynnego Anioła przysłano im Serafina - ale bez ognia. Było to jednak dwanaście niezspomnianych dni, kiedy mogłem dokładnie obejrzeć całe sanktuarium. Paulini z o. Generałem Przeździeckim oprowadzili po refektarzu, bibliotece, skarbcu. Obejrzelismy krużganki, wozy ze stercjami. P. Lorelski pokazał swoją pracownię z kopiami obrazów. Potem był czas na katedrę, św. Barbarę /69/ z cudowną studnią.

Wtedy więc po nas drugi w roku 1936 szliśmy już z pielgrzymką terc-
ejarską wszystko to było już dobrze znane, ale kiedy w dali ukazało
się wieść i zabiły dawony, wrażenie było nowe. Nad morzem głów prze-
mawiał Haller w niebieskim mundurze, jak brat do braci. Mówili też
inni, ale to najbardziej utkwilo mi w pamięci. Potem była procesja
i nabożeństwo solenne przed wyniesionym na zemną obrazem. I wte-
dy trzeba było przemawiać z kolei po innych. Tamiast znakomitego
ks. Kłpasa zgromadzone wokół 180 tysięczne tłumy usłyszały słaby
głos młodego kapucyna o akcji katolickiej w tercjarstwie. Musiało
to wypaść miernie, ale zgubiło się w reszcie.

A dziś z tej samej mównicy do niezliczone większych tłumów
przemawia pewnie Prymas i inni dostojnicy. Żeby choć dalekie echo
doszło tu na jakichś falach. Niestety, nasze radio cały dzień spi-
kocz światła, a kiedy wreszcie wieczór się obudzi, to zacznie mled
po kazachsku.

/70/ Kapisażem podanie do Moskwy. Krótko i jasno: że mnie niespra-
wieśliwie sądzili, skoro i teraz nie mogą dać pracy. Proszę o anu-
lowanie wyroku i zarejestrowanie na pracę kapłańską. Niech idzie
pod auspicjami Królowej. Cudownie kwiatuszki w wodzie żyją - tylko
jednemu opadły dwa płatki.

4.V. Nie płacz! Jezus przychodzi i pociesza. Wychodzi naprzeciw -
jak w Nain. Dziś było ich pięć - ale wraz z nimi niezliczone rze-
sze jak Monika błagające cudu. Czy żyjesz jeszcze Staruszko Mech-
tyldo, która od lat wypłakałaś oczy za oddalonym o Doga synem?
A Maria? Pielęgnowała dziatki jak delikatne kwiatuszki, chroniąc
od wichrów niewiary, miło było patrzeć, jak pobożnie się modlili.
I oto wdarł się nieprzyjaciół, pociągali go, by poszedł do nich,
a teraz zmuszają do bluźnierstwa. Jakże nie płakać?

W dniu św. Moniki stoją w pamięci szeregi płaczących matek.
Widzę je jeszcze te matki i babki, jak prowadzą swoje skarby do
kółka Haneczki a Ona ochrypłym od wysiłku głosem uczy je kochać
Jezusa. Potem jasny dzień Pierwszej /71/ Komunii św. Jeszcze parę
lat, a potem już tylko łzy i smutek. Znika dziewczęca wiara, w za-
pomnienie idzie modlitwa i zbawienne upomnienia. Kwący potok życia
pochłania wszelki idealizm. Można zrozumieć Marię, kiedy straciwszy
tragicznie Wiktora, płacze jak matka, ale z rezygnacją oddaje dziec-
ko Bogu mówiąc: może lepiej, że zginął i świat nie miał czasu go

depsuś. Tupeźnie jak ratchnione słowa: raptus est, ne malitis immu-
tare intellectum eius. Kiedyś pokazano mi fotografię z dziećmi i
nauczanie dzieci nazwano przestępstwem. I oto matki płaczą. I my
się modlimy: Pociesz Jezu, jak ongiś Monikę!

Przyssła druga paczka od Tettii. To już chyba za wiele. Oni
myśla, że przynieram głodem.

5.V. W więc Cromyko był w Watykanie! Tydzień temu, ale nasze "Neue
Zeit" właśnie tyleś się spóźnia. Świat znou zwrócony w tamtą stro-
nę, jak za Piusa V. Ale wtedy była wojna i zwróćstwo - ad contenen-
dos hostes, i pomocy św. Papieża wzywany "abyśmy zwyciężywszy nasacz-
ki wszystkich wrogów, radovali się wiecznym po- /72/ kojem! Teraz
o wrogach nie ma mowy. Jakby znikły piekielne bramy. Ścielili mu
purpurowo dywany - a potem długo ściskali sobie nawzajem dłonie i
uśmiejali się do siebie. Nie śmiej snuć nadziei, by ta serdeczność
miała wpłynąć na los mój lub choćby setek tysięcy kasachstańskich
katolików pozbawionych pasterzy. Ale poanie już pewnie w drodze.

Równocześnie prawie zdarżało ziemia w Taszkencie. Ktoś złośli-
wy mógłby pomysleć, że to bramy piekielne wstrząsły się ze złości.
Nie mogą się pochwalić znajomością tego starożytnego miasta - sto-
licy Uzbeków. Byłem tam tylko na dworcu z Barbarą w przejeździe do
Katiubinska. Był tropikalny upał. Kupiliśmy parę kilogramów pomid-
rów po bajecznie niskiej cenie, a potem zaczęła się nudna podróż w
prawie pustym wagonie. Udzieś w drodze woiadło parę prawie czarnych
tutyleców o skośnych oczach z wzorzystymi jarmułkami na głowach.
Śmiała Turka w długich pasiastych nieckach. Za /73/ oknami cią-
gnęł się bezkresny, nudzący oczy monotonią step. Czasem tylko ukazał
się melancholijnie czkapiący osioł z jakimś nędznym jeźdźcem pog-
niający stado owiec. Stolica Uzbeków pozostała daleko. Nie wiem,
czy wtedy pamiętałem, że to plemię odegrało rolę w moim życiu.

Dończyliśmy nabożeństwo w Horodnickim kościele - było to zdaje
się Niepokalane Poczęcie, kiedy rozległy się strzały. W pośpiechu
zabraliśmy co można - resztę miał się zaopiekować Staniskaw - i
chyłkiem udaliśmy się do pobliskiego domu Karoliny. Kule gwizdały
coraz gęściej. Zaczął prószyć śnieg. Bój rozgorzał na dobre. Powie-
dziono, że to właśnie oddział Uzbeków podniósł bunt i wspólnie z
partyzanami gromią Niemców. Parę kobiet z Medwedowa zaproponowało
schronić się do nich. Nie było czasu do stracenia. I oto owce

prowadziły posterza. Szliśmy lasem, potem polami, poprzez zniszczony Rajdan, Zabonę, Sergeiówkę. Nie wiem jak długo trwała podróż, kiedy /74/ dotarliśmy do Ledwedowa.

Teraz warto wyśledzić pamięć, by chwycić szeregół po szczególe to życie krótkie, ale jakie różnorodne wśród ludzi oddanych całym sercem, spragnionych Loga, rozradowanych tym co przyszło tak niespodzianie. A więc najpierw Teofila - mała nieuczona, ledwie umiejąca czytać, zacinająca się w mowie, horrendalnie kalecząca polszczyznę, ale trzymająca wszystkie sprężyny w swoich pokręconych w więzieniu palcach. Bo więzili ją i katowali za wiarę. Kiedy nocą po późnym nabożeństwie, ludzie rozchodzili się do domów, ona kładła się na progu izby księża warując jak pies, bo po nocy włóczyli się partyzanie, mogliby przestraszyć.

Naprawdę urządziliśmy w szkole. Było tam coś w rodzaju estrady oddzielonej szczytkami drzwiami. Wszystko to zostało znakomicie zażytkowane. Gruby Janek Carbowski, Turowski i inni urządzili ołtarz, zrobili ładne tabernakulum, a Maścia, Michalina i innych bez liku zajęły się przyozdobieniem - wszystko pod dyktando Teofili. Potem /75/ zaczęły się masowe chrzty, wiele ślubów i katechizacja dzieci. Trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Nstrudziła się wiele s.Leokadia, ale jakaż radość patrzeć na gromadki dzieci, jak kwiatki zebrane przy ołtarzu. Schodzili się też z innych wiosek: Zaprudy, Malaski, Mostowy Rudni. Ale niebawem i to nie wystarczyło. Kusiliśmy rozpocząć apostoelskie podróże do odleglejszych wiosek. Na wóz lub sanie siadała zwykle nieodłączna Teofila, s.Leokadia i jeszcze ktoś z śpiewających do pomocy i jeździliśmy błotnistą drogą od wioski do wioski z pokojem łożym. Ludzie wychodzili na spotkanie ze świecami i płaczem. Nabożeństwo odprawiało się zwykle w jakiejś chacie, ale bywało też inaczej. Niezapomniany był dzień w Mostowej Rudni. Ołtarz urządzili pod rozłożystym drzewem na wysokim podium. Ludu zebrało się sporo. Płacz, entuzjazm niebywały. Po nabożeństwie w Łosiowej zjawił się niespodzianie młody ruski batiuszka z Niepoznania. Rzucił mi się w ramiona i przez łzy /76/ powtarzał: "ja brat, ty brat".

W Krywotynie był kościół podobno postawiony przez ks.Zygm. Chmielnickiego, którego tam wspominali. Drewniany ale przyozdobiony wewnątrz jakąś sztucznie rzeźbioną boazerią przedstawił się sympe-

tycznie. Nie miałem czasu na oledziwie, bo praca starczyła na całą noc. Był odpust tytularny S. Floriana i Leona.

Główny kościół znajdował się w Lmilenynie. Kiedy nam go oddano widać widać się, i nieśmaczki i stary felcystki z domowej wytwórni ołtarz. Pierwszą rzecz była postać na ścianach wielki iłtowy kryształ z okowitą odlewem wizerunku. Tuż obok tym Tędzierski z Lychalą, w którego czasie odnowiła się, nabożeństwo. Potem zrobiła się, przewidziany ołtarz. Jakże konfesyjonał, parę prostych ławek, nawet ambona. "Kolekcjonista suszyły się, bała mi solidniejszego ołtarza, który już się projektował.

Wykonaniem na świecie pracowała się, wagna, po ławach buszowali partycipant. /77/ Co raz słyszeć się o jakichś śmiałych ich w czynach. Raz podobno nawet na rynku w Lmilenynie podrzucili bombę. W ledwie- wle rozlecieli się na dobre, dlatego czuliśmy się bezpiecznie. Nie wiedzieliśmy, że niebezpieczeństwo może przyjąć taką formę.

Tyle to zdaje się w maju, kiedy wezwano mnie do choroby w Lmilenynie. I powrotem - nie wiem dlaczego - pędziłem wąską drogą lasem. Przy tej okazji do wioski trwożne gromadzi ludźmi: "Co wy tam nie spotkali?" Sto osób wzięła basztery - ludźmi, że sathu - wpaść do wsi, byli w kościołach i opokali ludźmi, tam - ludźmi. Podobno obstarali drogę. Wówczas nabożeństwo już w tym dniu nie było. Czynną może uchronić w owaligęcej kory, miły przybytko i ody świadka ten i wzruszeń. I to ludźmi nie na czasu się dziać. wie us nawet Tcofili. Ktoś już nie? Ktoś? Ktoś wprzeku na płocy i dotyk oledziem pielgrzymów czy wprzeku wprzeku z s. Lookefia. Nawet nie oledził się, czy kto /78/ nie idzie do wsi. Cóżby to pomogło? Na wieczór wyszliśmy w Lmilenynie. Tam prawił przy kościele mieszkaniec Lurowli - e w miasteczku lokal lotwicki i jeszcze parę rodzin polskich - niewiele. C.N. Mnie najmniejszemu ...

Lmilenaj nie odprawiłem rozmysłania. Rano trzeba było iść do Lmilenaj, było parę osób do spowiedzi, nabożeństwo trwało prawie do południa. Ale za te oszy dniem nie schodzą mi z pamięci słowa, z którymi się przebożylem, a które po niezliczoną ilość razy przypominają się w Pierwszy Piątek, słowa o nieścisłych bogactwach Chrystusowych. "Mnie najmniejszemu ze wszystkich dana jest ta łaska". Ile to już nawiązało się tych złotych ogniw, którymi Chrystus przy-

ciąga do Siebie? Nie licząc dwunastu lat w Równem, w ciągu których Pierwszy Piątek mało kiedy był ograniczony do jednego kościoła, ile to innych wiernych miało sposobność korzystać z Wielkiej Obietnicy. Chyba już dawno odprawiało się /79/ w Olecku. Różne i przecieżne były przeszkody, warunki dojazdu ciężkie, a przecież złoty łańcuszek się nie przerwał. Zawsze wyczołżali na czas do pociągu, czasem czekając godzinami, potem milcząco prowadzili do coraz innej chaty i wszystko odprawiało się bez przeszkody.

A te dwa lata ostatnie prawie zawsze : Taincza, Akmolińsk, Szortandy, czy to nie nieprzerwany cud łaski? Zawsze im to mówkiem i teraz może jeszcze lepiej pojmują jak dotychczas - podobnie jak i ja.

Dzisiaj rozpoczęliśmy nową nowennę. Jak na Arykty było dość - 17 w tym czterech mężczyzn. Oby wytrwali. mówkiem, że i dla nich otwiera się źródło łaski.

7.V. Dzisiaj jest piękny dzień majowy. Tam daleko rozwijają się drzewa, rychło obsypią się kwieciami wody nad Korczykiem u Kassalskich, w Zdołbunowie zakwitną oleje jeszcze za Polski sadzone. Tutaj po ulicach skrzypią traktory, z kłopotem przewalają się kombajny a przed obdartymi, często jeszcze ziemią lub słomą krytymi chatami nikt nie dba o minimum estetyki. Aleksander /80/ który zaszczerpił przed domem parę drzewek należy do wyjątków. Aby napaść oczy zielenią, trzeba wyjść poza osadę na rozległy hen aż do Kambedałka sięgający step.

Ale najwięcej jej i pewno najsmaczniejsza znajduje się na cmentarzu. Tak myśli pewnie ta sympatyczna krówka, którą już dwa razy spędzałem z pobliska grobów. Pierwszy raz w sam trzeci maj, kiedy rano zaszedłem tu po owym smutnym pożegnaniu. Była owszem bardzo grzeczna i wystarczyło pokazać jej drogę, żeby odeszła spuściwszy smutnie ogon z poczuciem winy. Wczoraj zastałem ją znowu już wieczorem łapczywie skubiącą trawę. Nie wiem zresztą, czy to ta sama. Ostatnio na jakimś świeżym grobie leżało oderwane poprzeczne ramię krzyża. Namordowałem się, żeby je jakoś przymocować. I oto dzisiaj patrzę, a mój krzyż złamany w połowie. Czy jaka moc złośliwa, czy może wiatr? Dość że krówce pogroziłem i acz niechętnie, musiała się oddalić ... żeby za chwilę wrócić /81/ z innej strony. Musieć

jej wytłumaczyć, że taka nahałność nie jest dowodem dobrego wychowania, a cmentarz to miejsce święte i nie można go za przeproszeniem ... i to wreszcie poskutkowało, nie wiem czy na długo.

Właściwie jeden bydlak mi nie przeszkadzał ale za nim mógł przyjść pastuch, a ja chciałem być swobodnym i śpiewać. Dopiero tu wśród grobów na wolnej przestrzeni, pod wieczornym niebem zasnutym chmurami może się rozlegać szeroko polska litania.

Kyrie elejson ... niesie się ponad groby z krzyżami i gwiazdami, w których śpią nieznane kości ... Kyrie elejson hen daleko ponad bezkresny step.

Na majowe nabożeństwo mógłbym zebrać Niemców. Nawet parę razy odprawialiśmy w domu, ale trzeba było czytać półgłosem, bo za ścianą mieszka jakiś bezbożnik, którego gorszy śpiewanie. Zresztą mnie trzeba wołać i śpiewać do naszej Polskiej Matki Bożej z Częstochowy i Ostrej Bramy, Korca, Równego, Dubna, Starej Huty i Lwowa. Trzeba przeżywać na nowo to co minęło i co się tam powtarza /82/ tylko trzy lub pięć godzin później. Szkoda tylko, że nie mam tych naszych pięknych modlitw, których żadne niemieckie nie zastąpią. O Nadziejo, o ucieczko nasza, do kogóż pójdziemy? Któż nasze łzy osuszy? Nawet nie trzebaby zmieniać na liczbę pojedynczą, bo zawsze jesteśmy razem, jak ongiś. A nasze pieśni! W każdy dzień prawie śpiewaliśmy co innego i jeszcze repertuar nie był wyczerpany. W Starej Hucie Bielawska śpiewała solo Matko Królowo! śpiewała cudnie i rzewnie: gdzie pójdą Twe dzieci, jeżeli Ty odwrócisz się, a cały kościół już prawie z szlochom kontynuował: ze łzami w oczach, sercem bolejącym ... śpiewał i wołał: okaż Swą litość nad ludem cierpiącym, przemień Maryjo smutny nasz los.

To znowu w Równem słyszę męski głos Zbyszka i cienki sopranik p.Róży, potem już cały chór z Sokołami, Irką, Jadzią, Miętkiem, Ryśkiem, Mikołajem, Konradem i kto ich tam wyliczy. "Pieśnią wesela" "Do Twej dążym kaplicy", "Ty, której berko ląd i morze słucha" , "Witaj Mario śliczna Pani", "Gwiazdo zaranna", "Matko najświętsza", "Serdeczna Matko" - "Bogarodzico Przepczysta /83/ Panno". A zawsze jak konieczny refren wezwanie idące w szeroki świat: Chwalcie łąki góry, doliny, źródła, strumyki, co igra z morza falami, lub buja w powietrzu, wszystko co istnieje i żyje niech z nami śławi Maryję. Czyż może być co cudniejszego jak ta wiązanka kwiatów i śpiewów codziennie składana Marii?

Często czytam u Aleksandra luteranską biblię i zwracam mu uwagę, na ich niekonsekwencję. Przecież oni też wiedzą, że anioł pierwszy wymówił słowa, które my za nim powtarzamy. Lniejsza z tym, że Luter przerobił Ave gegüsst na gabenedeit, sens jest jeden: głęboka cześć oddana czystej Dzieweczce w imię Eoga. To znowu Maria pod krzyżem: Przecież nie tylko do Jana powiedział P.Jezus: Oto Matka Twoja. Albo czytamy szanowane u nich Predigten Gottlieba. Umyslnie szukam kazania na Oczyszczenie Marii. Z pewnością tam coś będzie o Tej, która daje tytuł świętu. Ani słowa. Jakby to sam starzec Symeon znajdował się wówczas w świątyni i cieszył się Boskim Dzieciątkiem, niewiadomo skąd otrzymanym. /84/ Bezwiednie choćby rodzi się bolesne pytanie: czemu ten syn św. Augustyna tak bardzo skrzywdził swoją matkę? Luteranów jest tutaj sporo, może większość. Nawołuję naszą wierną gromadkę do apostołstwa. Lida, która przyszła do nas sama i teraz jest jedną z najgorliwszych dała początek. Napisałem listy do Massalskich i Mikołaja.

8.V. Dzisiaj w Krakowie wielka procesja na Skałkę. Przez szereg lat brałem w niej udział, a w ciągu kilkudziesięciu następnych przeżywałem w różnych miejscach i okolicznościach, ale zawsze z tym samym wzruszeniem. Oto na wzgórzu wawelskim rozwija się pochód. Idzie las sztandarów, bractwa ze świecami, korporacje, cechy a potem niekończący się podwójny szereg zakonnic w czerni, bieli, w szarych lub brunatnych habitach: franciszkanki, norbertanki ze Zwierzyńca, szare siostry św. Alberta, Felicjanki. Za nimi równie długi i barwny szereg duchowieństwa zakonnego. Idą siermiężni albertyni, truwają czarne, narzucone na biel habitów /85/ płaszcze dominikanów, za nimi boso kroczą kapucyni, karmelici, potem już trzewiczkowi, jezuitci, wreszcie już sama biel: klerycy w komżach, kanonicy w purpurą przeswiecających rochetach. Potem szereg się zwęża, ścieśnia. Idą prałaci w kapach od złota kapiących purpurowych, a za nimi pod baldachimem Książę Arcypasterz na purpurowej poduszce niesie Relikwię.

To Dobry Pasterz idzie raz jeszcze na miejsce swej męki pobłogosławić narodowi. Bo tam na Skałce na dziedzińcu w stalach wzgórz gromadzi się cała Polska. Prosty pracujący lud, inteligencja, uczeni, młodzież - wszyscy.

Dzisiaj Msza św. odprawiała się przy samych Niemcach, trudno ich było prowadzić na Skałkę, ale kiedy czytałem słowa Chrystusowe: "idę do Tego, który mnie posłał", myślałem o tym, który tysiąc blisko lat temu został posłany, aby krwią męczeńską ocalić idącą ku zagubie owczarnię. I o nim też myślę wciąż, o tym drugim Stanisławie, którego brewiarz właśnie dzisiaj mam w rękach. Ty też, Drogi Bracie, w kapłanstwie /86/ i Chrystusie otrzymałeś posłannictwo, które spełnił aż do tych ostatnich słów wypisanych drżącą ręką na trzy godziny przed końcem: "consummatum est".

Na dworze ponuro i silny wiatr, ale nie mogę siedzieć w domu. Głowa ciąży, oczy zachodzą snem czy łzami. Gdzie to był nasz zeszcłoroczny św. Stanisław? Pewnie u Wołkowskiej zawsze płaczącej nad dziećmi. Była prymitywna, półkolorowa fotografia od Koludów, którą w braku innego obrazu postawiliśmy na ołtarzu. Nie lubię tych mało estetycznych, standartowych odbitek, które mało nastrajają do skupienia. Nie mogę zapomnieć Mietka z jego artystycznym wyczuciem. Nasz rówieśki św. Stanisław przemawiał swoją pasterską powagą. Surowe, ascetyczne oblicze zdawało się mówić: nie wolno, ale dobre, łagodne oczy patrzyły z miłością na zebrany lud, kiedy z chóru grzmiał gromki śpiew: "Gaude mater Polonia" - Pewnie po raz pierwszy sam jeden na obczyźnie powtarzam te tryumfalne, a dziś bólem nabrzmiałe słowa: "Ciesz się Matko Polsko".

BRANUJE 9.V. - 23.V., 88 stron, 5² - 174

.... /175/ usłyszałem tę groźbę. Odpowiedziałem spokojnie: róbcie co chcecie, wszyscy kapłani cierpieli i ja też cierpieć będę, jeśli trzeba będzie. Zdáwał się nie rozumieć, ale nie chciałem tłumaczyć. Powiedziałem tylko: "czy to nieprawda?" Kasza rozmowa była skończona. W domu na Dekabrystów powiedziano mi, że wzywają do gorswieta. Zastałem głowę i kilku nieznanych urzędników. Jeden z nich powiedział mi, że jest skarga na mnie, że nie dają ludziom spokoju, buntują, posyłam, a przecież to wszystko bezcelowe, bo pracy nigdzie mi nie dadzą. Wobec tego radzi wyjechać do Polski. Odpowiedziałem, że nad tym się namyślę, bo wyjazd jest dobrowolny i mam prawo jako tutejszy obywatel, nie korzystać z pozwolenia. Wtedy powtórzyła się groźba, że jeśli nie wyjadę, mogę się narazić na cierpienia. Lepiej decydować zawczasu, dziś jeszcze. Oni wszystko ułatwią. Wyszedłszy z gorsowietu skierowałem się do Owiru wiedząc, że o tej porze będzie zamknięte. Noc i dzień wielkanocny spędziłem w Połonnem. Ta pierwsza Wielkanoc poza własnym kościołem musiała być /176/ niezwykle rzewna. Przeżywałem w duchu żal moich zawiedzionych owieczek, które oczekiwały świątecznej radości, a teraz płaczą przy Grobie.

W Poniedziałek rano po nocnej podróży byłem zmęczony. Po Mszy św. dano znać, że zajechała maszyna. Ledwie miałem czas na nowo położyć się do łóżka, weszło do pokoju czterech urzędników, z których dwóch widziałem uprzednio w gorsowiecie. Bagińska powiedziała im, że jestem chory, mam zawrót głowy i nie mogę z nimi rozmawiać. Mimo to ten, który przedtem prowadził sprawę przystąpił do mnie z serdeczną perswazją, żebym wyraził zgodę na wyjazd, bo w przeciwnym razie ... Powiedziałem słabym głosem, że teraz nie mogę mówić ni myśleć, a jak wyzdrowieję, to zobaczymy. Wtedy zaczął coś na boku rozmawiać z Bagińską. Potem dowiedziałem się, że proponował jej, aby za mnie podpisała zgodę na wyjazd. Te wizyty ale już pojedyncze powtarzały się jeszcze parę razy w jednym i drugim dniu. Pytano, czy mi nie lepiej. A we mnie dojrzywał zamiar: trwać, choćby i cierpieć trzeba było dla sprawiedliwości. /177/ Sprawiedliwość jest, żeby wierni mieli kościół i kapłana. Będziemy się tego domagać i czekać lepszych czasów, choćby przyszło w tym czekaniu znieść wiele trudów.

We wtorek wieczór cichaczem dostałem się do Lu. Bałem się, że będą mnie śledzić. Przeczekałem na cmentarzu aż przyniesie moją podróżną torbę. Zdawało mi się, że ktoś chodzi poza drzewami. Ale nie. Pojechaliśmy przygodną maszyną do Dubna a potem dalej - już nie wiem jak - do Lwowa. To był pierwszy dzień mojej tułaczki, którą później nazwią żebractwem.

Na razie żebrakiem nie byłem. Jak zwykle Zosia nas ugościła, potem Wanda wróciła do domu, a mnie prof. Michałowski polecił pozostać na klinice. Byłem mu za to wdzięczny, bo znaczyło to, że jakiś czas przejdzie mi spokojnie - a potem - co Bóg da. Procedury z uchem trwały długo i nie dawały rezultatów. Widziałem w tym palec Łoży i nie martwiłem się zbytnio, bo klinika znajduje się naprzeciwko kościoła św. Antoniego, a młodzi lekarze patrzyli przez palce, kiedy rano /178/ tam na godzinkę pobiegłem. Zresztą i nasze siostry ułatwiały. Było kilku pacjentów, którzy się spowiadali.

Niespodzianie zjawił się Franciszek z Rogoźnicy. Eył w Równem i Marja przysłała go tutaj. Potrzeba im księdza i to zaraz prędko. Parafia duża, a ksiądz wyjechał, zostawił ich sierotami. moje leczenie jeszcze trwało. Przyjechał drugi raz. Czekają niecierpliwie. Jak na złość u mnie poprawy nie ma. W sam dzień wizyty profesorskiej pojawił się szalony zawrót głowy. Może trochę przyczyny było w tym, że oddałem się forsownie angielszczyźnie. Wreszcie wypisali z poleceniem ponownego stawienia się za jakiś czas. Udaliśmy się z Franciszkiem przez Równe i Baranowicze do Grodna, a raczej wprost do Rogoźnicy. Wpierw jednak odwiedziłem proboszcza w Krzemienicy, który obsługiwał też parafian rogoźnickich. Była niedziela a do tego jeszcze jakieś święto, więc nabożeństwo odprawiało się uroczysto i długo z procesją. Po sumie zawezwano mnie niespodzianie do rady wiejskiej. Tu się dowiedziałem, że w Rogoźnicy urządzili dla mnie owa- /179/ cyjne powitanie, wobec czego polecają mi stąd jak najprędzej zniknąć. Mimo to pozostałem jeszcze jeden dzień u ks. Józefa, który nawet prosił mnie, żebym jako zakonnik jemu i siostron dał jakiś duchowny obrok. Potem cicho udałem się do Rogoźnicy. Kościół dość duży, cmentarz pięknie utrzymany z muirowaną i żelazną bramą, świadczyły że ks. Mianowski był dobrym gospodarzem. Dlaczego wyjechał? Pewnie nie dawali mu spokoju, podobnie jak mnie. Wobec

rozgłosu i zakazu ze strony władzy miejscowej, nie mogłem teraz tu jeszcze pozostawać. Poleciałem im robić konkretne starania i wyjechałem. Potem byliśmy z Franciszkiem w Grodnie u pełnomocnika. Powiedział, że jeżeli na mnie ciąży jakie przestępstwo, to nie rejestruje. Teraz mieli starać się wszelkimi sposobami przypisać mnie u siebie i zjednać pełnomocnika, a wtedy będę mógł wypisać się w Równem i przyjechać do nich. W jakiś czas potem otrzymałem w Równem telegram, żeby przyjeżdżać, bo wszystko gotowe. Trzeba było zrobić decydujący krok. Zostałem /180/ wypisany z Równego.

Tu jednak rozpoczyna się nowa karta, której dzisiaj nie można byłoby dokończyć. Zresztą chodzi o przyczyny wygnania i tułaczki. Kiedyś, znacznie później, mieliśmy charakterystyczną rozmowę w rówieńskim domu bezpieczeństwa. Musiało to być już po zabraniu kościoła i rewizji u Zofii, bo mieli w rękach "Prosto z mostu" i moje fotografie z dziećmi. Co do czasopisma, łatwo było powiedzieć, że to nie moje i nic mnie nie obchodzi, że za polskich czasów Stalina i innych karykaturowali. Ale fotografia - to już "corpus delicti". "Wiecie, że prawo zabrania uczyć i spowiadać dzieci". Nic nie wiedziałem o takim prawie - odpowiadam - a jeśli ono jest, to nikt z nas nie może się jemu poddawać. reakcji na to chwili zaczęto znowu tonem protekcyjnym. Myślano, że z was człowiek szczery /otkrowienny/. Dałem poznać, że nie rozumiem. Ot tak, gdybyś wyszedł na ambonę i powiedział ludziom: nam nie potrzebny papież, obejdziemy się bez Jana XXIII, on wróg Z.R. to i my /181/ nie chcemy mieć z nim związku - wtedy rozmawialibyśmy inaczej. Otworzyły mi się oczy. Ach to o to chodzi! Powiedziałem, że gdybym zrobił czego oni żądają, wierni napluliby mi w oczy i nikt nie chodziłby do kościoła, bo oni są przywiązani do katolickiej wiary, a to byłaby zdrada.

Tę rozmowę przypomniał mi się papież Grzegorz VII nieustraszony obrońca wiary i Kościoła.

25.V. Wczoraj przywieziono mi Goebela. Jestem wdzięczny Albinowi, że przysłał mi tę miłą książkę, którą delektują się i świeccy koledzy. Antoni dedykował ją Andrzejowi na jubileusz. Ma też Roman w Żyt. Mnie przypomina ona wiele zapomnianych rzeczy.

Od czasu kiedy otrzymał zaproszenie od Bolesława na lasy i wilki, wyjechałem ze Lwowa, związek z rodziną znacznie się rozluźnił. Wprawdzie otrzymałem na drogę błogosławieństwo o. Czesława, ale to nie była misja ani obediencja. Nie pamiętam, kiedy zgoliłem moją kocią brodkę. Zdaje się, że w Równem jeszcze ją miałem. Pewnie w Zaskawiu /182/ u Bolesława pozbawiono mnie tej franciszkańskiej ozdoby. W Maniewiczach spotkałem o. Kasjana z Lubomla, który chodził, a nawet spał w habitach i nosił brodę. To był dla mnie wyrzut. Później dowiedziałem się, że zginął zamordowany wraz z innymi braćmi w klasztorze, a porwane zwłoki znaleziono złożone w jakiejś pacy. Ktoś przyjeżdżał stamtąd do Sarn - chcieliśmy odszukać mogiłę, gdzie ich pochowano, ale nie było możliwe. My z Bolesławem ubieraliśmy habitę w kościele i mówiliśmy nasz zakonny brewiarz. Tyle pozostało z klasztoru.

W Związku przy odpuście Podwyższenia Krzyża św. ks. Drzepecki jako administrator prosił, aby mu przysłać naszych księży. Przyjechał niedawno wyświęcony o. Hilary. Pracował niedługo w Krzywotynie, Medwedowie i innych mnie już znanych wioskach. Potem zasądzono go i wysłano. Po siedmiu latach wrócił i osiadł w Rokitnie. Zajął się malarstwem pokojowym. Przyjeżdżał do mnie do Równego. Uradziliśmy, żeby się starał o parafię. P. Bóg mu dopomógł i zarejestrowano go w Barze. Otrzymał piękny nienaruszony kościół. /183/ Stary Majdański, zacny prezes, który już przedtem bywał u mnie w Równem opowiadał cudowną prawie historię. W pierwszych latach, kiedy niszczone kościoły, u nich też chcieli zrobić klub. W czasie zabawy jakaś dziewczyna wyszła na ołtarz i zaczęła bluźnić Matce Bożej, której obraz jeszcze się tam znajdował. Nareszcie głos jej ustał, zbladła i z ołtarza zdjęto ją ledwie żywą. Podobno pękły jej wnętrzności. Kościół zamknięto i nikt nie ważył się tam wstąpić. U Wilka bywałem tam nieraz. Mieszkał w chatce obok, a potem w zakrystii. Miał wiele ciekawych, czasem dziwacznych pomysłów. Po jakimś czasie zasądzili go za jakieś naruszenia, a potem cicho wywieźli do Polski. Znowu pozostałem na Ukrainie sam jeden.

W Wilnie dowiedziałem się, że są kapucyni w Przełomie. Udałem się tam przez Grodno i znalazłem trzech braci - ojcowie dawno wyjechali. Bracia wszyscy brodaci, w habitach prowadzili życie klasztorne. Ernest niedokończony kleryk grał po wirtuozowsku na organach i

innych instrumentach. Zabrałem go do Równego i przez jakiś czas obuczał chór. Dotychczas pamiętają jego /184/ kolędowe melodie czasem własnej kompozycji. Po jego wyjeździe przyjechał Franciszek - Karol. Był jakiś czas zakrystianinem i pomocnikiem moim w podróżach przy czym sam przyuczał się do służby ołtarza. Jego długa, ciemna broda nie dawała spokoju obserwatorom. Wciąż mnie pytano, kto to taki Szczepanek? Przywiózł mi z Polski nowy brewiarz, którym się cieszyłem, bo długo musiałem się zadowalać świeckim. Historia moich brewiarzy długa i zawiła - trzeba ją odłożyć. Dzisiaj w dniu konsekracji bazyliki Asyskiej, kiedy mamy się tam zgromadzić przy szczątkach Ojca, chciałbym odszukać w pamięci wszystkich współbraci, z którymi zetknąłem się w żeoraczych wędrówkach.

O. o. Tadeuszu w Tartu dowiedziałem się przez p. Sarapu, której mąż estończyk stamtąd pochodził. Potem znalazła się też ciotka doktora Kwasczenki wykładająca na tamtejszym uniwersytecie. Przypominamy sobie wspólnie Zamarstynów, lata szkolne, potem Kraków, pierwsze lata kapłańskie, było to marzenie nęcące ale zrazu trudne do zrealizowania. Estonia daleko, obowiązki duszpasterskie /185/ nie pozwalają na dłuższą podróż. Nawiązaliśmy kontakt listowny i wzajemnie oczekiwaliśmy spotkania. Nareszcie już jakoś pod jesień wybraliśmy się z Mikołajem przez Rygę do Tartu. Do Rygi mieliśmy adres. Byliśmy w kościele św. Franciszka przy seminarium i w kapucyńskim św. Jakuba, przy którym jednak kapucynów nie było. Wszyscy oni wraz z przełożonym o. Tomaszem byli aresztowani i wywiezieni. Obsługiwali kapłani świeccy. Nazajutrz jechaliśmy dysłem do Tartu. Zawiadomienia nie podawałem, bo chciałem zrobić niespodziankę. Była to niespodzianka! Po trzydziestu z górą latach. O. Tadeusz z długą brodą w habcie zdaje mi się, że nic się nie zmienił od pożegnania w Krakowie, kiedy zdecydował się pojechać sam jeden na misję do nieznanego kraju, gdzie trzeba się uczyć obcej trudnej mowy - teraz po estońsku mówi jak rodowity Estończyk. Przetłumaczył nawet Pismo św. Ma dość dużą biblioteczkę niemiecką po bawarskich kapucynach. Mieszka skromnie po zakonnemu obchodząc się bez gospodyni.

/186/ Okna wychodzą na kościół. Piękny zgrabny, smukły ze strze-listą wieżą - wewnątrz czyściutki, harmonijny, urządzone jak cacko. Siostry, zakonnice czeskie pilnują go jak drogiego skarbu. Katolickich rodzin jest tu niewiele. Nawet w niedzielę ławki niepełne - a

jednak podatki spłacają. Tartu - dawny historyczny Dorpat posiada uniwersytet z pojezuickimi pamiątkami. Przy szerokiej alei na wałach widnieją pomniki uczonych i rektorów. Byliśmy też w ogrodzie botanicznym. Ta pierwsza wizyta miała się odtąd powtarzać prawie co roku. Za którymś razem z rzędu byłem tam z Zosią i Andrzejem. Przypomniały się lwowskie czasy. On był we Lwowie, ale krótko i przyjechał niezadowolony z tego co zobaczył.

Ostatnia misja w Tartu miała specjalne zabarwienie. Przyjechałem z Leningradu w sam dzień Porcjunkuli, żeby być we franciszkańskim kościele w tym tak ważnym dniu. Ojciec był trochę podniecony, bo otrzymał rozkaz wyjazdu do Polski, a zastępcy żadnego nie dają. Szkoda zostawić na zniszczenie dzieło tylu lat pracy. Jednak /187/ i mnie nie radzi zostawać. Znajdą się inni, a Ty tylko ludzi straszysz, a siebie narażasz. Ojciec nie ma żadnego upoważnienia ani od prowincjała ani od biskupa. Poczułem się jeszcze gorzej niż wtedy, gdy mi wykręcał uszy za gruszki. Rano chciałem jeszcze odprawić w kościele, ale usłyszałem naganę, że w niedzielę kapłan ma obowiązek obsłużyć wiernych, a nie wałęsać się dla swojej przyjemności. Pożegnaliśmy się jak zwykle, ale prawie ze łzami, odjechałem. Zdaje się, że w Leningradzie odprawiłem u Tekli, ale dla jednej osoby. Za jakiś czas otrzymałem z Polski wezwanie do przyjazdu wyraźnie inspirowane przez o.Tadeusza. - Raz i drugi, nagłace - może oni już wówczas co słyszeli z daleka? Mój upór był tylko w części uzasadniony. Na razie nic mi nie grozi, a jeśli przyjdzie czas, wola Boża.

Chciałem jeszcze zobaczyć o.Tomasza. Elżbieta koniecznie do tego namawiała i opisała mi drogę przez Rezekne do Gajgała. Znałem już Andrzeja potem Piotra z Elerny i Meinarda z poturbowaną głową. Ale to ich /188/ przełożony, a przy tym rozsądny i zacny kapłan. Utrzymuje zakonną dyscyplinę i ma powagę u współbraci. W Rezekne są dwa kościoły, ale oba były w remoncie i mszy św. nigdzie nie można było odprawić, zresztą autobus do Gajgała idzie nie długo, około południa można być na miejscu. Droga przez pola i wioski istotnie byłaby nie długa, gdyby szoferowi nie chciało się zasnąć na dobre przy kole na jakimś przystanku. Ledwie go obudziliśmy i ruszyli dalej. Wioska na skrzyżowaniu dróg pięknie zadrzewiona, kościół z boku przy drodze.

O.Tomasz chodził z brewiarzem około plebanii. Wysoki, ale przygarbiony, chudy z cierpiącą ascetyczną twarzą. Coś już o mnie sly-szał - opowiadała Elżbieta, rad poznać. Rozmawiamy po rusku, choć jest Niemcem z Bawarii. Służył mi do Mszy św. Potem odkryłem mu moje skrupuły po rozmowie z Tadeuszem. Powiedział łamaną ruszczyzną: "Gdybym ja mógł, tobym tam pojechał". On przecież tam był i wie, jak tam ludzie pragną /189/ Boga. Uściskałem go serdecznie za te słowa. Kamień spadł z serca. Nie żałowałem drogi do Gajgala. Dał mi jeszcze parę książek i pożegnałem go serdecznie jak prawdziwego przyjaciela. Myślę, że i o.Bernardyn Goebel z którym stajemy przed Bogiem przy św.Franciszku nie byłby też innego zdania, jak jego bawarski współbrat. W każdym razie trzeba modlić się jak św.Feliks: O.Franciszku, Franciszku opiekuj się swym biednym braciszkiem - Serafinem.

26.V. Św.Filip Nereusz lubiał otaczać się młodzieżą. Drał nawet udział w jej zabawach, a potem prowadził po ulicach Rzymu do obrazów i kaplic Madonny i dał początek nabożeństwu majowemu. Był trochę niebezpiecznym dla młodych penitentów, bo rozpoznawał grzechy węchem. Po prostu - nieczysty śmierdział. Pragnął młode serca zapalać miłością, która wyłamwała mu żebra. Jego rozmowa z ubogim młodzieńcem, w której powtarzało się uparte co potem? przeszła w stały repertuar kaznodziejski. Powtarzałem ją nieraz przenawiając do młodzieży.

/190/ Dziś przypominają mi się moi chłopcy. Kochana gromadka czarnych i jasnych głów, w komżach przy ołtarzu, u Haneczki, lub przy młodzieńczych zabawach. A więc najpierw Zbyszek.

Zbyszek był już młodzieńcem, kiedy go poznałem. Smagły, szczupły z zawsze poważną twarzą zwracał uwagę klęcząc przed ołtarzem z starannie złożonymi dłońmi, wpatrzony w czarny wielki-krucyfiks w bocznym ołtarzu. Potem dowiedziałem się, że jedno oko miał sztuczne, co mu zapewne przeszkadzało w nauce. Był prawą ręką s.Róży organistki. Miał piękny, dźwięczny już męski głos. Cały kościół słuchał z rozrzewieniem jego pieśni maryjnych w czasie nabożeństw majowych. Do stałego repertuaru należało: "O Panie nasz Ty Boskim Sercem swoim" śpiewane w Pierwsze Piątki. Jeździliśmy razem z nim i p. Różą do Zdołbunowa i Korca. Zbyszek wszędzie jednał sobie sympatię szczerą pobożnością i grzecznym ułożeniem. Miał też swoisty beztros-

kinhumor, który zabawiał towarzystwo. Pracując w treści autobusowym pomagał mi nieraz w wyjazdach. Kiedy zabieraliśmy rzeczy kościelne z Alek- /191/ sandrowa i Szpanowa, wszystkim sprawnie kierował. Za stałe bywanie w kościele spotykały go nieraz szyderstwa i jawne prześladowanie, ale nigdy nie ustępował i nie zmieniał swego postępowania.

Niedługo jednak mieliśmy się cieszyć jego obecnością w Równem. Zbyszek chciał śladem swego brata wstąpić do zakonu i uczyć się na księdza. Zdawał sobie sprawę, że jego droga do ołtarza będzie długa i trudna, ale był pełen młodzieńczego zapału. Po wyjeździe reszty rodziny do Polski pozostał z matką w Równem oczekując powrotu ojca, który jako czynny prezes Akcji Katolickiej został wywieziony na daleki Sybir. Kiedy jednak rychłej nadziei na powrót nie było, a drogi czas uchodził, zdecydował się wyjechać. Wkrótce dostaliśmy wiadomość, że Zbyszek zabrał się z energią do nauki, żeby uzupełnić lata gimnazjalne i dobić się do matury. P.Bóg mu dopomagał i już w następnym roku mógł się zgłosić do franciszkanów. Przyjął imię Juliana i rozpoczął teologię. Był już przy końcu studiów, kiedy do Równego wrócił ojciec.

Z ogromną przy- /192/ jemnością poznałem dzielnego pana Edwarda. Nadzwyczaj miły, zgrabny staruszek mimo doświadczeń i trudów zachował pogodny optymizm. Mówił, że od lat uprawia codzienną gimnastykę i to go utrzymuje w formie. Rozpoczął starania o pozwolenie na wyjazd, ale długo nie mógł go otrzymać. Dzięki temu mieliśmy teraz przy ołtarzu ładną parę ministrantów. Franciszek i ojciec Zbyszka byli prawie jednego wzrostu. Tymczasem o.Julian skończył teologię i otrzymał święcenia. Potem przysłał obrazki prymicyjne. Wreszcie przyszły dokumenty i pożegnaliśmy z żalem pana Edwarda. Powitał syna już w parę miesięcy po prymicjach. Pierwszy list, który napisał do nas był wyrazem ojcowskiej radości. Wkrótce jednak rozpoczęła się tragedia. Zbyszek teraz już o.Julian zachorował. Ojciec pisał z troską, jakby coś ukrywając przed samym sobą. Następne listy były jaśniejsze. Pokazała się sarkoma - syn leży w szpitalu - słaba nadzieja utrzymania go przy życiu. Wreszcie po krótkim czasie: Julian /193/ nie żyje. nie było żadnego ratunku. Siostra - lekarz czuwała przy nim bez ustanku stosując wszelkie środki. Wszystko daremnie. W wielkich cierpieniach budował swoją pogodę

ducha. W szpitalu do końca odprawiał Msze św. i spowiadał chorych. Umarł jak święty w sześć miesięcy po wyświęceniu.

27.V. Mogłbym teraz urządzić sobie życie tak jak czcigodny Beda pomiędzy modlitwą i czytaniem: ex lectione ad orationem et vicissim. Ale po pierwsze prócz brewiarza i rozmyślań nie mam żadnych książek, a potem - to będzie brzmiało prawie paradoksalnie - nie mam czasu. Nawet stos "Życia Warszawy" przywieziony od Czajkowskiej leży nie przegłądnięty. Dzień tutaj rozpoczyna się wcześnie. Już po 6^{ej} zaczynamy się ruszać. Od paru dni znowu jestem sam, bo oboje chodzą na nocną robotę. wyniosła swoje łóżko, żeby nie przeszkadzać, kiedy w dzień zmoże ją sen.- Pacierze poranne, rozmyślanie, brewiarz - wszystko razem zajmuje jakieś dwie godziny. Potem Róża przynosi śniadanie. Tu jest zwyczaj, żeby rano dobrze się naja- /194/ dać. Potem zasiadam do pisania. To stało się już moją namiętnością. Od rana dręczy mnie jakiś temat, którego prawie nigdy nie mogę wyczerpać ani należycie rozwinąć. A trzeba się ograniczać, bo jeszcze czeka pisanie jakichś listów lub intrologatorka.

Aleksander zrobił wspaniałą, choć małą prasę, postarał się o klej i asystuje mi przy robocie. Oprawiłem sam już biblię jakiejś kobiecie, "Predigten" i jeszcze jest jakaś książka do nabożeństwa. Mówią, że robota się znajdzie. Potem dają znowu jesc. Oni to nazywają Mittagessen - ale właściwie tego co u nas nazywa się obiadem - tutaj nie ma. Najwięcej jedzą wieczór, co się nie zgadza z moim zwyczajem i żołądkiem. Co kraj.- to kiepski zwyczaj. Mszę św. teraz odprawiamy łącznie z nabożeństwem majowym - tak jak w Połonnem. - Schodzi się regularnie 15 osób. Bywało więcej, ale teraz praca. Po Mszy św. odmawiamy Nowennę do Ducha św. a potem rozważania majowe i litanie śpiewamy przy wystawionym Sanctissimum. Teraz Perpetue choruje, wskutek czego śpiew nie idzie jak na- /195/ leży, ale zawsze jakoś bywa. "Regina coeli" z Alleluja śpiewają krzykliwie, aż chata drży, choć za oknem chodzą ludzie. Musimy się spieszyć, bo rychło przypędzą bydło, więc gospodynie muszą być na miejscu. Na gratiarum actio, różaniec i 15 modlitw św. Brygidy pozostaje ledwie tyle czasu, ile trzeba. Potem ta niby kolacja niby obiad i na koniec jutrznia i kompleta już prawie z klejącymi oczyma. I oto dzień wypełniony bez reszty. Jeden podobny do drugiego i chyba że przyjdzie

coś niespodzianie.

Dziś jest do zanotowania: przyszedł list od Marysi i od Albina zapowiedziane książki; z Moskwy zawiadomienie o wręczeniu pisma - podpisał sekretarz. Lecz może najważniejsza to ta kobieta, która po trzydziestu latach przyszła się spowiadać.

28.V. Maryś daje mi epitet dzielny, a Hieronim coś mimnie opowiada młodym. Żeby tylko nie chcieli zrobić ze mnie bohatera, bo to się uda. Czuję się jak rozbity garnek, z którego wszystko wycieka albo jak zwietrzała sól na wyrzucenie. Widocznie Albin /196/ nie bardzo trafnie przypuszcza, że zdołałem już przywyknąć do klimatu. Od kilku dni zaczęły się upały i dlatego może moja głowa szwankuje i w uszach więcej szumi. Myślę o Lesi, która straciła pamięć i nie będzie mogła pracować. Ich wielka miłość musiała zostać wystawiona na próbę. Marysia pisze, że skończyło się ich szczęście. Chyba nie. Ziunek jest zbyt szlachetny, żeby dał jej cokolwiek odczuć z powodu braku pracy, zresztą miłość działa cuda. Muszę do nich napisać.

Dzisiaj u Kiliana było tylko dziesięć osób i to dwie przyjezdne, Ania i ta staruszka z Alm. która jest już tutaj od środy. Na jutro spodziewamy się największego "zjazdu". Już przyjechał Symeon z rejonu z jakąś jeszcze prorokinią.

30.V. Albin jednak ma słuszość, że step jest piękny. Rano idąc na nabożeństwo podziwiam szmaragdowe przestronie przypominające kolo-rytem pilastry z Isaakowskiego Soboru w Leningradzie. Co za przepyszna gra półcieni. /197/ Nawet białe i czarne plamki pasącego się bydła nie psują obrazu. Ale w naszej izbie nic nie przypomina Zielonych Świąt. Dominuje raczej liturgiczny czerwony kolor. Nawet świece mamy czerwone. Przywiózł je aż z Taszkientu Szuszkiewicz, który tam prowadzi swój wagon. Muszę mu podziękować, bo teraz każdy objaw życzliwości ze strony Polaków im rzadszy, tym ten gest mi droższy. Wczoraj spodziewałem się, że ktoś przyjedzie, bo i Czajkowska i Hela "groziły", tymczasem była tylko Emma z Teresą. Władysław podobno odradzał do mnie jechać. Może znowu obawia się, że ziemia pali mi się pod nogami. W każdym razie wyrządził mi niedźwiedzią przysługę.

Wczoraj byłem oczywiście w Równem a trochę i w Korcu. Jak tam wszędzie zielono! Leon czy Szczupak przywieźli skądś drzewka i stoją prawie przy każdej ławce. Posadzka czysto wymyta, wyścielona

szuwarem, który tam jakoś inaczej się nazywa. P. Maria nie szczędziła kwiatów z swoich grządek.

Z chóru płynie Ezechielowa tajemnicza /198/ pieśń o wodzie wytryskującej z świątyni. Alleluja. Dusze wyzwolone, wołają jeszcze raz, jak w rezurekcję - Przybyłeś upragniony - i rusza procesja. Idzie Godlewski przepasany szkarłatną wstęgą z wysokim wspaniałym krzyżem. Obok Szczupak i ktoś jeszcze niosą świece w kandelabrach. Potem dziewczęta w bieli ze sztandarami. Nowe piękne na jedwabiu naszyte obrazy chybczą na lekkim wietrze: Antoni i Alojzy, Tereska i Królowa Maja. "Witaj dniu radosny" śpiewamy stając z Mikołajem a lud odpowiada refrenem: "Przez Twoje Święte Ducha Zesłanie". Oto czego mi brak było wczoraj przy naszym skromnym nabożeństwie. Chciałem już sam zaśpiewać, co się gwałtownie cisnęło na usta, ale Niemcy zaczęli coś po swojemu zawodzącym głosem. Potem była stacja na środku kościoła na rozścielonym dywanie: "Przyjdź Duchu Święty Odpędź wroga z naszych stron". Czy oni słyszą? Może gdzieś pod chórem ktoś podsłuchuje i tak nic nie zrozumie z łacińskich słów, zresztą prosimy /199/ o pokój: i rychło pokój ześlij nam.

W Korcu bywało zakończenie czterdziestogodzinnego nabożeństwa. Na szkarłatnym tronie Chrystus Król przyjmował skromne hołdy od garstki wiernych przez dwa dni, lecz dzisiaj kościółek jest pełny. Przybyli ze Związła, Barciłowa i dalej od Emilczyna. Jezus pod baldachinem obchodzi zielenią umajony kościół. Na końcu rozbrzmiewa "Te Deum". Czy kiedyś to jeszcze będzie! Ześlij Ducha Twojego - "i odnowisz oblicze ziemi".

31.V. Napisałem list do Maryśki i Antoniego. Ant. proszę żeby mi co poradził, ale co on może?

1.VI. O Serce Jezusa, u Ciebie schronienia szukamy w ucisku, niedoli. Dzisiaj od rana chce mi się śpiewać. I to na tę melodię trochę świecką, którą słyszałem w Olewsku. Chciałem nauczyć Niemców, bo mają też podobną pieśń, ale zaczęli po swojemu. Niech tam śpiewają jak chcą, byleśmy mogli czerwcowe nabożeństwo odprawić uroczysto. Dziś było zaledwie /200/ 8 osób, bo może nie wiedzieli, że postanowiliśmy schronić się wczesnym rankiem, a zresztą przeszkadza praca i gospodarka.

Jakie było moje pierwsze spotkanie z Sercem Jezusowym? Pamiętam, że silne wrażenie wywarł na mnie żywot św. Małgorzaty Marii,

który się znalazł pomiędzy książkami przyniesionymi przez o. Innocentego. Ten dobry ojciec, którego nazywaliśmy "Trzy kroki przez Kościół", bo miał nerwowy chód, sprawił mi tę prawdziwą ucztę duchową. Widocznie już wtedy wyczuwał mola książkowego. Były tam różności: jakieś podróże, żywoty, ale najcenniejsze to właśnie "Objawienie i Miesiąc Czerwiec" X. Smolikowskiego, z którym długo się nie rozstawałem. Może też nie przypadkiem p. Kostkiewiczówna w nagrodę pilności ofiarowała mi śliczny obrazek Serca Jezusowego. Taki sam ma teraz Zofia w Edołb. Ile razy na niego spojrzałem rozbudzała się tkliwość lat dziecięcych. Oprawiony w wiśniową ramkę wisiał w domu nad moim łóżkiem. Gdzie się teraz znajduje?

/201/ Ale najsilniej przypomina mi się dzisiaj szpital św. Zofii. Jakoś w rok po tragicznej śmierci Józia, pochorowaliśmy się wszyscy na szkarlatynę. Najpierw zdaje się Maryśka, potem Janka a na końcu ale już najsilniej ja. Przyszły komplikacje nerkowe i trzeba było odwieźć do szpitala. Stan był ciężki, bo dołączyło się zapalenie nerek. Nic z tego nie pamiętam tylko tyle, że mój sąsiad obok umarł i cicho go wynieśli. Ze mną musiało też być źle, kiedy do łóżka dopuszczono Tatusia. Pochylił się nade mną i posłyszałem Jego wyraźny głos: synu, teraz będzie już wszystko dobrze, bo poświęciłem Cię Sercu P. Jezusa. Do dzisiaj nie wiem, czy było to wpisanie do Apostolstwa Łodlitwy, czy jakieś szczególne wotum. Zdrowie rzeczywiście wracało. Pobyt w szpitalu się dłużył. Codziennie niecierpliwie czekaliśmy wyniku analizy. Nawet pamiętam, że byłem już za bramą w szpitalnym chałaciku z zamiarem ucieczki.

Te dzieciinne i późniejsze czerwcowe /202/ wspomnienia możnaby snuć długo poprzez Kraków z procesją z Rynku na Wesołą, Rozwadów, intronizację u młodej pary, Korzec, Równe z Statuą przed kościołem. Wszędzie to samo, ukochane tkliwie, pełne miłości Serce Jezusa. Ale rano trzeba wstać wcześniej więc pora na spoczynek. Jeszcze jedno spojrzenie na napis umieszczony na ścianie: Heiligste Herr Jezus, beschütze unsere Familie, a nad nim słodko uśmiechnięty Jezus zdaje się mówić: "Ja śpię, ale serce moje czuwa".

2.VI. Wczoraj przyszedł list od Józefy - dzisiaj Maria przysłała list i życzenia świąteczne od Maryśki - nareszcie się dowiedziałem, że Jaś oczekuje potomka. Pisze też Mania B. - u nich radość - tylko

ja im ją psuję - całkiem niepotrzebnie. Przyjechała Katia z wiadomością o Julii. W Sz. było wiele dzieci. Dzięki Bogu.

3.VI. Po dwóch miesiącach z górą jestem w podróży bez eskorty. To też wydarzenie i to jeszcze w Pierwszy Piątek. Rano /203/ 14 osób - mało - trzeba szukać. Na poczcie napisałem naprędce do pana Antoniego. Bo jest Antoni i Pan Antoni "który budzi niezwykle rzewne wspomnienia".

Przybywszy do Równego nie miałem zakrystianina. Dawny Papierz /sic/ wyjechał razem z proboszczem. Było więc zupełne vacat. Nie chciałem zadowolnić się żeńską obsługą lub ministrantami. Od jakiegoś czasu zwrócił moją uwagę starszy Łysy jegomość, który jak drugi celnik modlił się zawsze gorliwie przy drzwiach. Dowiedziałem się, że jest to fryzjer, teraz już nie pracujący chyba tylko po sąsiedzku. Mieszka samotny - miał jakieś rodzinne kazy, ale teraz to wszystko przedawnione. Wymawiał się, że nic nie umie, ale że był zdolny i chętny, rychło wciągnął się do wszystkiego. Był inteligentny, a przy tym subtelnie dowcipny. Jego niektóre powiedzonka zdradzały umysł nastrojony nieledwie filozoficznie. Tak np. pouczał kogoś, kto lubiał zaglądać do kieliszka, że teorię Darwina należałoby odwrócić, bo niejedyn wychodzi do szynkowni /204/ człowiekiem, a wychodzi - małpą. Swoją niski wzrost objaśniał tym, że wiele chodził po świecie. Gdzie on nie bywał i czego nie przeżył. W austriackim wojsku dostał się do niewoli, przedtem o mało nie zginął. Potem wrócił do swej rodzinnej Skały i zastał dom spalony. Wszystkie te perypetie opowiadał z niezwykle interesującą swadą. Kiedy pomylił się w jakichś ceremoniach lub mu się coś nie udało, pokornie się usprawiedliwiał. Wszyscy lubieliśmy go, tylko z Panią Marią wstąpił od razu w szranki bojowe. Jedno drugiemu nie mogło dogodzić. Zasadniczo chodziło o drobnostki - jakieś kwiaty nie tak postawione, jakiś nieporządek przy ołtarzu i już kwasy. W imię zasady: "de mortuis nisi bene" trzeba wszystko położyć na karb starczego dziwactwa.

W owym feralnym 11^{ym} kwietnia pan Antoni stał się faktycznym zastępcą proboszcza, a kiedy p. Maria zamknęła oczy też i jedynym rządcą kościoła. Posiadał klucze, utrzymywał porządek, odprawiał nabożeństwa starając się drobiaz- /205/ gowo wykonywać to, co sobie zapamiętał. W niedzielę w czasie dawnej sumy kładziono na

ołtarz ornat i w komży przy ołtarzu śpiewał aspersione, suplikacje, czytał ewangelię, przy czym dorzucał parę słów pouczenia, które wyglądały jak kazanie. Nie mogłem go od tego odzwyczaić. Po prostu czuł potrzebę wypowiedzenia się i nie można mu było tego brać za złe. Przewodniczył też w pogrzebach i innych nabożeństwach, nie opuścił żadnej nowenny ani nabożeństw dodatkowych, których mieliśmy wiele. Nieraz był wzywany i musiał się usprawiedliwiać, ale na stanowisku trwał niezłomnie. Mysleliśmy wszyscy, że przecież jednak przetrwamy i doczekamy się swobody. P. Bóg zarządził inaczej - przyszła większa jeszcze próba. Niespodzianie w kościele zjawiała się komisja, spisali inwentarz, nie pozwalając ruszyć najmniejszej rzeczy. Antoni chciał bronić Najśw. Sakrament przed profanacją, ale nie pozwolili mu przystąpić do tabernakulum. W gorsowiecie zabrali mu przemocą klucze kościelne i oświadczyli, że kościół grozi ruiną, wobec tego należy go zamknąć. /206/ Wtedy pan Antoni zaczął się starzeć, jak człowiek który nagle stracił posiadłość a z nią cel w życiu. Jeszcze pozostał cmentarz, grób Haneczki, wreszcie czasem ta "chatka z kraju", ale już siły nie dopisują. Przykazałem, żeby mi dali znać w razie jego poważniejszej choroby - lecz teraz na co by się to przydało?

5.VI. Wspomnienia o panu Antonim zaczęte w kurg. w poczekalni Fryzjerskiej, kontynuowałem w Żen-te-ke również u Antoniego nawet dwóch Antonich jakichś wujków Kati.

Żen-te-ke - nazwa brzmi tajemniczo podobnie jak jakiś We-na-ka lub inny nowoczesny kryptonim, ale dla mnie oznacza ona - radość. Już na wstępie miże zdziwienie wywołuje szereg piętrowych budynków gdzie przedtem były tylko kazachskie jurty z trawą na dachu. Przy chatkach spotyka się trochę zieleni. Gospodarstwo Antoniego urządzone wzorowo. Znalizmy się już trochę z moich poprzednich wizyt i z Kinnolińska, toteż przy powitaniu znalazła się w oku jakaś łezka. Lecz mnie naprawdę zebrało się na płacz, kiedy zaczęli /207/ śpiewać. To już nie zawodzenie, ale męskie silne głosy. I młodzież i dzieci, Boże, co za radość. Musiałem im powiedzieć, że w więzieniu tęskniłem za takim dniem. Tak rozpoczęliśmy Pierwsze Piątki, choć wedle czasu moskiewskiego, bo trzeba było wypowiadać do 50^{ciu} osób. Dzisiaj rano była prawie ta sama liczba i trochę więcej dzieci. Pocięchą napełnia widok modlącej się wspólnie rodziny, jak właśnie u

Antoniego. Dzieci przywykają na zawsze. Iiłą gromadkę widzieliśmy też w miasteczku u Kelberów.

Psuje mi humor odjazd gości, którzy przyjechali z daleka i nie doczekali się nabożeństwa. Powtórzyło się to, za co mnie ganił Bronisław. Znowu będą narzekać, że mnie trudno zastac. Było 5 osób - mężczyźni i kobiety. Szkoda. Ale mieli własną maszynę, bo on jakiś naczelnik. Mogli poczekać.

6.VI. Chciałem, Musko, dzisiaj cały dzień spędzić z Tobą. Najpierw snułoby się wspomnienia owych zażuszek - Dziadów na Łyczakowie, kiedy szliśmy razem /208/ w tajemniczym mroku, a pod nogami szeleściły listopadowe liście. Łoże już wtedy byłś tylko cieniem. Gdzieś z dala migąło morze świateł i donosił się śpiew. Potem przy mogile Orląt słyszeliśmy ślubowanie, potem jakiś starczy głos wołał: precz z Hitlerem, na latarnię ze Stalinem - a wreszcie jakby ite missa est tajemnej celebry słowa przestrogi: a teraz bracia rozchodzimy się, bo wróg czuwa.

Potem odprowadziłaś mnie na stację. Poprzez ciżbę ledwieśmy się przepchali. Nie było kiedy się żegnać. Po latach krwawych mordów - Honorat kazał na mnie położyć krzyżyk - spotkaliśmy się znowu i potem byłeś u mnie na Gogola. Jak dobrze nam było razem, kiedy kulawa Barlińska wyniosła się z swymi gratami i mogliśmy się swobodnie urządzić choć w ciasnym mieszkanku. Czy pamiętasz, Kochanie, tę starą żebraczkę, którą chcieliśmy przygarnąć, ale strasznie krzyczała? Nie wiedzieliśmy, że ją żarły wszy i dotychczas nie mam spokoju, że umarła gdzieś pod schodami. Potem ta "siostra księdza" szarlatanka, /209/ która nas okradła. Potem jeździliśmy do Aleksandrii i Szpanowa wywożąc z niszczących szponów resztki świętości. Każda figura i obraz, każdy ornat wkładany do Mszy św. Ciebie mi przypominał. Ale czemu dziś brzmią mi w uszach Twoje słowa, na które nie miałem odpowiedzi: ot lepiej umrzeć! Gdzie je słyszałem i kiedy? Nie lubiałaś się skarżyć, ale słowa same straciły ból zawiedzionego życia. Czy to było przy naszym ostatnim pożegnaniu?

Boże Mój! Jak straszne były te miesiące oczekiwania. We Lwowie już Was nie zastałem. Kościoły pozamykane, klasztor pusty - tylko jak jedna wierna stróżka naprzeciw - Sowkowa. Nawet od św. Elżbiety ks. Załuczowski wyjechał pod presją. Chciałem dążyć za nimi.

Wtedy u św. Antoniego spotkaliśmy się z Zosią. A w Równem byli moi
bieżacy. Zostałem. A listu nie ma i nie ma. Wreszcie przychodzi -
czarny. Co się działo ze mną wtedy, kiedy się dowiedziałem, że
Ty już spoczywasz w Rozwadowie.

/210/ Trzeba było, żeby Ci tam miejsce obrano, skąd ja wyje-
chałem. Nuśka Kochana - to wszystko mogłoby zająć cały dzień i za-
pełnić księgę. Ale dziś wstałem z bólem głowy. Może to od tego
zęba, z którego starła się koronka i dręczy mnie od kilku dni.
Do Kiliana szedłem na chwiejących się nogach. Potem trzeba było
jeszcze wysłuchać dwóch synów Georga, którzy przyjechali z daleka.
Rocznicową Mszę św. odprawiłem napół cicho. Potem było codzienne
nabożeństwo czerwcowe. W domu zastałem paczkę z Korca, jeszcze
jeden dowód troski o mój żołądek. Chciałem czytać "....." ale
opanovała mnie senność. Wieczorem przyszedł list od Zofii, a wczoraj
jeszcze od Niny Ostrowskiej. Zofia jest nieoceniona ze swoją
reporterską dokładnością. Dzięki niej mogę włączyć się w ich tros-
ki i bóle. Pan Kazimierz już na progu wieczności. W Połonnem modlą
się za mnie. Ninka pisze, że mój list był śliczny. Nie wiem co ją
tak zachwyca.

BRANUJE 7.VI. - 9.VI., 26 stron, 211-236

/237/ 9.VI. Quantum potes - tantum aude, ile możesz - tyle się wysilaj! Czy myśmy tę świętą noc spędzili w myśl wskazań św. Tomasza? Ile możesz! Boże mój, cóż ja mogę dla Twojej chwały?

Kiedy wczoraj przybyliśmy do Żenteki, myślałem, że nic się nie uda z naszych planów. Z Akm. nikt nie przyjechał, monstrancji nie ma, opłatków mało. Trudno - będziemy robić co można. I tak trzeba dziękować za wczorajszą noc: 20 osób, ślub, parę chrztów. Byłem trochę zmęczony. Budzą mnie z drzemki, że przyjechali. Nie wiedziałem, że jest jeszcze drugi autobus. Jest wszystko - będzie wystawienie, są opłatki, nowy mszał, ornat - a przede wszystkim wiadomości. Maria wróciła z M-y. Kazali mi się starać o sprawkę, że nie mogę pracować, jest więc jakaś nadzieja, że wygnanie się skróci. Otwierają wiele kościołów. Wszyscy mają wiele pracy. U mnie też czas zaczyna się wypełniać. Odprawiliśmy nieszpory z wystawieniem. Antoni zrobił ładne tabernakulum z tronikiem. Parę godzin trwała adoracja, /238/ trochę śpiewali. O trzeciej zaczęła się Msza św. i "Ecce panis". Szkoda tylko, że do Komunii św. nie wszyscy przystąpili. Nie ma należytego zrozumienia; trzeba im wiele mówić o bezgranicznej Miłości. Cztery Ewangelie też odśpiewaliśmy, a potem Te Deum i już świt zaglądał przez okna. Engel Gottes halte Wacht über uns die ganze Nacht. Przypomniały mi się słowa zapisane w naszym pokoju. Całą noc! Dzięki Jezus, że ją od nas przyjąłeś.

11.VI. A jednak przypomnieli sobie, i to jeszcze w tym czasie, kiedy zaczęła świtać nadzieja. We środę rano pod moją nieobecność przychodził milicjant, potem Robaczko - gwałtownie mnie szukali. To popsuło nam Święto. Kiedy wróciliśmy, wszystko było podniecone - mówili, że już, już mogą się zjawić. Byłaby szkoda, bo Ania przyjechała z dziewczynkami i przywiozła jeszcze jakąś kobietę wychowaną w przyjućie, nigdy nie spowiadaną. Biegałem trzy razy z domu do kości. Wreszcie późnym wieczorem zrobiliśmy co można było i zostawiłem /239/ P.J. do rana, bo wczesnym rankiem T.i Sz. chcieli wyjechać.

W nocy chwycił mnie gwałtowny skurcz nogi - myślałem, że zacznie się paraliż, ale przeszło i przespałem do rana. Wstałem z opóźnieniem. Nie było jak należy - trzeba było się spieszyć - ale na Mszy św. byli wszyscy w komplecie. Zostawiłem "Chleb eucn." dla Tainczy i nie bardzo się pożegnałem. Miałem zamiar wrócić i jeszcze przyjąć Anię do III Z., bo tego pragnęła - a oto zaczęła się

nowa karta. Po śniadaniu przyszła Mila - zganikiem ją za smutną minę. Przecież nowinniśmy dziękować P. Bogu za to, co przeżyliśmy. Nie mogliśmy wiele rozmawiać. Zjawił się uczestkowy i kazał wybierać się w drogę. Zabrać rzeczy - a więc to już - Georgij żegnał się z płaczen, Róża też, Emilia wyszła bez pożegnania. Nie miałem nawet czasu dobrze przeczytać listy, które przed chwilą nadeszły: dwa od Zofii i od Massalskich. Dziwiłem się, że tak przyspieszyły życzenia, a może to właśnie było przeczucie, /240/ że później nie będzie można. Jadąc na maszynie sam jeden mogłem zrobić porządek w kieszeniach. Kto wie, co znowu mnie czeka. Znowu znalazło się do stu rubli. Te nieniądze mnie prześladowają - jak złoto Kadmusa. Trochę ukryłem w pierniku, który Róża włożyła do torby. Pozatym miałem tylko parę bielizny i brewiarz. To już ostatnia pozostała część. Jesienną zabrali w Kównem, zimową i wiosenną w Tainczy - może teraz i ta przepadnie.

Nie, jednakże nie zabrali - owszem oddali zegarek, pieniądze i paszport z zaznaczeniem, że wolno mi mieszkać w kurgaldżyńskim rejonie przez czas zsyłki. Ale gdzie i jak? Kaczalnik powiedział, że wyślą mnie do jakiegoś odległego sowchozu na pół-czabana. Nawet nie na całego. To znaczy, że trzeba będzie na koniu uganiać się za owcami, jak te czarne figury z kapturkami na głowach, które wi-
dują na stepie. Powiedziałem im, że jeżeli chcą się /241/ mnie poz-
być, niech posyłają, ale moje zdrowie długo na taki sposób życia
nie pozwoli. Chodziliśmy z milicjantem do głównego lekarza. Zażą-
dała oczywiście jakichś sprawek, a kiedy oświadczyłem, że wszystko
jest w obłąsaci, a mnie na ręce nic nie dali, porozmawiali cicho
z moim konwojentem, z czego nic nie wiedziałem. Udało mi się sko-
czyć szybko do Kel. może co pomogą. Wieczorem wracaliśmy do Arykty.
W drodze milicjantowi coś się przypomniało i kazał zawrócić prawie
z połowy drogi, wskutek czego wróciliśmy już w nocy. Nie wiedziałem,
że tak serdecznie będą płakać - teraz już z radości. Córka Georgia
przybiegła zaraz i mówiła, że cały dzień było jej tak smutno, jakby
jej umarło dziecko. Ania była nieutulona.

Dziś rano u Lidy było zamknięte. Nie spodziewała się. Ale św.
Barbarę uczciliśmy należycie. Usłyszeliśmy, że Jezus posyła nas
jakby owce /242/ między wilki i mamy być roztroprnymi jak węże, lecz
też jak spokojne gołębnice zdani na dobrą Opatrzność, bo kto wytrwa
do końca - ten zbawion będzie. Nic nie wiadomo, jaki dalszy ciąg

i koniec. Kazałem na jutro zrobić zielony ornat, bo tamten w popłochu moja płacząca gromadka zabrała z powrotem. Tymczasem mówią, że w poniedziałek jednak mnie wywiozą - byłoby to w sam dzień św. Antoniego. O św. Antoni - niech nas Twa prośba broni.

12.VI. Kończy się jeszcze jeden dzień w Arykty - może ostatni. Będzie on łatwy do zapamiętania, bo to dzień wyborów. Wczesnym rankiem byłem w klubie. Budynek od zewnątrz niepokąźny, wewnątrz był jeszcze prawie pusty. Tylko za stołem siedział cały szereg młodzieży z listami wyborców. Moje nazwisko nie znalazło się na liście, więc zapisano je dodatkowo, jak ostatnio w Równem. Ale tam, była muzyka, komfort, a tu ktoś mozolnie montował odbiornik - /243/ może też co z tego wyszło. Myślałem, że nie zwrócę na siebie uwagi - ale gdzie tam - jakiś uprzejmy jegomość wybiegł za mną aż na ulicę aby się dowiedzieć, czy głosowałem. Widocznie uważał mnie za fajtkapę.

U Kil. byli prawie wszyscy w komplecie, tylko on sam gdzieś wyjechał. Była za to po raz pierwszy jakaś głucha staruszka. Przy ewangelii gwałtownie zakręciła mi się głowa, silniej jak dotychczas i cały czas ledwie stałem na nogach. Może to dlatego, że nabożeństwo zaczęło się dość późno, a odwykłem już od dawnego niedzielnego postu. Po mszy św. dałem Oleje św. tej staruszce i Georgiowi, a Lidzie bierzmowanie. Potem byłem jeszcze raz na cmentarzu. Teraz tam piękny kobierzec utkany żółtymi kwiatkami. Było jednak nieznośnie gorąco, a step wokoło spowiły tumany nadciągającej burzy - więc tylko spaliłem watę na jakimś grobie - to jedyne moje sakrarium i spiesznie pożegnałem to święte miejsce, gdzie przeżyłem wiele wzruszających chwil. Teraz czekam /244/ na Anię, żeby jej przekazać moje "Strzępy" z Arykty. Nie spodziewałem się, że te dwa miesiące obejmą prawie 100 stron drobnego pisma i wcale się nie zastanawiam, na co się to komu przyda. Mogłoby mieć jakieś znaczenie dla mnie samego jako autoanaliza czy mnemotechniczna praca, ale teraz właśnie trzeba się rozstać jak z ukochanym dzieckiem.

Dumy moi kyocho meni z wami,

Wyrastał was, dohladał was ...

13.VI. Czy to św. Antoni uprosił mi ten spokojny, beztroski dzień? Rano modliliśmy się długo ze starym Ojcem Marcinem z Kochem, który swoim wielkim "Złotym kluczem" otwiera wszystkie niebieskie zamki.

Powiedziałem przy tym o naszym równieńskim odpuszczeniu i płaczących teraz resztkach parafii. Niespodzianie przyszło mi na myśl pójść do doktora i przedłożyć mu sprawę mojego czabanowania. Boli mnie serce, plecy, a szczególnie nogi jak z ołowiu. Młody lekarz /245/ zamyślił się, potem zaczął sumiennie badać. W rezultacie znalazła się hypotonia. Naznaczył dziesięciodniowe leczenie - zastrzyki. Można się zabrać spokojnie do książek, których znajduje się coraz więcej. Już nawet nie chce się myśleć o przeszłości, choć to dzień bogaty wspomnieniami.

Oczy się kleją, wyobraźnia śpi jak dziecko ukołysane dobrym głosem matki, a w sercu błogi spokój. Patrzę na małą fotografię przysłaną nie wiem przez kogo i zdaje mi się, że On jest przy mnie - z Boskim Dzieciątkiem na jednej ręce - z chlebem w drugiej.

17.VI. Czuję się jak uczeń, który opuścił parę lekcji a potem nie może nadążyć. Napływają listy i paczki przedimieninowe. Z Korca jeszcze jedna od Jakubowskiej była dla mnie niespodzianką, ale pokazało się, że to sprawa p.Go..... . Napisała list poważny - powściągliwy w tonie. Podpisała też Lila, Józefa i jeszcze jakieś dwie, Aniela, Zofia i Jadwiga. Pewnie to ta Jakubowska. Sentencjonalnie brzmi życzenie: spokojnego o nasze życie jutra. Niech Dobry Bóg nam przebaczy i wysłuchać raczy. Pewnie że ma wiele do przebaczenia. Muszę się Jej odwzajemnić na św. Jana.

Teraz dopiero przeglądałem podarki duch. od Zofii. Jest to prawdziwa uczta zastawiona obficie dla wygnańca albo litania miłości. W poniedziałek przyszedł list od Maryski z dokładnie opisanym domkiem. Chce widocznie, żebym przynajmniej wyobraźnią tam się przeniósł. Równocześnie wysłała kartkę do Zofii bo się obawia, że jej pisma nie dochodzą - tymczasem teraz nasza poczta sprawia się wyśmienicie. Czasem otrzymuję listy rano i wieczór. Wczoraj niespodzianie przyjechała Czajkowska. Nie miałem nadziei, że teraz ktoś mnie odwiedzi, skoro nie wiedzą, czy jestem na miejscu. Dzisiejsze nabożeństwo było wzruszające. Nie mogłem się /247/ powstrzymać, żeby nie opowiedzieć epizodu z dzieciństwa - tego poświęcenia Sercu Jezusowemu. Nikt nie wiedział, że to dzień moich urodzin. Tym serdeczniej dziękuję P.Jezusowi, że mogę Jemu wszystko ofiarować. Powiedziałem Emilii, że nie zapraszam nikogo, jeżeli to ma być tylko moja przyjemność. Może przyjechać kto szuka P.Jezusa.

18.VI. "Nikt nie stawia światła pod korzec". Oczywiście ten ewangeliczny korzec nie ma nic wspólnego z naszym rówieńskim, ale mnie każdy Doktor Kościoła przypomina tę przemiłą nadgraniczną miejscinę, której każdy kamyk jest dla mnie pełen wspomnień. Teraz zwłaszcza kiedy trwa oktawa św. Antoniego i ślą mi stamtąd listy i paczki. Nazwa pochodzi od księcia Koreckiego, którego podobno hajdamacy wbili na pal. Ruiny zamku coraz bardziej się rozpadają ale jeszcze wciąż sterczą nad Korczykiem wiążąc teraźniejszość z przeszłością. Pre- /248/ historia ma tu wiele do powiedzenia.

W środku miasta wznosi się wspaniały kościół franciszkański zamieniony na żeński monastyr. Byłem tam raz z Bagińską u starej kościelnej mniszki, której się podobało moje zakonne imię. One też czcza swojego Serafina. Nad łóżkiem wisiał portret cara i jego rodziny. Na cmentarzu jest wielka mogiła, gdzie pochowano zabrane z podziemi zwłoki ojców i fundatorów. Lubiłem grzebać się w resztkach franciszkańskiej biblioteki, która znajdowała się w skarbcu przy kościele. Były tam stare - może cenne foliały kazań i dzieł teologicznych, jakaś biblia gdańska, dawne scholastyczne podręczniki pisarskie, książki łacińskie, polskie, trochę francuskich, bogaty materiał muzealny - teraz wszystko przepadło. Sławny fajans korecki jeszcze dziś nadaje nazwę skrajnej części miasta. Właśnie na Fajansie mieszka p.G. zrosnięta z Korcem przez wspaniały dom przy głównej /249/ ulicy, zaraz z początku zabrawa, i przez mogiłę rodzinną z płaczącym aniołem, którego teraz rozbito.

Tój pierwszy pobyt w Korcu pozostawił niezapomniane wrażenia. Byłem tam zaproszony już w Równem przez ks. Rafała G., którego tam spotkałem, toteż skorzystałem z pierwszej sposobności żeby go odwiedzić jadąc z Ludwipola. Kościółek tonący w zieleni, otoczony murem tonął ciszą i spokojem. W ołtarzu Matka Boska malowana przez księdza Sobolewskiego zasłaniała cudowny obraz św. Antoniego, największy skarb Korca. Prócz tego był jeszcze św. Roch z nieodstępny psem liżącym jego rany. Św. Franciszek ustąpił miejsca Swojemu Synowi i przeszedł na dalsze miejsce w bocznym ołtarzu. Może wstydził się, że Go ubrano w tak bogatą srebrną szatę. W bocznej kaplicy była św. Anna Samotrzecia również z starą srebrną sukienką. U góry nad wszystkim tryumfował zmartwychwstały Zbawiciel; a naprzeciw św. Piotr z Pawłem oddawali Mu pokłony. Przed kościołem z boku, znajdował się drugi kamienny ołtarz /250/ św. Antoniego, a w górze nad

Nim św. Franciszek już w swojej naturalnej postaci biedaczyny. Z drugiej strony pod ścianą kościelną pochowano proboszcza też Antoniego, który zginął jako ofiara miłości zarażony przy chorych. Z drugiej strony biały orzeł otulak skrzydłami nogiłę bohaterów z 1920 r. Potem jeszcze stary obraz Przemienienia Pańskiego, a pod nim na kamieniu wyryta strofa: Opoko wiary, gwiazdo niebios złota. Za ścianą prezbiterium Chrystus na Krzyżu i Łatka Boska z Janem - Kalwaria.

Wszystko to świadczyło, że duszpasterze kochali swój kościółek i starali się go przyozdobić. Ks. Rafał też był w nim rozmiłowany. Kiedy go usunięto z nowej niedokończzonej jeszcze plebanii zamieszkał w pobliskiej chacie i trwał wiernie przy świątyni prowadząc skromne życie. Pracy miał wiele, bo napływali wierni z za dawnej granicy. Zdaje się, że byłem na odpuszcie i miałem kazanie. Była to podniosła uroczystość. Nie /251/ wiedziałem wtedy, że za parę lat w zmienionych warunkach przyjdzie mi zająć miejsce ks. Rafała. 20.VI. Odpust korecki nie daje mi spokoju. Bo też to było przeżycie, którego oczekiwało się z roku na rok. Wkrótce po wyjeździe proboszcza, korecka delegacja zarejestrowała nową obszczyń - dwudziestkę i został ustalony dzień pierwszego nabożeństwa. Kościół zastałem ogołocoony. Z ołtarza zniknął św. Antoni, w zakrystii prócz starego kielicha i równie podstarzałego ornatu, nie było prawie dosłownie nic. Trzeba było zaczynać na nowo życie w ciasnych ramach. Dziękowałem Bogu i za tę szczupłą garstkę wiernych, która pozostała na straży andrubieżnej stancy. Ks. Godz. myślał zapewne, że z jego wyjazdem wkrótce wszystko ulegnie likwidacji, toteż zabrał nawet monstrancję z Dermenki i piękne prawie nowe szaty z Myszakówki, które dałem do przechowania. Po co mają ginąć. Tymczasem nam wszystkiego było brak, bo rozpoczęliśmy uroczyste /252/ nabożeństwa.

Wprawdzie oficjalnie można było odwiedzać parafię tylko kilka razy w roku na specjalne pozwolenie, ale na wszystko jest sposób. Jeździło się do chorych, na pogrzeby lub przy jakichś innych okolicznościach. Każdy przejazd był problemem, bo czasem godzinami trzeba było czekać na, zanim jakaś litościwa maszyna nie zdecydowała się zabrać. Wtedy gramoliło się na gruzowik naładowany żelastwem lub prowiantami i osłaniało się od wiatru czy śniegu czymś. Bywało, że maszyna w drodze się psuła, wtedy ludzie w kościele czekali niecierpliwie, a nawet się rozchodzili szemrząc.

Bywało, że kilka dobrych kilometrów trzeba było iść pieszo. Raz w sam W. Czwartek po nabożeństwie w Równem przyjechałem do Korca o północy. Wszystkie te trudy jednak wynagradzało kiedy wreszcie po godzinach uciążliwej jazdy w dali pokazała się wieżyczka a naprzeciw wychodziła garstka młodzieży. To była naj- /253/ większa radość.

Kiedy po raz pierwszy wybierałem się do Korca, myślałem, że zastanę tam samych staruszków, tymczasem zaraz wkrótce pojawiły się granatowe mundurki. Julia, Hela i Berta - starsza Mania trzymała się trochę na boku - i ich ciotki do pary z tym samym imieniem tworzyły niezły zespół śpiewaczy. Pomagali i inni: Kazio Stefanowski, Zosia, ale bez nich nie odbyło się żadne nabożeństwo. Byłem zaskoczony, kiedy wszystkie trzy zapragnęły wstąpić do III Z. Może to był wpływ starszej Julii, która już była tercjarką. Wahałem się, bo to już było za wiele, choć często komunikowały. Były trochę kapryśne, po dziecięcemu niezdyscyplinowane, wychowane bez ojca, który dawno ich porzucił, mogły kierować się fantazją. Jakże jednak było odmówić? Bywałem w ich chatce przyczepionej do zbocza wysokiego brzegu nad Korczykiem, jak Kurza stopka. Czasem chodziliśmy po ruinach zamku. Kiedyś Hela rzuciła melancholijne pytanie: jak to będzie, kiedy się rozstaniemy?

/254/ Tymczasem byliśmy w Korcu razem jak w jednej rodzinie. Matką była Bagińska. Z Marią Konstantynową zapoznałem się jeszcze na plebanii u ks. Godz. Wysoka, jeszcze postawna, z obfitym doświadczeniem w życiu, a przy tym niezwykle uczynna, już wtedy zainteresowała się losem kapłana włóczęgi. Była w Horodnicy z ową szawetną gęsią. Po wyjeździe proboszcza ich mieszkanie na Pożarnej stanęło dla mnie otworem. Zawsze znajdowałem tu dobre słowo, przyjęcie i odpoczynek. Pan Kajetan wzór dobroci, cichy i spokojny siadywał zwykle w konfesjonale pod chórem. Lubiałem go serdecznie, toteż kiedy go zabrakło, nie mogłem się do tego długo przyzwyczaić. Był doświadczonym lekarzem, choć tylko z rangą felczera, wielu chorym pomagał bezinteresownie. Kiedy mu udzieliłem Ostatniego Komunikacji i potem pytałem, jak się czuje, odpowiedział szeptem: "chwala Bogu" i wkrótce cicho skonał. Jego pogrzeb też był dla mnie pamiętny. Wybrałem się po południu i długo /255/ czekałem za miastem. Wreszcie wgramoliłem się na jakiś gruzowik, szczęśliwy że jadę.

Wtem maszyna stanęła i ani rusz dalej. Do Korca przyjechałem wieczorem, aby się dowiedzieć, że już po pogrzebie. Wtedy padłem przy kościele twarzą na murawę jak bez życia. Opanował mnie taki jakiś głęboki żal do wszystkiego, że kiedy przyszła Julia nie mogłem przemówić słowa.

Do pierwszego odpustu przygotowywaliśmy się stopniowo: długo. Najpierw przyjechał św. Antoni z Aleksandrii. Nie był ubrany w srebrną szatę jak tamten, ale młodzieńczo świeży, uśmiechnięty wniósł nowe życie w obumierający kościół. Potem trzeba było postarać się o pozwolenie u Ważuszkiewicza, a wreszcie rozesłać zawiadomienia na wszystkie strony. Tym ostatnim zajęła się p. Maria tak smutecznie, że już wieczorem zjawili się ludzie z Medwedowa, Zapруды, Zwiakła. Była oczywiście nieodzowna Teofila i inni znajomi z lat wojennych. /256/ Po niesporach spowiadanie trwało dość długo i wystarczyłoby na całą noc, ale ludzie byli zmęczeni. Od wczesnego ranka kolejki stały przy konfesjonale na zewnątrz kościoła. Wykorzystywaliśmy do tego wnękę odgrodzoną drzwiami gdzie była kapliczka. Po rannej Mszy św. spowiadanie trwało do sumy, którą wskutek tego trzeba było opóźnić. Były dzieci do pierwszej spowiedzi i śluby, wszystko to zabierało wiele czasu. Na sumie śpiewał chór z pomocą rówieśniczych gości. Pewnie jeszcze była p. Róża i Zbyszek. Baldachim zrobiliśmy prowizoryczny na dwóch drążkach - monstrancja wysoka, piękna z Aleksandrii. Sztandary fruwały na wietrze, dzwony rozkołysały się radośnie aż dzwonnica się chwieje, a z boku pytają: skąd tyle ludu? Jakby echo ewangelicznych faryzeuszów: "Nic nie pomoże, wszyscy idą za Nim". Idziemy do św. Antoniego, który czeka przy furcie kościelnej. Ostatnie modły i Te Deum. Chwalimy Cię Boże, dziękujemy za /257/ ten piękny dzień.

Po sumie ustawiają się naokoło kościoła wieńcem do chrztu. Jest ponad 130 dzieci. Bywa i więcej. Czasem trzeba chrzcić ponad 200, ale i to nie bagatela. Ręce mdleją pot leje się z czoła. Krzyk niemowląt zagłusza słowa liturgii. Trzeba się spieszyć więc zbiorowo wszyscy razem odrzekają się ducha złego i wszystkich jego grzesznych spraw, a potem krzyczą: wierzę, wierzę. Ale podwójne namaszczenie i sam Sakrament zabiera wiele czasu a trzeba odjeżdżać, bo na wieczór nie zdążą, a maszyny kołchozne nie do swobodnego

rozporządzenia. Jakby chciało się każdego z osobna przycisnąć do wezbranej piersi i powiedzieć parę dobrych słów. Kiedy dają im do ucałowania św. Antoniego i błogosławię na drogę, płaczą. I ja też. Może za rok się zobaczymy.

Ten obraz powtarzał się różnymi wariantami przez szereg lat. Potem nabierał jednak coraz ciemniejszych odcieni. Śmierć nieubłagana kosą zabrała zacnych obywateli. Naj- /258/ pierw odszedł p. Pióro, mecenas, którego żonę w okrutny sposób zamordowano, potem p. Kajetan, wreszcie długoletni prezes komitetu p. Sadowski. Pochowaliśmy też szereg przywiązanych do kościoła niewiast: Rozalię Popk., Helenę, Janinę. Tę litanię powtórzyłaby na pamięć p. Maria, gdyby żyła, bo wszystkich odprawiała zanim sama za nimi poszła.

Z falą nowych wyjazdów było coraz smutniej. Wyjechał nowy prezes Stefanowski i cały szereg innych rodzin. Potem znikły mundurki. Zresztą ich już dawno nie było. Z podlotków wyrosły panny, które miały doznać ostrza ludzkich języków. Raz Julia przyszła do mnie z rzewnym płaczem nic nie mówiąc. Nie wiedziałem co to znaczy, ale niebawem miałem się dowiedzieć, kiedy i mnie spotkały drwinki i szykany. Trudno. Zawsze będą ludzie, którzy nie mogą zrozumieć, że co się zdarza często, nie musi zdarzać się zawsze.

22.VI. Autobus stanął na parę sekund na zakręcie, jeszcze czyjeś /259/ ręce wyciągnęły się przez okno żałobnym gestem, a potem widziałem go jak przewijając się wyboistą wężownicą rozpląnął się w stepie.

Ta wizyta Polski w Arykty przyszła nagle i niespodziewanie, jak promyk słońca, który na chwilę przedrze się przez chmury.

Dziś rano, jak już kilka dni z rzędu od kiedy zaczęto mnie kłuć glukozą czułem się źle. Przy Mszy św. zaledwie coś mogłem powiedzieć o św. Paulinie, który poszedł w niewolę jako ofiara miłości, ale też cudownie został wyzwolony. Nie myślałem o tym cudzie. W ogóle dziwię się na jakiej podstawie X.R. oparł pocieszające słowa, że "pokuta nie potrwa długo". Potrwa jak długo P. Bóg zechce i zdaje się, że jest mi to już obojętne. Nawet nie przejmuję się tym, że do wioski przyjechał uczestkowy i może do mnie zajdzie. Trzeba poszukać sprawki od lekarza i oto pokazuje się, że gdzieś znikła. Może została wyrzucona z papierami. Przychodzi Aleksander z telegramem od Andrzeja i Mikołaja. Niedawno /260/ pytałem się,

czemu od niego nie ma. Wczoraj przyszedł list z R. zredagowany przez Łuk. w imieniu całej grupy - nawet z kwiatkiem, choć zasuszo-
nym. I oto pokazuje się, że wysłali właśnie wczoraj, aby zaszedł
na czas ale nasza poczta tak się cudownie sprawuje, że telegram do-
ręcza się na drugi dzień. Sprawki nie znalazłem.

Wtem Róża ukazuje się z tajemniczą miną - pewnie uczestkowy.
I oto - Polska - i to prawdziwa pachnąca morzem z Gdyni. Polska
czy Polka - to dla mnie wszystko jedno. Ktobykolwiek stamtąd przy-
jechał wnosi aromat swojszczyzny. A p.Cz. jest przy tym sympatycz-
na, choć mówi trochę za cicho. Od jakiegoś czasu odgrywa to dużą
rolę w moim ustosunkowywaniu się do otoczenia. Mimo to jednak po-
rozumieliliśmy się zasadniczo, że skontaktuje się z Marysią, choć nie
może odwiedzić Stalowej osobiście.

/261/ Właśnie przyszedł list stamtąd i od Zofii. Wszystko naraz.
Marysia zabrania mi płakać. Też by coś. Choć moi goście nastawiają
molowo. Jaka pustynia, jaka dzicz, tam i tu niebo i ziemia. Próbu-
ję im wmówić, że się już do tego przyzwyczaiłem. Trzeba było zoba-
czyć Arykty na wiosnę w czasie roztopów.

Czas do wyjazdu mija szybko. Teraz właściwie dopiero się orien-
tuję, że nic się nie dowiedziałem, coby mnie interesowało. Prawda,
był Georgij i to dwie niedziele pod rząd. Teraz nikt mi już nie
przeszkadza. Trzeba było poprosić, żeby mnie odwiedził, ale nie
miałem śmiałości. Nie mogę sobie darować, że nie prosiłem żeby wys-
łały telegram do Jasia. Marysia przysłała mi jego ładny list na
pocieszenie "są sytuacje zdawałoby się bez wyjścia, a potem jakoś
się układa. Wiemy, że tak będzie, jak Bóg przeznaczy?". To kątka
przemawia przez niego. Za te słowa chciałbym go serdecznie uścis-
kać. Autobus spóź- /262/ nił się dobrą godzinę. Zastałem moje Panie
/obie Cz. choć nie krewne/ jeszcze pod magazynem. Cawędziliśmy do
samego przybycia, a potem jeszcze to ostatnie pożegnanie - serdecz-
ne, bo to przecież moja Siostra Elż./?/.

24.VI. Et tu puer. Kiewysłowioną tkliwością tchnie to Dziecię z
kędzierzawą główką, które dzisiaj obchodzi urodziny. Zapomina się,
że to ma być prorok, surowy głosiciel pokuty, a ta głowa spocznie
kiedyś na krwawej misie Horodiady. Teraz jest to mały Janek, który
pieści się z barankiem. Takim był na ołtarzu w Równem, kiedy gro-
madziłem przed Nim dzieci, takim dziś w maleńkim obrazku na naszym

skromniutkim ołtarzu. Jest mi smutno. Myślałem, że dziś stawią się wszyscy, jak na święto - tymczasem było dziewięcioro. Nie mogę mieć do nich pretensji. Chorują albo mają swoje zajęcia. Wszędzie przy chatach spotykam czarne bryły nawozu suszące się na słońcu. To ten sławny kiziak, dla niejednego jejyny opał na zimę. To inne sprawy gospodarskie zabierają czas wszystkim. Wczoraj Lida nie /263/ przyszła nawet na mszę św. tak zaabsorbowana jakąś robotą. Trudno marzyć o kościele w Arykty. Co inne, o było w Równem, Zdołbunowie lub Horcu. Tam przynajmniej czasem jakaś babka Szawkowiczowa mogła wykraść swoją wmużkę i przyprowadzić do kościoła a swego Tolka. Haneczka na takie święto jak dzisiaj szykowała całą armię z Marysią Białą i Różową. Kiedyś na św. Jana była Pierwsza Komunia św. dzieci. Staraliśmy się tę uroczystość urządzać pięknie.

25.VI. "Stokroć więcej otrzyma". Znowu miła niespodzianka. Wczoraj zjawił się Hajdumowicz. Od Romanówki szedł pieszo, potem szukał w Nemidałku, spotkał znajomego, wreszcie dotarł. Jestem do głębi wzruszony. Doprawdy ci ludzie okazują mi stokroć więcej życzliwości i współczucia, niż na to zasługuje moje mizerne cierpienie. Nigdy tak dobrze jak właśnie teraz nie rozumiałem słów Ewangelii: "Każdy ktoby opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syna, /264/ albo rolę dla imienia mego, stokroć więcej otrzyma". Można by po kolei analizować każde słowo i wszędzie to "stokroć więcej" będzie miało zastosowanie. A więc i dom zamienia się na przybytek Boży - lepszy dzień jeden w przedsionku domu Twego, braci, siostry - czyż ta gromadka, która się przyoblekła w szkaplerz i pasek nie okazuje braterskiej i siostrzanej miłości ojca - teraz już prawdziwie mogą wołać, Ojcze, któryś jest w niebie - matkę - oto matka Twoja; żonę, synów - życie rodzinne - czyż ojcostwo duchowe, to tkliwe słowo ojciec w ustach setek i tysięcy - czyliż to też nie owo stokroć więcej - wreszcie rola - jak się rozszerza w nieskończoność pole pracy - wdzięczna lub opoczysta rola serc leżąca odłogiem.

Ten Józef idący pieszo 8 godzin jakby w pielgrzymce narzuca mi takie refleksje. Teraz on spokojnie zasypia, a mnie w głowie kotkuje to, z czym przybył. A więc jest krewnym i to bliskim po matce marsz. /265/ Malinowskiego. Pan go odprowadził do ministerstwa. Skarżyli się, że nie ma podań o domy modlitwy i szkoły. Zaczął się ruch. Wreszcie zbierają podpisy.

26.VI. Żal mi, że nie mogłem odprowadzić Józefa. Parę razy uściskaliśmy się prawie z płaczem. Ma w domu żonę dwadzieścia parę lat sparaliżowaną. Nosi ją na ręku jak dziecko. Właściwie w Donieckiem on jeden o wszystko się stara. Nabożeństwo bywało i gdzieindziej, ale ksiądz sprowadzał Hajdumowicz. Mójek Malinowski zarzucał mu, że zrobił z siebie Hajdamakę, już lepiej było z "kajdanami". Zdradził mi tajemnicę, że nazywa się właściwie Kajdanowicz, ale że w Fedorówce jest wiele takich rodzin, więc w armii zmienił nazwisko. Druga ciekawa rzecz, którą mi powiedział, to że Malinowski uczył się w Łytomierzu na księdza. Rozpędzili ich - i co z tego wyszło! Ale Józef jest dziecięco nabożny. W Wilnie dostał podręcznik adoracji. Sam sobie przepisywał różne pieśni /266/ i modlitwy. Nadaje się na apostoła i takim już zaczyna być. Wszędzie rozsyła formularze otrzymane w K-wie. Na kilku posiołkach podpisało się już ponad 2400 samych mężczyzn. A mają posyłać zewsząd.

Żegnaliśmy się rzewnie: my nigdy nie zabudiem. Wzruszony język się płacze. Chciałem jeszcze wyjść zobaczyć się przy autobusie, ale przyjechali z posiołka z dziećmi do chrztu. Przywieźli sześcioro, a dołączyło się jeszcze czworo miejscowych. Dzisiaj czytaliśmy ewangelię o cudownym połowie. Próbuje matki zatrzymać na ranną mszę św. Nie wiem co z tego wyjdzie. Do Lidy przyjechali goście - jakichś 10 osób - wszyscy luteranie. Musimy Mszę św. odprawić w domu. Pewnie nikt nie przyjdzie i nie można śpiewać, bo za ścianą ... Popsuje nam to koniec czerwca. Ale zato wczoraj przyjeżdżali z Kamb. Może tam wreszcie się coś ukłowi.

27.VI. Św. Władysława nie ma w bre- /267/ wiarzu, ale dla nas rówieś- kich jest to dzień pamiętny ze względu na Władka. Kiedy mówiło się Władek, każdy wiedział, że chodzi o Sokoła. Krępy, barczysty, pomagał ojcu w kuźni, a w kościele basował razem z Krzemionowskim. Prawda żona Krzemionowskiego - też była Władysława. Chodziła długi czas z rakiem na twarzy i od tego umarła. Władek potem ożenił się z Rózią. Ślub był uroczysty z całym splendorem, a potem byliśmy z całym chórem na weselu. Dałem im na nowosiele Obraz Serca P.Jezu- sa. Jeszcze za jego kawalerskich czasów miała miejsce afera z motocyklem. Teraz w Arykty motocykle różnych marek z kolaską i bez

smigają często naładowane dziećmi. Prawie co drugi mieszkaniec ma własny motor. Wtedy dostać motocykl nie była łatwa sprawa. Postanowiłem posłać Władka do Lwowa. Snrawił się szybko. Za dobre pieniądze - już nie pamiętam ile mu dałem - /168/ przyciągnął starą wojskową maszynę - bez nokwitowania. Znaczyło to, że nie można jej zarejestrować, a więc i jeździć. Mimo to dostaliśmy jakoś numer, ale pokazały się defekty i maszyna poszła do rupieci.

28.VI. Wczoraj z cmentarza wypędził mnie chłodny wiatr, niebo zacięgnęło się chmurami. W nocy pewnie zaczął się deszcz, który teraz leje bez przerwy. Patrzę z żalem przez okno na rozmiękłe drogi, bo to może oznaczać, że autobus nie pójdzie, a jutro przecież święto a potem pierwszy Piątek, którego będą czekać w Żenteka. Ale też od rana nie daje mi spokoju pytanie, które Jezus postawił nie tylko Piotrowi: Zali miłujesz mnie? Jeśli tak, to spełniaj swoje duszpasterskie zadanie, ale pamiętaj, że to moje owce i powierzam je według swojej woli temu, kto więcej miłuje. Jakże wstydzę się teraz tego, co pisałem o moich owcach. Teraz rozumiem, że ten zaimek nie ma sensu. Są tylko owce Chrystusowe, odkupione Jego Krwią, dane Mu przez /269/ Ojca i nikt nie wyrwie ich z ręki Jego. Wobec tego cóż się martwić, że goście Lidy może nie prędko wyjadą i czerwcowe nabożeństwo będziemy musieli zakończyć cicho w domu u Georgia?

2.VII. "Rozradował się duch mój w Bogu". Gdyby nie wróg za ścianą, śpiewałbym głośno "Magnificat". Czuję się jak kapryśne dziecko, któremu matka wszystko daje, żeby tylko nie płakało.

We środę zbudziłem się z silnym bólem głowy. Może dlatego, że wczoraj nie udało mi się pojechać i cały dzień pracowałem nad książkami. Msza św. "odpustowa" była smutna. Byłem duchem w kościele Zd-in, który na ten dzień zapełnił się gośćmi z Równego, Ostroga, Sławuty i innych różnych miejscowości. Od rana do sumy był zwykle wystawiony N.S. do adoracji. Śpiewał chór rówieński i śpiewacy miejscowi. Niezapomniany miły głos Mirki: "O Święty niebios odźwierny". Dziś musieliśmy śpiewać przyciszonym półgłosem, a modlić się po niemiecku. /270/ Przed donem maszyny grzęzły w błocie, ale miałem nadzieję jakoś pojechać. Powiedziano, że autobus już poszedł, ale pokazało się, że to przyjechał teatr. Wróciłem wyczerpany i z zawrotem głowy. Widocznie już z jazdy nic nie będzie. Trzeba było zrezygnować i odpocząć. Za godzinę budzę się i widzę przy łóżku nieznaną kobietę. To przyjechała z Syncowa Dyczyńska, która się dawno

już wybierała. Jest już więc pierwsza pociecha - polskie słowo. Nagle przyszła chęć jechać do Kembika. Autobus poszedł jednak niedawno i będzie wracać. Aleksander ofiarował się towarzyszyć. Niech to będzie znamienym faktem, że luteranin prowadzi katolickiego księdza. Autobus nam uciekł, ale wieczorem szła maszyna Dyczyńskiego. W Kemb. znajomy Aleks. okazał się dobrym katolikiem. Tak w imię św. Apostoła rozpoczęliśmy Służbę w tym ważnym punkcie.

Jest to jakby mój obecny Zd. bo od Ak. odległy również 12 km. Można by zjawiać się w nim częściej jak tam, tylko /271/ że w Zd. trzeba było mieć pozwolenie, a tu potrzebna tylko dobra wola. Wieczorem byliśmy z Marią z Kurg. w Żenteka. Czekająca już Katie z Wiktorią. Przywiozła wszystko co potrzebne, a ponadto Cl. i książki od Władysława. Przestrzega przed konkursem Frdelskich, ale z wielką życzliwością. Do Uczty stawili się prawie wszyscy - oby wytrwali i krzepili. Rozpoczęliśmy miesiąc Najdroższej Krwi. W domu czekała Maria z Różą. Nowa radość, bo przywiozła mi polskie serca i słowa. Pociągi teraz przepełnione, ale ich jakoś prowadził św. Rafał czy Antoni dla mojej pociechy.

4.VII. Teraz z nieba leje się żar, ale rano jazda była przyjemna. Wkłęśliśmy na motorze jakby po asfalcie, tylko czasem na wybojach przypominało się, że to nie zdołbunowska szosa ale stepowa droga zależna od pogody. Zresztą i tam nie było jeszcze asfaltu, kiedyśmy na naszej maszynie tłukli się do Ostroga.

Nasze niedzielne nabożeństwo w Kembiku nie wyglądało entuzjas- /272/ tycznie. Dopiero po Mszy św. już po północy zaczęli śpiewać i to ładnie. "I któż jest, co by wam zaszkodził, jeśli w dobrym gorliwi będziecie". Słowa Pierwszego Papieża były pełne znaczenia. Trzeba rozbudzić gorliwość. Już to dobre, że zaprosili na następny raz. Dałem im litanię o Najdr. Krwi, którą Georgij niestrudzenie przepisuje. Pożegnaliśmy się rzewnie z Marią i Różą, które odprawiły nocną adorację. Wciąż te pożegnania, ale znowu biorę ze sobą Pociechę. Jeśli uda im się dostać na samolot, będą mogły być jeszcze dzisiaj w domu. Dałem pismo do gen. prokuratora, żeby wysłali, jeśli uznają za stosowne. Napisałem też do Władysława, bo właśnie była przejezdna z Kar. Zawsze niespodzianie dobrze się składa.

7.VII. Żenteka. Patrzą przez okno - aż oczy bolą w zdala migające słońcem szyby autobusu. Nie mogę się powstrzymać żeby nie odchylić

firanek, kiedy przejeżdża obok. Widzę wyciągnięte na pożegnanie ramiona. /273/ Było ich cztery: dwie Wiktorie, Katia i Jaworska. Świąciliśmy rocznicę dwóch małych Wiktoroków ofiar karygodnego niedbalstwa nowoczesnych budowniczych. To już dwa lata. Katia mówiła wtedy: może dobrze, że go P. Bóg zabrał. Na pogrzebie było mnóstwo dzieci właśnie z Żenteka. Wczoraj też było kilkoro. Dzisiaj odprawialiśmy również żałobne nabożeństwo za Piechnę Kazimierza. Miał szczęście, że na trzy godziny przed śmiercią przyjechał niespodzianie kapłan - pewnie Włodzimierz. Zofia nie pisze wyraźnie.

Z Wilna przywieźli wzruszający list od o. Świątka. Przypomina mi apostołów: "Erant gaudentes". Nie bardzo się to nadaje, bo trudno mi pozować na męczennika. Karol jedzie do Polski. Muszę do niego napisać.

W Krykty czekały dwa listy od Maryśki i od Albina. Umarł Władysław i br. Leoś - owieczka Boża.

8.VII. Władysława mało znałem. Wiem tylko, że w pierwszych dniach wojny /274/ gdzieś przepadł, potem się odnalazł. Niedawno obchodził jubileusz. Dziś odprawiłem za niego Mszę św. cicho, bo Lida nam odmówiła. Skończyły się ranne przechadzki. Nie wiem, co było powodem. Może ta luterańska rodzina, która pewnie jej robiła wymówki. Szkoda, bo to może oznaczać odstępstwo - a każda dusza droga. Ile to nam przychodzi opłakiwać strat. Choćby ta Wiktorina. Katia opowiada, że u nich było to bardzo nabożne dziewczę. Matka pokazywała mi jej obrazki, pamiątki, ofiarki; Włodzimierz pielęgnował ją jak kwiatek. A teraz przyjechała z ruskim nieślubnym mężem i wcale się nie modli. Dobrze, że dziecko chrzcili. W Nowokuźniecku nawiedza ich Aleksander.

9.VII. Zrobiono mi miłą niespodziankę. Po Mszy św. miałem się zabrać do listu do Weroniki, kiedy dano mi znać, że są dzieci do chrztu. Pokazało się, że przywieziono jakieś 15^{oro} od niemowląt do 12^u lat /275/ i to prawie wszystkie wcale nie chrzczone, nawet z wody, co się rzadko zdarza. Musi już być duża obojętność, żeby do tego dopuścić. Kazałem im się przygotować i sprowadzić mnie do siebie. Byłby to już piąty punkt.

Teraz mogę już powrócić do Weroniki. Nie wiem, czy ta dzisiejsza Stygmataczka jest jej patronką. Chyba nie, bo skądże mogliby wiedzieć o Świętej Kapucynce, skoro i III Z. był im nieznamy.

Dziwno mi, że i Ewelina nie była tercjarką i wogóle nikt z Olewska. 12.VII. Historia się powtarza. Anna przyjechała w niedzielę z Georgiem i żoną z Paust., a ja tym samym autobusem odjechałem spotkawszy go w drodze. Znowu będą się zrażać. Za to u Wedug. było jak należy. Wczoraj w domu czekała Katia z Franią. Też niespodzianka, bo nie myślałem, że też mnie odwiedzi po Wilnie. Był u nich Michał ale szybko wyjechał. Dziś P.J. jest z nami cały dzień. Święty, błogi czas. Georgij klęczy, adorując, /276/ rano słyszeliśmy wezwanie: "będziecie doskonałymi". Za godzinę jedziemy do Anny.

13.VII. To była moja pierwsza wycieczka poza rejon. Byłem wzruszony, bo jechał z nami ukryty pod białą chustą Frani - P.Jezus. Zawsze jestem przejęty, kiedy dają im na drogę Najlepszego Towarzysza. A zdarza się to częściej. Niedawno wyprawilem Marię, a teraz Frania zabiera na cały miesiąc. Zdarzyło się to nawet niespodzianie, bo parę dni temu był u nich Michał, ale nagle wyjechał. Nie śmiem myśleć, że to dla mojej pociechy. W autobusie ścisk - do Kembedika trzeba jechać stojąco. Tylko Frania znalazła miejsce. Nikt nie wie, że u niej na piersi - najważniejszy Pasażer. Tylko Katia pewnie cichutko adoruje.

Za Kembedikiem już wszyscy siedzimy. Po obu stronach drogi ciągną się bezkresne pola - teraz już puste, bo rychło zajdzie słońce. Przypomina się Szymonowicz, ale tu żeńców nie /277/ ujrzysz i kłosa jakiegoś niskie, nie podobne do naszych szumiących łanów. Za Czethkarem mijamy miejscowy cmentarz. Czarne czworoboki, a w środku oślepiająco biała kapliczka - meczecik. Widać robią remont, bo otwarta i wokół jakiegoś materiały. Dawniej tego nie było. Dzangiz Kuduk powinien być blisko, ale droga kręci się wężownicą omijając wyboje. I oto w dali pokazuje się osada. Nawet dość spora. Jakiegoś nowe budynki - wszystko zdaje mi się nieznajome, ale autobus staje i wychodzimy. Pytamy kogoś o cmentarz, bo Blumy niedaleko cmentarza - mówią coś o tym niewyraźnie - potem wspominamy nazwisko. Blum? nie takich tu nie ma. Ależ to przecież Dzangiz Kuduk! Gdzieżby tam! jakiś Mozuk Mamaj - a cel naszej podróży jeszcze 18 km. No i jest przygoda. Na szczęście na bazie stoi maszyna, która nas weźmie. U Blumów znaleźliśmy się już późnym wieczorem. Dzieci wybiegają naprzeciw ale witamy się /278/ dopiero w domu. Czuję się jak w rodzinie, bo wszyscy serdeczni. Katia i Lena grają po ukraińsku:

My chcemy Boga. Nauczył ich Georgij, którego list z Moskwy dają mi czytać. Jest swobodny w tonie i pełen werwy. Jechcie do Saratowa, a u nas będzie przy końcu miesiąca. Jest mi troszkę nijako, bo przypominam sobie niedawne podróże. Trudno. Pokutę trzeba odprawić do końca.

Dziś rano odprawialiśmy ranną mszę św. w całym tego słowa znaczeniu. Wszyscy modlą się i komunikują. Najpierw dziewczątka - potem starsi. Tylko Ani Melita jeszcze nie przygotowana. Dobrze, że znalazła się tutaj, nauczy się i przywyknie do szczerej pobożności.

14.VII. Od jakiegoś czasu zachwyca mnie cudowną rytmiką modlitwy św. Bonawentury z Transfige. Jest w niej zawarta cała gama uczuć rozplywającej się w miłości duszy. Zdaje mi się, że żaden język nie wysłowi mistrzostwa oryginału. Z początku /279/ płynie jakby zaśpiew w falistym rytmie, prośba o ranę miłości. Dusza tęskni i wzdycha jak gołębica, rytm się ożywia, mnożą się coraz dobitniejsze określenia przedmiotu miłości: Panem angelorum, refactionem animarum nostrarum, panem nostrum cotidianum ... dalsze określenia brzmią słodko jak szept: habentem omnem dulcedinem et saporem et omne delectamentum suavitatis - wszelką rozkosz słodkości. Dusza pragnie jak jelen: źródła życia, źródła mądrości i wiedzy, źródła wiekuistej jasności, powtarzanie tych samych słów wyraża wytrwałe trwanie i wzrost tęsknoty zatopionej w strumieniu rozkoszy. Ale postawa oblubienicy nie może być zgoła pasywna - toteż gromadzi się cały szereg czynnych orzeczeń następujących w przyspieszonym tempie: te semper, amiat, te quaerat, inveniat, tendat, perveniat aż wreszcie osiągnąwszy cel może zatopić się w spokojnej kontemplacji: meditetur, loquatur. Rytm się zwalnia i skanduje w przeciwnych dwuspiewach. Dusza przechodzi do czynu, /280/ a praca jest trudna, trzeba stopniowo zdobywać coraz wyższe szczeble:

cum humilitate et discretione,
cum dilectione et delectatione,
cum facilitate et affectu

aż do finału w wieczności - usque in finem. Teraz następuje cała kaskada dźwięków, barw, określeń jakby litania rozmiłowanej duszy, która sama jedna wystarczyłaby na godziny rozmyślań: spes, fiducia, divitiae, delectatio - w różnych odcieniach jedno i to samo ale przecież różne określenia. Trzeba być mistrzem słowa, aby nagromadzić tyle synonimów i metafor.

Nie wiem czy poezja Doktora Serafickiego została opracowana. Łałuję, że się tym nie zajmowałem zamiast tracić czas i energię na jakąś dysertację o estetyce, o której Pigoń powiedział, że się nie nowego nie nauczył. Była to koncesja na rzecz Kołaczkowskiego - może też trochę próżności, żeby się popisać włoszczyzną zresztą z trudem zdobywaną. Croce /281/ był dla mnie obcy i właściwie nigdy go nie rozumiałem. Gentile z swoim idealizmem i intelektualizmem wykraczał poza chrześcijańską ideologię. Czytałem ich za biskupią dyspensą właściwie zupełnie niepotrzebnie. Nie mogę odżałować, że nie wziąłem u Chrzczanowskiego pracy o Majsiwiczu. Byłby jakiś pożytek dla mnie - może i dla innych. Może jeszcze będzie czas zająć się św. Bonawenturą i w ogóle poezją franciszkańską.

16.VII. Dzisiaj jestem u Karmelitów we Lwowie. Niedługo po wyświęceniu miałem tam kazanie. Jest to największy odpust w tym kościele, przytym było wiele znajomych z Zamarstynowa, ale nie miałem tremy. Lubię kazania o Matce Bożej. Może dlatego, że przy nich nie trzeba krępować fantazji i można beztrudnie pofolgować uczuciu. Zwykle zaczynało się od jakiegoś tkliwego przykładu, a potem snuły się myśli bez żadnego schematu, po prostu jak z kłębka. Jakieś aktualne zastosowanie, na /282/ końcu modlitwa, czasem skandowana prostym powtórzeniem odpowiednio do uroczystości. Matko Potężna, Matko Łaski Bożej,

Ty coś na swe skronie
Koronę polską wzięła przed wiekami,
módl się za nami.

Szkaplerz przywiódł mi na pamięć ryngraf rycerzy, którym chronili piersi przed wrogiem. Teraz my szeregujemy się w obronie wiary i moralności. Dzieci Marii są silne w wierze i czyste. Potem była procesja po stokach wzgórza dominującego z daleka nad miastem. Przed nami w pobliżu wznosiła się kopia Dominikanów, obok kościół seminaryjny św. Kazimierza, naprost czarne mury cerkwi wołoskiej. Mój kochany Lwów - miasto z górą czterdziestu świątyń. Dziś cisną się na usta skargi Jeremiasza: quo modo mutatus est color optimus: z czterdziestu kościołów pozostały dwa - Katedra i św. Antoni. Inne dobrze jeśli konserwują się jako zabytki - w przeciwnym razie tracą swój dawny wygląd. Klasztor karmelitów /283/ przeznaczono na przytułek dla prostytutek.

Marysia pisze, że byłem silny i pogodny, obawia się, żebym teraz nie upadł na duchu. Jeżeli chodzi o siły fizyczne, to rzeczywiście teraz czuję się słabo, ale wieczorem przechadzka robi dobrze. Dziś przy jutrzni był śliczny zachód słońca. Rozpalone grało jakiś czas na szybkach maszyn oślepiającym blaskiem, a potem szybko schowało się za ciemne już kontury korbajnow. Łagodny wietrzyk muskał mi twarz, kiedy usta szeptały: Domine, quem admirabile est nomen tuum.

Wieczorem przyszedł jeszcze jeden list od Maryśki, ale niech poleży do jutra. Nie mogę się zdobyć na inną ofiarę. 17. Ania naplotkowała do Maryśki, że ludzie cieszą się jej bratem. Oczywiście wszystko należy przypisać P.J. On tu jest wszystkim. Dziś znowu jest z nami cały dzień. Georgij chciał jechać do dzieci, ale pozostał i cieszy się Gościem. Róża też ad- /284/ ruje, ile może. Myślałem, że przyjedzie kto z dalszych, ale nie ma. Rano było 11, brakowało jeszcze kilkoro, Kiliana z Lidą i innych parę. Lidą jest rzeczywiście chora i niesłusznie podejrzewać ją o złą intencję. Głośny śpiew rozstraja jej nerwy. Jeżeli wyzdrowieje, powrócimy tam znowu. Zachęcałem, aby ją odwiedzali. W ogóle do dobrych uczynków czyli rodzenia dobrych owoców. W dzisiejszej ewangelii powtarza się 5 razy słowo rodzić. W oryginale jest fructum facere ale nasz polski język woli dosadne wyrażenia. A mnie się płaczą w głowie reminiscencje. Barbary córka ma już dziesiąte - sicut vitis abundans. Hala Szewczyk jest w poważnym czy odmiennym - jak pisze Nina - stanie. Jasiowie też spodziewają się pociechy we wrześniu, zupełnie normalnie - 8 sierpnia rocznica ślubu. Z drugiej strony ta Sunamitka "prawego Dawida grzejąca", który "non cognovit", Henryk żyjąca z Kunegundą jak brat z siostrą lub jak pisze /285/ Goffine jak Józef z Marią - no i ten dzisiejszy Aleksy syn Eufemianów w poślubną noc rzucający małżonkę. Co komu lepiej, albo raczej - jaka komu wola Boża.

Ten św. Aleksy, namiętny wędrowiec - pątnik, jest mi znany jeszcze z lat gimnazjalnych. Szkoda, że teraz nie mam tego tekstu, na którym uczyliśmy się dawnej polszczyzny. Obecnie jest mi on znacznie bliższy przede wszystkim dlatego, że mnie sędzono właśnie za żebractwo. Gdybyś Ty św. Awanturniku /avant tour - nie musi mieć pejorystycznego znaczenia/ żył w naszych czasach i wędrował nie po Azji Mniejszej, ale po nieobjętych przestrzeniach Kraju Rac, nie

daloby Ci tak łatwo umrzeć niepoznanym przed progami ojcowskiego domu. Byłbyś wielokrotnie opisany, fotografowany, badany, odbito- by na więziennym papierze odcisk Twoich palców i całej dłoni, jak to się czyni z notorycznymi złoczyńcami, potem /285/ usłyszałbyś, że jesteś durmożjadem i dotychczas nie zrobiłeś nic pożytecznego dla społeczeństwa. Potem wadziliby Cię po różnych instytucjach, których za Twoich czasów nie było - oglądaliby Cię w najdrobniejszych szczegółach /dyspanser weneryczny!/ wreszcie byłbyś ostrzyżony, ogolony, wykąpany razem z czeredą podobnych Tobie /teraz wstydu nie ma/ wreszcie wywiezionoby Cię do jakiegoś Arykty na pokutę za lata wędrówki. Powtórę, jest to dzień imienin mojego poprzednika. Nieste- ty tutaj nie ma nikogo, z kim mógłbym go wspomnieć, bo do Arykty w apostołskich wędrówkach nie dotarł.

Wreszcie: przypomina się Emerynka. Dzisiaj tam uroczysty odpust. Kiedy byłem ostatni raz, nabożeństwu przewodniczył sędziwy zakrys- tian. W przepełnionym kościele panował rzewny nastrój. Na ołtarzu położono ornat, ozwały się /287/ organy jak do Mszy św. ale kapłana nie było. Ks.Olszowskiego wywieziono prawie przemocą do Polski. Zresztą nie wiem jak to było. Może go zmuszali do wyjazdu jak mnie. Był dobrym gospodarzem i proboszczem. Łościółek za jego czasów przybrał piękny wygląd. Św.Aleksv - z wielgrzymią laską i bukłakiem spogląda zdziwiony na ozdobione obrazami ściany. Tego dawniej nie było. Ale też za to podobno parafia straciła proboszcza. Mieliśmy się wybrać tam kiedyś z p.Teklą Okm., która była tamtejszą czynną parafianką. Dzisiaj odprawia się tam pewnie uroczyste nabożeństwo. Może jest Ernest, a może Józef - a może kilku naraz. Szczęść Boże w pracy. Lnie czeka bidażk.

18.VII. W dniu św.Kamila tłoczy się w pamięci cały szereg obrazów zachodzących na siebie jak w migawkowym filmie. Oto cmentarz Zamars- tynowski gdzieś na samym krańcu. Długi szereg mogiłek sypanych wi- /288/ docznie na prędcie, o które potem nikt nie dbał. Jest to pamiątka strasznych dni cholery. Jak legendę opowiadano nam w dzie- ciństwie o o.Alfonsie, który w białym chałacie chodził wszędzie i niósł pociechę zarażonym. Ale oto już jestem w Korcu przy grobie którego proboszcza ks.Dargiewicza. Zginął jako ofiara miłości za- rażony przy chorych. Nawet Żydzi go wspominali z szacunkiem. Stara Huta dziesiątkowana tyfusem. Cmentarz w krótkim czasie zapełniony.

Ale najżywiej stoją mi w pamięci wędrowki do chorych z Elżbietą. To była ta Elizawieta Pawłowna! Choć młoda, zna ją nieledwie cały Leningrad - zwłaszcza ten cierpiący. Jako lekarz-terapeuta dostała ze zadaniem odwiedzać chorych w domach. To jej daje sposobność do tkliwej akcji charytatywnej. Leczy metodą homeopatyczną ciała i dusze. Sama doznała co cierpienie, toteż ma współczucie dla każdej nędzy. Czasem byłem zawsty- /289/ dzony tym co mówiła: czemu wy nie macie miłości? Litowała się nad pijakami walającymi się w rynsztokach. Sama miała w rodzinie brata alkoholika. Kiedy zachorował na serce, prosiła, żebym go odwiedził i wyspowiadał. Pomogło na niedługie czas. To była jedna z jej delikatnych bolączek. Miała ich wiele, bo każdy chory, którego raz odwiedziła, zapadał jej głęboko w tklive serce. Nie robiła przy tym różnicy wyznania czy rasy. Komunistom radziła w ciężkim stanie wyspowiadać się. Cierpiała przez to szyderstwa i negany, ale metody nie zmieniała. Sama chora na serce, czasem wlokła nogę za nogą przystając na każdym schodzie. Mnie prosiła, abym kładł ręce na chorych i modlił się. Jej wiara miała w sobie coś z mistycyzmu. Zanim powzięła jakąś decyzję, musiała Jego zapytać. Twierdziła, że słyszy Jego głos. Nigdy nie modliła się z książki, może dlatego, że Łotewskiego języka matki prawie nie znała. /290/ W czasie Mszy św. leżała twarzą do ziemi. To była jej modlitwa. Czasem jadąc godzinę w elektryczce słuchałem jej opowiadania o młodości. Ojciec porzucił ich w dzieciństwie. Ją i dwóch braci wychowywała matka. Ile się naciępiła ta biedna kobieta zmuszona borykać się z alkoholizmem męża, a potem pozostawiona przez niego na pastwę losu. Opowiadała, że kiedy miała wydać na świat córeczkę, słyszała we śnie ludowy śpiew o św. Elżbiecie. To zdecydowało o imieniu, a może potem o kierunku życia dziewczynki.

Pewnego niedzielnego popołudnia poszliśmy razem do szpitala "chroników". Elżbieta była tu dobrze znana. Kiedyśmy weszli do żeńskiej pokowy zwróciły się na nią wdzięczne spojrzenia. Znaleźliśmy się w kręgu wszelkiej nędzy niekończącego się cierpienia. Ciała powykęcane, przykute do łóżka lub podrzucane nerwowym ruchem. Elżbieta obchodziła je ze słowem pociechy. Mnie kazała kłaść ręce na chorych i bło- /291/ gosławić. Czyniłem to nieznacznie, prawie w milczeniu. Nie umiem pocieszać. Zresztą cóż można powiedzieć tym nieszczęśliwym, z których słownika zostało na zawsze wykreślone słowo: zdrowie.

nie schodzi mi z pamięci Rita, dziewczę kilkunastoletnie cierpiące nieustanne konwulsje. Z trudem stara się utrzymać w zniekształconych palcach ołówki, którym gryzmoli list do koleżanki. One teraz gdzieś biegają po parku lub zachwycają się kinem, a ona. Nie wiem, czy jej co mówię, czy tylko usługiwalem do kolacji ale potem zawsze wspominała "dziadzia". U chronicznych bywaliśmy potem częściej. Zresztą dla wielu, którzy raz tu przyjdą, staje się to potem nałożeniem. Jakiś staruszek chciał się nawet wypowiedzieć, ponieważ ich batuszka tam nie miał przystępu. Byłem na to zdecydowany, bo tam wobec ostatecznej nędzy opadają wszelkie bariery. Kosikiem się nawet z myślą stanąć tam do /292/ pracy i stać się jakby kapłanem tej kolonii nieszczęśliwców. Trudności były jednak nie do przecięcia, bo to nie czasy św.Kamila, kiedy do heroicznej ofiary potrzeba było tylko dobrej woli. Nawet wśród chorych można było natrafić na wrogą podejrzliwość.

Służba w szpitalu czekała mnie gdzieś indziej i innego rodzaju. 20.VII. Łaża Ida przyniosła romanu do ołtarzyka. To miłe dziewczętko o kędzierzawych czarnych włoskach sprawia mi wiele radości. Często wybiega naprzeciw kiedy wracam do domu i tuli się jak do dziadzi. Dzisiaj właśnie czytaliśmy jak P.Jezus błogosławił dzieci. "Dopuszczcie do mnie". Jak boli serce, że nic nie można dla nich zrobić, kiedy rodzice ograniczają się często do tego, że dziecko ochrzczone. Trzeba wyjątkowej gorliwości Blumów, żeby wypielęgnować takie kwiatki jak Lena i Katia. Teraz uczy się tam Melita /293/ ani. U Kolb. też są dziewczynki, które trzeba zbliżyć do P.J. Obiscuję się nimi zająć i wciąż trudno.

21.VII. Zaszło niecodzienne zdarzenie. Pożar. Po południu byłem zajęty, kiedy Róża przyszła z wiadomością. Tener. Pali się siano na fermie. Myślałem, że prędko zlikwidują. Mają wszelkie środki techniczne. Nie myślałem już o pożarze, kiedy wybrałem się na cmentarz. Chciałem na mogiłkach pomodlić się za Bągińską. Nagle zrozumiałem, że właściwie nikt poza Haneczka nie okazywał mi tyle przywiązania co ona. Przy jutrzejszym zaczynającym się święcie odczuwam dotkliwie jej brak. Te myśli piątały się przeszkadzając w brewiarzu, który odnawiałem po drodze. Jakas dziewczynka przystanęła ciekawie patrząc co czytam na polu o tak późnej porze. Musiałem schować brewiarz, bo i tak dobrze się ściemniło. Wtedy ujrzałem niedaleko kłęby dymu. Z cmentarza widać było ogniste ją- /294/ zyki,

ale cała panorama ognia roztoczyła się dopiero, kiedy zbliżyłem się z boku od wody. Byłem zdumiony, że pozwalają bezkarnie buszować żywiołowi. Stały dziesiątki maszyn z sikawkami i przybywały coraz to nowe, ale robiły wrażenie zabawki, wobec góry ognia, który wierał się coraz głębiej w obficie nagromadzone sterty siana. Na tle zapadającej nocy widok był wspaniały. Stałem dłuższy czas myśląc "o ogniu nieugaszonym".

22.VII. Dziś - nie wiem dlaczego - śniła mi się Łukomska. Spotkaliśmy się na ulicy wielkiego miasta i od razu poznali nawzajem, choć ona trochę się zmieniła. Była nieco pełniejsza, jak wówczas w szkole, ale równie żywa. Przystąpiła, podała rękę i pocałowała - swoją poniżej łokcia. Chciałem coś powiedzieć, ale odeszła śpiesznie choć biegłem, za nią w poprzek jezdni. Było jakieś święto. Prawda, dzisiaj /295/ święto Polski Ludowej. Dawno już zwróciłem uwagę, jak odpowiednio został na ten cel wybrany dzień wielkiej Pokutnicy. Było to zdaje się w Krzemieńcu, gdzie odprawialiśmy odpust. Dziś miasto Słowackiego odżywa w pamięci w całej krasie. Góra Bony pyszni się w słońcu jak jej imienniczka, która podobno nie była tak zła, jak nas uczono. W Krzemieńcu wobec cudów przyrody zapomina się o ludzkiej brzydocie. Wszyscy tu byli mi drodzy począwszy od p.Zofii Majewskiej, aż do żebraczki pod kościołem, która mnie zawsze głośno witała.

Moje wizyty tu były półoficjalne. Ale dość częste, zwłaszcza kiedy ks.Marceli wyjechał do Winnicy. Za każdym razem p.Zofia łażowała koszyczek i udawała się do żony pełnomocnika. Potem wszystko szło gładko. Zastrzegał się tylko, żeby inni nie wiedzieli. Lino to raz Wołoszkiewicz zagadnął mnie zniemacka w rozmowie: w Krzemieńcu pięknie, prawda. Odpowiedziałem /296/ z głupia frant - że cudownie, a jest nawet rzeczka, w której mógłbym popróbować swojej wędki, jako zamknięty w rybołówstwie. I na tym się skończyło - ale to był Wołoszkiewicz. Byłem nadal jakby nieoficjalnym proboszczem na przemian z ks.Mir. Nasze nabożeństwo było niezapomniane - zwłaszcza w dni uroczyste. Ołtarz rzeświście oświetlony, monstrancja wysadzana drogimi kamieniami. Na stopniach zacny p.Kulesza i jeszcze ktoś do pomocy. Na chórze p.Irena z grupą śpiewaczek. Przed ołtarzem zatopiona w modlitwie, nieodstępna, jak jeszcze jeden z rekwizytów kościoła niezapomniana p.Kańska. Gdzie jesteście teraz obrazy moich wspomnień? P.Majewską odwiedzałem parę razy w chorobie, a potem

odprowadziliśmy ją na cmentarz. Spoczęła w zacisznym grobowcu obok doktora Lajewskiego. Niedługo poszedł za nią pan Kulesza. Panią widziałem ostatnio w jej /297/ sadybie, do której prowadziła uciążliwa ścieżka. Staruszka wytrwale schodziła każdy dzień rano otwierać kościół - aż jej siły odmówiły i poszła po zasłużoną nagrodę. Tylko p.Irena pozostała pewnie na swym dawnym stanowisku reprezentując godnie służących Bogu i Ojczyźnie Humaników.

A mnie jak najdroższa pamiątka pozostał Słowacki z kościoła podpisany przez całą grupę. Z Równego pojechał z Bagińską do Korca. Czy go jeszcze kiedy zobaczę? Melita przyjechała od Ani, a z Polski przyszedł Dobraczyński od Janiny "Drzewa chodzące". Rano mają przyjść dziewczynki Ani. Zawsze ta Anna, bo powieść rozpoczyna się też tym imieniem.

26.VII. "Zrozumieliście to wszystko?" My nie możemy odpowiedzieć Panie - po prostu jak w ewangelii - tak. Jeszcze w niedzielę, to może łatwiej, ale w powszedni, roboczy dzień. Trudno nam pojąć, to co mówisz o skarbie ukrytym /298/ w roli lub o drogiej perle. W Łanteke drogi rozkopane, trzeba iść kawałek od szosy. U Antona stawiają nową werandę. Na garstkę ludu trzeba czekać długo, aż do wieczornego udoju. Będzie jeszcze jednak Msza św., bo rano u Blumów miał Georgij. Trzeba uczcić św.Jakuba, który zaszczepił w wiarę w ultrakatolickiej Hiszpanii, a też wspomnieć o jego matce. Ta Salome prosząca Jezusa o specjalne względy, pobudza do refleksji: matko nie wypuszczaj z opieki dorosłych dzieci! Skończyliśmy zaledwie przed północą. Dziś zebrali się prawie ci sami, tylko Anny nie było, bo poszła do pracy.

Teraz jeszcze czas przenieść się do Równego. Ołtarza św.Anny tam nie zastałem, ale skoro przywieźliśmy duży obraz ze Szpanowa czy Aleksandrii, należało pomyśleć o jego umieszczeniu. Zmontowaliśmy prowizorycznie szeroką, ramę, zawieszono /299/ jakieś draperie, przystawiono mense skądinąd wziętą, jakichś potrzebnych rekwizytów nie brakło i oto św.Anna znalazła siedzibę dla Siebie i swego Małżonka na dalszym planie. Później w tymże ołtarzu umieściliśmy też na ruchomych ramach Piusa X i św.Walentego.

Naprzeciw w lewej nawie był św.Franciszek, obok św.Teresa i Stanisław Kostka przywieziony ze Lwowa od Sawków /?/. Ktoś mógłby zapytać po co gromadzić tyle świętości, jak w pałacie. Chodziło o to, aby ten centralny kościół pozostały po wielu innych posiadał

atrakcyjny wygląd. Dlatego też okna w prezbiterium zabite deskami, zostały oszklone kolorowymi szybami /o remoncie witraży nie mogło być mowy/, a od stropu w głównej nawie zawisły pająki. Staraliśmy się zużytkować wszystko uratowane od grabieży. Włączyliśmy też do naszego repertuaru Święta poszczególnych kościołów. Św. Annę odziedziczyliśmy spod Aleksandrii.

Była to pamiętna /300/ wyprawa, kiedyśmy z Janeczką i Zbyszkim zajechali przed kościół z poleceniem zabrania wszystkiego z opuszczonej świątyni. Po wyjeździe ks. Koszarzeckiego, kościół był zamknięty i nienaruszony. Takim go zastała przed kilku dniami p. Marysia z Komisji, która w moim imieniu z polecenia Wołoszkiewicza zawiadomiła rajispołkom, że będziemy kościół likwidować. Jakież było nasze zdumienie, kiedy w tymże rajispołkowie usłyszeliśmy, że świątynia została obrabowana przez jakieś oddziały wojskowe, nie mówiono zresztą dokładnie. Łotrstwo było widoczne, więc zanim udałem się do kościoła zażądałem przedstawiciela władzy. W kościele przedstawił się smutny widok zniszczenia. Z zakrystii zabrano wszystko, co mogło się na coś przydać. Nawet baldachim wydarto ze środka ramy. Pozostało tylko parę ornatów i kapa. Pomiędzy obrazami, największa /301/ była św. Anna.

28.VII. Od św. Hanki ... Przyszowie sprawdziło się jak najdokładniej. Jeszcze w poniedziałek z Dzangiz Kuduka jechaliśmy w skwarze, ale w Żanteke rano było dobrze chłodno i żarowazem, że nie wziąłem płaszcza. Na szczęście nie czekaliśmy długo, bo trafiła się taksówka do rejonu. W domu nic nie przygotowali i czekał już motocykl do Hamb. kiedy zjawiła się Kasia z Choptymską. Georg. nie przyjechał. Usprawiedliwił się w liście, ale zawód zrobił mi znaczny, bo miałem zamiar dowiedzieć się czegoś więcej o Zofii i w ogóle. Tymczasem i ona napisała parę zdawkowych słów. O.G. zredagował obszerną skargę, którą ma zamiar odesłać do prokuratury w m. i Alma-Ata. Zakończył prowokacyjnym wezwaniem o rozstrzelanie. To już trochę za dużo. O.R. przysłał "Pana Tadeusza". Od razu przeczytałem wstęp, o czym tu dumać. Tak o czym? Jeśli jemu na paryskim /302/ bruku było ciasno i uciekał w kraj lat dziecińczych, to o ileż więcej mnie w Arykty. Ale nie wiem, czy będę miał wiele czasu delektować się Mickiewiczem, bo mam zamiar zaurac się do kazachskiej mowy. Na starość niech będzie jeszcze coś świeżego - wszystko dla Bożej chwały. Wciąż marzę o kontakcie z muzukmanami. Teraz wszystko jest możliwe.

31.VII. Płaczący nad Jerozolimą P.J. jednak nas pocieszył. Przyjechała Emma z mężem, Weingart jest już trzeci dzień. Potem przyszło niespodzianie Lida. "Gdybyś i ty poznała co jest ku pokojowi twemu". Właściwie tych słów nie stosowałem tylko do niej, ale być może, że dobrze trafiły, bo zaprosiła nas na piątek wieczór do siebie. Jeśli więc P.Dóg pozwoli, cały tydzień będzie pięknie zapewniony. We wtorek mają czekać siostry u Blumów - może to Porcjunkula. Ta mała kaplicz- /303/ ka z figurą św.Franciszka dobrze się na ten cel nada. We czwartek ma być żakobne nab. u Melb., potem pojedziemy do Ż-ke. Może jeszcze wiecz. pochwalimy św.Don., a potem rozpoczniemy Pierwszy Piątek w Z.T. trzeci, w Ar. czwarty, a w Kamb. po raz pierwszy. "Wszystko na większą chwałę Bożą".

Właśnie dziś dzień św.Ignacego brzemienny we wspomnienia, bo to było moje kazanie na Wesołej, jedno z ostatnich w Krakowie. Mówić u Jezuitów przedstawiało niemało trudności, bo zbierała się tam elita i przemawiali wyborowi kaznodzieje, ale o.Marian mnie posłał. Miałem zdaje się wtedy świeżo w głowie "Ofensywę Katolicką". C.Plus. Przedstawiłem św.Ignacego jako szermierza za sprawę Dożę, który wpieryw podbił samego siebie. I więc samozaparcie. Krótce potem polecono mi przygotować rekolekcje dla /304/ kleryków w warszawskiej Prowincji. Przedtem jednak miałem pojechać do Lwowa na odpoczynek.

Ostatnie wspomnienia z Krakowa wiążą się z Wawelem. Był to zjazd legionistów czy ... dni Krakowa, kiedy wieczorem znaleźliśmy się na szczelnie wypełnionym dziedzińcu królewskiego zamku. Przed oczyma rozgrywały się sceny z "Pana Tadeusza". Zjazd, spowiedź Jacka - wszystko niejasno przewija się w wyobraźni. Zresztą nie to było najważniejsze. Nie wiem jak się to stało, że widowisko przeszło w antyhitlerowską demonstrację. Dopiero tam uświadomiłem sobie, że zbiera się jakaś groźna nawałnica. O.Marian żegnając się powiedział smutne słowa: odjeżdżasz, nie wiadomo czy się jeszcze zobaczymy. Miał przecucie: nie zobaczę się ani z Nim, ani z o.Aniołem, ani z Czesławem, ani z Kosmą, ani - litania się przedłuża - może nie zobaczę /305/ też Krakowa ...

1.VIII. Miałem dobre natchnienie, że nie pojechałem wczoraj do Blumów. Czasem trzeba kierować się przecuciem. Byłem natomiast wieczorem na cmentarzu. Równocześnie ze mną tylko z innej strony poprzez

wały przyszedł jakiś mężczyzna, a za nim dwie kobiety. Był to pewnie ten prorab, któremu niedawno umarł syn. Przystąpili do świeżej mogiły i zasadzili czy postawili kwiaty. Może byliby niezadowoleni, że ktoś ich obserwuje, więc stanąłem zdala przy nowym ogrodzeniu, wewnątrz którego znajdował się krzyż, niedawno jeszcze połamany, teraz doprowadzony do porządku. Jednak myślę o swoich zmarłych. Obok na mogiłce pewnie dziecka - ktoś położył cukierki i ciastka. Nie mogłem się modlić w skupieniu. Tak przyzwyczałem się do samotności na tym zawsze cichym miejscu, że oglądałem się kiedy nareszcie odejdą. Nie trwało to długo, ale robiło się coraz chłodniej i nadciągały /306/ gały chmury i acz niechętnie, musiałem zrezygnować z brewarza na wolnym powietrzu. Zdażyłem tylko odmówić nieszpory i Anioł Pański.

I wtedy właśnie zjawiała się natrętna myśl o owym Michale z Koszka, który zmarł szybko na "galopujące" suchoty i to gardła. U mnie w ową noc pożaru przed Marią Magdaleną pojawiła się krew przy kaszlu - potem znowu jakieś odpryski. Myślę o owym starszym koledze ministrancie, a potem o ks. Płoszyńskim, zmarłym na raka w gardle - może to coś podobnego lub to samo - czemużby u mnie miało być inaczej. Zaczyna się od chryпки i kaszlu a potem ... Ale jak się nazywał ten Michał? Ta myśl nie dawała mi spokoju. Odpędzałem ją, ale powracała natrętnie. Wciąż trwało jakby dogrzebywanie w korze mózgowej tego co dawno w niej ukryte.

Przypomniałem sobie różne tajemnice mnemotechniczne - wszystko na próżno. Myślę, że to jakiś rodzaj choroby /307/ psychicznej, jakaś żrąca idee fixe, kiedy umysł męczy się przypominaniem właściwie niepotrzebnej rzeczy. Bo na co mi w istocie to nazwisko starszego małego nawet znanego kolegi ministranta. Nastawiłem radio, żeby rozproszyć uwagę. Nagle światło zgasło. Kompletę mogłem odmówić zaledwie przy świeczce. Michał K., Michał K., brzęczało mi nieustannie przy wieczornym pacierzu. Musiałem się jeszcze przed zaśnięciem pomodlić za tę natrętną duszę. Rano po przebudzeniu myśl była jeszcze bardziej dręcząca. Nie mogłem się spokojnie modlić. Po prostu jakby jakiś wrzód wzbierał w mózgu miałem świadomość, że prędzej się nie uspokoję, aż się przerwie. I oto - było to w czasie litanii do W. Świętych - na powierzchni świadomości wydobyły się jedna po drugiej głoski: Kin-cz-el. Tak M.Kinczel - i trzeba było tyle trudu. Może

ta tytaniczna praca mózgu była przyczyną, że dziś nabożeństwo się przeciągnęło. Zresztą miałem /308/ nowiedzieć coś o św. Alfonsie, którego szanuję jeszcze z niemieckiej lektury w nowicjacie. Przypomniał się też o Franciszek, zacny sparaliżowany kapłan w Wilnie no i o Jurij. Potem w zjednoczeniu z Kim rozpoczęliśmy miesięczne nabożeństwo do Niepokalanego Serca Marii.

Następnie kazałem sprowadzić dziewczynki. Melita i Irena przychodzą już od paru dni na przygotowanie. Mówię im o miłości i cudach P.J. w czym pomaga G.Dore. Odczuwam trochę trudności, bo katechizacją zajmowałem się mało zostawiając to innym, zwłaszcza Haneczce. A tu przy tym trzeba posługiwać się ruskim językiem, którym nigdy dobrze nie władałem, zwłaszcza kiedy chodzi o tak subtelne rzeczy. Dziś patrzyliśmy na Jezusa karmiącego cudownie rzesze na puszczy. Właśnie przeszliśmy stamtąd do wieczernika, żeby mówić o Chlebie anielskim, kiedy niespodziewanie przyszła Maria z Rudnicką - obie z wnuczkami. Dzieci przybiegły /309/ witać się jak z ojcem. Nie masz większej radości - tym bardziej, że stało się to tak niespodzianie. Gienia też podobno chciała jechać i płakała. Inne też. Moje kochane dzieciaki. Zbliża się rocznica ich pierwszej Komunii św. Był to rzeczywiście wzruszający dzień - raczej noc, kiedy po przybyciu na Wniebowzięcie zastałem przygotowaną i dość starannie wyuczoną gromadkę. Zdaje mi się, że kochają P.Jezusa, a to najważniejsze.

Przypomina mi się epizod z "Pamiętnika wiejskiego proboszcza", gdzie dziewczynka prawie do Jezusa jest wzruszona głosem i wyglądem młodego katechety. U nas o katechizacji nie ma mowy, trzeba się zdać na zdolność i dobrą wolę babek. Na Rudnickiej można polegać. Jej Ludwinia przygotowuje się na jutro do swego Święta. Dzieci są przemęczone, bo całą noc jechały pociągiem, a potem znowu od rana autobusem, a tu znowu czeka /310/ podróż powrotna. Ale widocznie sam P. Jezus lituje się nad ich słabością. Autobus odszedł godzinę wcześniej. Pojedziemy jutro.

2.VIII. Dzisiaj odczuwa się brak kościoła. Żeby choć maleńka kapliczka, moglibyśmy przeżywać Portiunkulę. U Blumów czekała już Frania z Teresą. Może jeszcze przyjdzie kto z Pasłogradki. P.Jezus zamknięty w ciasnej bokówce robi wrażenie Więźnia. Zresztą On wszędzie jest Więźniem Miłości. Teraz dziewczynki z Anią pojechały z O.C. do Łama-

Ata, więc jest więcej osamotniony. Odprawiliśmy powitalną adorację i cały dzień trwa modlitewna cisza, jak we wszystkich franciszkańskich kościołach. Na niebie ukazała się śliczna tęcza. Pokój splywa do duszy. Pokój i Dobro!

4.VIII. Chciałoby się wołać z Eliaszem: Dosyć, Panie! Zabierz duszę moją - ale tu nie ma nawet krzaka jałowca, /311/ gdzieby można usiąść i pragnąć śmierci. Na dworze deszcz siępi, niemłosiernie smutno, a ja patrzę bezmyślnie przez okno i widzę jak wałę się równie niemłosiernie wszystkie piękne plany. Owa tęczowa noc w Dz.II. ma pozostać może na długo najmiłszym wspomnieniem aryktyńskiego okresu.

Właśnie Anton sprowadził taksówkę, którą mieliśmy się udać do Żanteke, kiedy przyjechała Róża. Wczoraj w nocy przyjeżdżała za mną milicja jakoby z obłaski. Niezwłocznie udałem się na poliklinikę. Po chwili zjawili się dwóch milicjantów i podeszli do mnie. Jeden z nich oświadczył, że jest komendantem sowchoza odległego 300 km dokąd mają mnie przesiedlić. Odwoływałem się na skargę do prokuratury, oraz zdrowie - ale teraz nie pomogło. Wszakże tam także ludzie żyją. Najgorsze, że Róża zabrała /312/ wszystkie rzeczy. Jutro Pierwszy Piątek, a nie będzie można odprawić Mszy św. Nawet brewiarza nie mam, tylko różaniec jak wówczas w więzieniu. Tak rozpoczyna się szósty miesiąc.

6.VIII. Znowu składa się dziwnie. Właśnie pięć miesięcy temu byłem zabrany i to po odczytaniu tej samej ewangelii co dzisiaj. Ale to była druga niedziela postu, a dziś jest święto - odpust w Sarnach - a ja jadę do Arsziatyńska. Widocznie to był skutek mojego podania do prokuratury, że przysłali w szybkim tempie rozkaz mojego przesiedlenia. Dać jakąkolwiek robotę. Naczelnik mil. powiedział mi wyraźnie, że wypełniają rozkaz. Tym razem powierzyli zadanie młodemu komendantowi, który jakoś wybawi z kłopotu. Sasza jest nawet sympatyczny. Dzięki niemu oglądałem po raz pierwszy egzotyczny obrazek życia tubylców. Nie troszczą się zbyt wiele o komfort. Jedna izba nie różni się niczym od stajni - chyba tym, że pełno w niej /313/ bezładnie porozrzucanych gratów wśród których nowoczesnością odznacza się umywalka. Przy okrągłej niskiej platformie stołu siedziały na niskich stołkach dwie kobiety barwnie ubrane. Trzeba przyznać, że ich narodowe powłóczyście stroje mają swoisty urok. Sasza przysiadł się do nich i patriarchalnym zwyczajem jak niegdyś Saul u Samuela obgry-

zał obficie umięśnione kości. Była przy tym już nie tradycyjna czarka, którą kozaczki wychylały równie śmiało. Chcieli i mnie ugościć.

Potem ruszyliśmy w drogę - jak się pokazało własną maszyną komendanta, który sam ją prowadził. Po drodze opowiadał mi, że kształci się zaocznie w państwowym Instytucie na prepodawateła. Byłem mu wdzięczny, kiedy dojeżdżając do Arykty, powiedział, że pojedzie do Kambedaika, a ja mam czekać na niego. Tego tylko pragnąłem. I oto Eliaszowi zjawił się Anioł Pański. Teraz już mogę iść dalej, dokąd mi P. Bóg przeznaczy. Pożegnanie tych /314/ Ania nie mogła utulić się w płaczu. Przyszła i Melitka z zasmuconą twarzą. Georg pytał bezradnie: a co teraz będzie z nami? Pocięzałem, że ktoś przyjedzie - może ja, choć nie bardzo w to wierzą. Już z maszyną posłałem im znak krzyża, ale nieznacznie, bo jechało za naszą wesołe towarzystwo. Jakaś rodzina kazachska - sama młodzież widocznie dobrze znajoma Saszy. Była nieskrępowana swoboda, potem biesiada z wódką, do której znowu mnie zapraszali. W rejonie komendant kazał mi przylecieć nazajutrz samolotem, a sam zabrał moje rzeczy i pojechał. Znowu miłe zrzędzenie. Droga z aerportu do Kalb. nie była zbyt ciężka skoro towarzyszyła jej nadzieja drugiej Mszy św. Było tylko 11 osób, ale wszak to Pierwszy Piątek - a rano Przemienienie. Teraz czekam na samolot, ale znać nie dają. Niedobrze, bo Sasza będzie czekał, a nie chciałbym /315/ zawieść jego zaufania.

A jednak bilet dostałem i jestem w Arsztatynsku. Zaczyna się wcale interesująco. Przede wszystkim niepotrzebnie martwiłem się o Saszę, bo na aerporcie wcale się nie zjawił i w ogóle do Arszt. z moimi rzeczami jeszcze nie przyjechał. Przy tym to co mówił o sowochozie już na pierwszy rzut oka wydaje się przekoloryzowane. Arsztatynsk nie robi wcale innego wrażenia jak Arykty. Różni się chyba tym, że naczoko nie ma wód, tylko niewielkie wzgórza na których pewnie wypasają się owce. W kantorze obiecali znaleźć mieszkanie, ale na próżno czekałem aż do zamknięcia. Spróbowałem jak tam szukać Niemców. Pokazuje się, że katolików nie ma wcale i w ogóle żadnych starszych tylko sama młodzież. Najstarszym okazał się właśnie ten w sile wieku szofer, do którego mnie skierowano. Młoda para z dziećmi. Przyjęli mnie i opowiedziałem im swoje dzieje. Aleksander z Arykty jest ich znajomym czy jakimś krewnym.

A teraz może najciekawsze. Na samym krańcu wioski wznoszą się dość intere- /316/ sujące czarne ściany meczetu uwieńczone trzema

kopułkami. Wysłałem, że czynny i mają mułkę. Cdzie tam! Wejście zatarasowane, wewnątrz zawalone gruzami, wygląda raczej na nowy niewykonywany budynek. Narez świta myśl: może zrobić z tego kościoła nocny tylko Jednemu Nieznanemu tutaj Bogu?

7.VIII. Jakaś ptaszynka siadła na wąskim oknie i przypatruje się dziwnemu gościowi. Ale i ona odleciała i wtedy zostałem sam. Może z szczelin i zakamów czarnych ścian patrzyły równie zdumione dusze wyznawców Proroka. Jeszcze nigdy nie odprawiałem takiej sumy. "Jak miłe przybytki Twoje Panie Zastępów". Słowa psalmu brzmiałyby jakby urąganie, gdyby nie ten krzyż - tak w górze nad kopułą dwie skrzyżowane belki. Wnętrze dzieli się na trzy części: jest jakby prezbiterium, potem jakby główna nawa i wreszcie oddzielone dwoma drzwiami okrągłe prezbiterium. Ołtarza nie zdążyłem /317/ zbudować, ale można było wszystko urządzić w niszy okiennej. "Wszakże i wróbel znajduje gniazdko sobie". Chciałem śpiewać, ale głos nie wychodził.

8.VIII. U Gauera jest czworo dzieci, a wszystkie rozpuszczone podnoszą nieznośny hałas, a przy tym przyszedł jakiś sąsiad i patrząc przez ramię, powiedział, że piszę jak Puszkina. W takich warunkach trzeba było pisanie odłożyć i bawić się z dziećmi. Żał mi ich, bo nieochrzczone i w ogóle o Bogu nie ma tu mowy. Pewnie patrzą ze zdziwieniem, kiedy się żegnam przy stole. Jakiś ciekawy młody lekarz, który tu przyjechał w gości chciał zobaczyć katolicki znak krzyża, jak "curiosum". Czuję się jak w pogańskim kraju. Gdyby nie ten meczet, nie miałbym gdzie się pomodlić. Dziś rano byłem w szpitalu, dokąd zawieziono moje rzeczy. Stało się właściwie tak, jak mówiłem, że zawiozą mnie prosto do szpitala. Sasza wyjechał na aeroport, kiedy miałem już odlecieć do Barszyna. Zrobił mi wymówkę, że nie przyjechałem w umówionym czasie. Zrobił głupią minę, kiedy mu powie- /318/ działem, że czekam na niego już dobie. Zrzucili mój bagaż, przy czym pokazało się, że zginęła moja torba z prowiantami, którą u Wahnów włożyli na maszynę. Nawet nie wiedziałem co tam było, toteż nie ma mowy o odszkodowaniu. Muszę napisać gospodarzom, że mi bardzo smakowało. Swoją drogą przydałoby się przy tutejszym codziennym menu, które mi się już daje we znaki. Ale trudno mieć pretensje, kiedy karmią bezinteresownie. Proponują mi stanąć od razu na robotę

do zaprawiania maszyn. Znaczyłoby to jednak przywiązać się na staż, bez możliwości wyjazdu nawet w niedzielę. Zamiast tego poszedłem do kantory. Dyrektor - młody człowiek z nastroszoną czupryną zapytał o moją zawodową profesję. Kiedy powiedziałem, że pracowałem nauczycielem języków oświadczył, że dla mnie tu miejsca nie ma. A więc - odyseja nie skończona. Tymczasem rozpadał się deszcz, a mnie trzeba dziś jeszcze odprawić rocznicę Mikołaja syna Weingarta. Boże dopomóż! /319/ 9.VIII. Jednakże tajemnica meczetu nie ukryła się długo. Wczoraj idąc tam spostrzegłem grupę brodatych starców a za nimi kobiety w białych powłóczystych chustach zdążających w jednym kierunku. Myślałem, że to będzie pogrzeb, bo wśród starców był jeden wyglądający na mułkę. Zatrzymałem się i wtedy nadszedł ten ciekawy wszystkiego młodzieniec. Powiedział, że to swadźba, przytym spoglądał zainteresowany na mój ukryty pod płaszczem zawiniątek. Załędwie skończyły się egzekwie, ukazała się spoza filara jego kędzierzawa głowa. O dalszym ciągu nie było już oczywiście mowy. Na drodze czekały maszyny. Trochę podgazowany Bruno - mój gospodarz - rozpoczął dyskusję na temat różnicy wiary, potem zawiózł mnie do domu i pili dalej. Miałem tego dość i wymknąłem się z powrotem do swojego "kościółka".

Msza św. skończyła się już w ciemności. Myślałem, że jestem niespostrzeżony, ale dziś powie- /320/ działa mi Gilda, że Bruno po pijanemu chciał wczoraj jechać za mną. Ktoś podpatrzył. Szkoda, bo przypadek urok tajemnicy - i mogą rozpowiadać nie wiadomo co. Przy tej całej sprawie pokazało się, że jest tu Polak z Winnickiej - Ilnicki. Bruno przedstawił go obcesowo, ale on był zażenowany, bo no polsku nie rozumie, a przy tym ma żonę ruską i to już czwartą. Takie tu życie: wódka i to drugie. Dowiaduję się coraz nowych rzeczy i dlatego czytam z przejęciem "Drzewa chodzące" ta lektura skraca mi teraz czas oczekiwania nie wiadomo na co. Bo właściwie już trzy dni upłynęły beznadziejnie jałowo. Ale mimo to podkreśliłem zdanie Dobraczyńskiego: "Bóg wziął mnie za rękę jak krnąbrne dziecko i kazał iść drogą, którą sam dla mnie wybrał". Dzisiaj siedząc w moim prezbiterium na czarnych ceglach samaru starałem się wmyśleć w słowa Jezusa: "kto chce iść za Mną, niech zaprze samego /321/ siebie" i trudno mi je zrozumieć w całej pełni. Czy to zaparcie, to właśnie

więzienie, a potem Arykty i Arszałyńsk? Co tu jest z mojej ofiary, kiedy wszystko wymuszone? Czy nie słuszne jest pytanie owej Krys-
tyny Dobraczyńskiego w przededniu wielkiego nieszczęścia: czy naj-
piękniejsza droga nie utraci swej piękności, gdy nią trzeba iść
i gdy żadnej innej obrać nie można?

10.VIII. Św. Wawrzyniec przybył do nas z Tajkur. Został stamtąd ok-
rutnie wygnany wraz z resztką parafian, którzy zdołali ująć rzezi.
Przyjęliśmy Go tym chętniej, że właśnie Jego dniem liczyliśmy lata
naszej powojennej egzystencji w Zdołbunowie. Tak jakby On mnie przy-
prowadził do tej garstki trwającej przy nawpół opuszczonym kościele.
Niedługo potem przywieziono resztki obrazu, którym pewnie zatykali
komin, bo był prawie zupełnie spalony. Zachowaliśmy go jak relikwię,
a do ołtarza przywiózł z Wilna świeżo namalowany wizerunek św. Dia-
koma brat Lucjan, który /322/ nie szczędził trudu, żeby nam zrobić
przyjemność a Jemu przysporzyć chwały.

Pierwszy odpust był wzruszający, bo przypomnieliśmy sobie, że
jesteśmy tym obumarłym ziarnem, o którym mówi dzisiaj P. Jezus.
Kiedy ukaże się plon? Pytaliśmy wtedy i powtarzamy dzisiaj. Wszyst-
ko wokół zielenieje i dojrzewa, a u nas trwa okres obumierania.
Ładnie nas obronił! mówił podobno Medyński, kiedy zabierano kościół -
nasz ostatni już z sześciu. Jeszcze czepialiśmy się nadziei jak
pajęcznej nici, że ten jeden zostawią. Kazałem jednak zawczasu zab-
rać co można i św. Wawrzyniec został uratowany. Nie widziałem Go
jednak od tego czasu. Doniero dziś mi się ukazuje w jaskrawej, zie-
lonej dalmatyce z nieodstępną kratą przy boku, z obliczem niebiańs-
ko uspokojonym. Chętnego - nie - "wesołego dawcę Bóg miłuje". Poco
przeinaczać - hilaris to wesoły. Każdy jak postanowił w sercu swoim,
nie ze smutkiem albo z musu. Św. Wawrzyniec miał /323/ zmysł humoru,
kiedy żadnemu bogactw tyranowi przedstawił obdartą biedotę - oto
skarby. Wesołość nie opuszczała go nawet na rozpalonej kracie:
Obracaj się - mówił.

Dziś przy Mszy św. spłynęła na mnie jakaś cicha rezygnacja.
To nic, że mówiąc: "Dominus vobiscum" obracam się do pustych ścian
meczetu. To pozdrowienie idzie w dal poprzez stepy i góry i rzeki
do was bracia i siostry, równie ze mną rozciągnięci na kratkach
smutnej rzeczywistości, czekania wyzwolenia. "Gdzie ja jestem,
tam i służę mój będzie". Wczoraj błędząc po arszałyńskich ugorach

o mało nie nadepnałem na węża. Może to nawet była żmija. Ale przeszedłem mino spokojnie i zaraz przypomniały się słowa komplety: po ... żnijach stąpać będziesz "ponieważ utrafił we mnie wybawię go". Po południu polecę do Barszyno.

11.VIII. Teraz już jest widoczne, że Irszatyńsk ma się stać dla mnie cieszem. Nawet sama nazwa do /324/ tego się nadaje. Wystarczy wstawić jedną literę. Choć znowu kiedy błędę po skalistych ugorach przypomina się szatan kuszący Chrystusa. Zdaje mi się, że chyba ducha zła więcej tu wzywają jak Boga.

Wczoraj przy samolocie powiedziano mi, że nie mam prawa wyjeżdżać - milicja zabrania. Ach więc to tak - chodziło o to, aby zagnać mnie w ciasny kąt jak króla na szachownicy, skąd już nic nie uratuje przed matem. Ale oni są tylko pionkami w palcach Wielkiego Gracza, to tracą pogody ducha. Ugory są tak obszerne i urozmaicone. Idę na oślep poprzez skąpą murawę pokryty step. Na krzakach zwieszają się gdzieśgdzie jak draperie spore płaty papieru zrzucone z samolotu. Na każdym z nich napis Kara - Boże, gdzie ja jestem? Czemu wciąż przesładuje mnie to słowo, którego treści nie znam, ale mające coś ponurego w brzmieniu: dawniej Kara-ganda, Kara-Adyr, a teraz znowu Kara.

Gdzieś na horyzoncie, na samym cyplu wzgórza widnieje grzebień skał. Ciągną się długim pasmem jakby /325/ sztucznie usypany wał. Leżą wspaniałe ciemnobordowe bloki inkrustowane melachitem, opalem i już nie wiem jaką inną barwą z apokalipsy. Siedzę na złomie skały, jak Jan na Patmosie i patrzę w dal wypatrując wizji. Zdaje mi się, że skała drży, jakby pływała po morzu. Przede mną rozciąga się dolina obrzeżona delikatną smugą wijącej się wśród zarośli rzeki. Wzdłuż niej przegina się w przegubach biały wąż kamienistej drogi. Niedyskretny wiatr usiłuje przewracać karty leżącej na kolanach książki: "Drzewa chodzące". Czytam jeszcze raz przed chwilą podkreślone słowa: "Zawsze zastanawiałem się, dlaczego Chrystus uzdrawiając ślepego, musiał aż dwa razy dotykać jego oczu". Ja się też zastanawiam nad tą wyjątkową ślepotą, ale tym razem Dobraczyński zawiódł, zrobił się jakimś sztucznym. Widocznie lepiej mu "robić świętych".

Do domu wróciłem późno. Myślałem, że już będzie po wieczery. Szumiało mi w uszach i byłem wyczerpany, ale pokazało się, że oni też nic nie jedli. Czekaając napisałem list do Wohn'ów. Niech /326/

wiedzą coś o moim losie. W nocy czułem się niedobrze. Nawet gorzej jak dotychczas. Myślałem, że przyjdzie omdlenie i chciałem wołać, ale nad ranem zasnąłem. Czułem się jednak słabo i kiedy dyrektor wezwał mnie do kantory, poszedłem na chwiejących się nogach. Przedłożył mi zajęcie przy ważeniu zboża. Zasadniczo praca nieciężka, ale dziś czuję się słaby. Bruno nie pozwolił pisać na swój adres. Widocznie chce się mnie pozbyć.

12.VIII. Padłszy kornie na kolena
 Błagać będę mego Pana -
 Zachowaj nas, zachowaj nas,
 O słodki Jezu, zachowaj nas.

Nigdy tego nie słyszałem - a dzisiaj te proste słowa i melodia zbudziły mnie i brzmią nieustannie. Żebym tylko nie zapomniał tej rzewnej melodii do niczego nie podobnej. Śpiewała jakby Januśka, ale była też jakby jakaś cała rodzina. Byłem czymś zajęty, może przygotowaniem do Mszy św. ale na słowa pieśni uklęknąłem razem z nimi. Jestem sam, Bruno /327/ nie wrócił wieczór z roboty. Gilda szukała do późnej nocy zaginionej krowy, a potem - może przez dyskrecję nie przyszła spać w tym samym pokoju. Mogę dziś rano nie wychodzić z domu. Te moje codzienne odwiedziny meczetu zaczynają zwracać uwagę. Wczoraj przez okno zaglądało kilku młodych Kazachów, kiedy - na szczęście było już po Mszy św. Uprzedziłem rocznicę Haneczki, bo dzisiaj św.Klary, a jutro ... zdawało mi się, że niedziela - a to wolny dzień i możnaby odprawić rocznicę w swoim czasie, jak należy - ale może właśnie tak trzeba było. Nigdy nie jestem pewien, czy jeszcze będę mógł odprawić w następnym dniu. Dlatego korzystam z okazji według natchnienia.

Dzisiaj wstałem kiedy dzieci jeszcze spały i w domu była cisza. To też jest szczęście, bo cały dzień brzmi dziecinna muzyka. Kiedy mówiłem ranny brewiarz, zaglądnęła Gilda. Pewnie już nie przyjdzie. Szybko stanął prowizoryczny ołtarzyk. Kiedy wznosiłem Hostię słyszałem słowa św.Klary: "ne tradas bestiis". Drżałem, żeby kto nie wszedł. Bo oni nic nie wiedzą /328/, a potem mogą rozgłaszać. Byłbym już naprawdę nieszczęśliwy, gdyby mnie pozbawiono nawet Tego. Wczoraj po Komunii św. taka niewysłowiona słodycz zalała duszę, że wszelkie udręki rozplynęły się jak mgła. Dzisiaj nie było czasu na skupienie. Trzeba było wszystko szybko uprzątnąć i po gratiarum

actio iść do kantory. Chcę mimo wszystko na tego wiesowszczyka. Ale dyrektora nie ma.

13.VIII. Na ścianie u mnie w maleńkim pokoiku obrazek P.Jezusa z dziećmi. To jest szczególny objaw życzliwości, że dali mi oddzielne mieszkanie. Dziś mogłem spokojnie odprawić Mszę św. przy zamkniętych drzwiach, choć było już trochę późno. Wczorajsza przeprowadzka, porządki, kupowanie potrzebnych rzeczy w magazynie - wszystko to sprawiło, że wieczorem byłem wyczerpany, a jutrznię trzeba było mówić rano, bo światło było marne. W kantorze był już u dyrektora Sasza. Myślałem pewnie, że będę nadal wymawiał się chorobą, a może go też sumienie dręczyło o torbę z produktami, bo był uprzedzająco grzeczny. Oświadczyłem, że jestem gotów do ich rozporządzenia. Potem napisałem list do Maryśki mimo pogody w tonie melancholijnym, bo czuję się jak ryba wyjęta z wody. Jutro będzie druga niedziela w samotności, a w poniedziałek Wniebowzięcie. Boże mój! Jak ja to wszystko przeżyję. Właśnie w ten uroczysty dzień trzeba będzie iść po raz pierwszy do roboty.

Trochę cieszą mnie dzieci. Już narę razy przybiegały odwiedzić dziadzia. Matka przysyła to z tym, to z tamtym, za każdym razem dostają cukierki, to może trochę też działka na ich dziecinne serduszka. Ale Ola i Gała to już starsze dziewczynki. Ich interesuje moja znajomość języków, którą niepotrzebnie się popisuję. Dzieci! Przesuwają mi się przed oczyma Liake, Różowe Marysie przy trumnie Haneczki. Wszak to dziś zanieśliśmy ją ubrana w białą jedwabną suknię, obsypaną kwiatami do dolnego kościoła, aby tam ją odwiedzało całe miasto. Leży w majestacie dziewiczej piękności /330/ i śmierć zdaje się nie mieć do niej przystępu. To tylko dusza odeszła z udręczonego chorobą ciała, ale ta ziemską powłoką nie ulega zniszczeniu mimo sierpniowych upałów. Kaka ja krasywa? Komisja sanitarna z Rybakową przyszła sprawdzić śmierć, bo doniesiono, że ksiądz położył żywego człowieka dla propagandy cudu. Patrzyli, czy nie obłożona lodem. Czy to był rzeczywiście cud? Nie szafujmy tym słowem. Nam zresztą to nie było potrzebne. Wszyscy uważaliśmy ją za świętą. Haneczko, czy i teraz nie pamiętasz o tym wygnańcu, któremu przez tyle lat powierzałaś tajemnice swej udręczonej duszy?

14.VIII. Jestem umęczony do ostatka, ale dzisiejszej wycieczki nie żałuję. Bo to można chyba tak nazwać. Wybrałem się jak zwykle na górę byle w dal. Żar był nieznośny, pot spadał kroplami nie wiadomo skąd jak deszcz. Po drodze zbierałem płaty papieru arzucone z samolotu. Wszystko się przyda. Na zwałach kamieni odbyła /331/ się pierwsza lekcja kazachskiej mowy. Kazak tili. Dobrze u Kelberów dali mi książkę - teraz się przyda. Alfred mówił: no co uczyć się jeszcze po kazachsku, kiedy już macie dziewięć języków. Jak on to wyliczył. To ten chłopak, który dał mi klucze od mieszkania. Klucz okazał się do niczego, ale Alfred jest sympatycznym młodzieńcem - zadowolonym, że może porozmawiać po niemiecku. Lekcja nie trwała długo. Często zielenią zarosły brzegi rzeki, a w dali woniejące skaliste wzgórza kuski do dalszej wędrówki. Przypomniały się Tatry, a choćby lwowska Turkowa Skała lub beztroskie wędrówki po lasach karasińskich, ale nie wiedziałem, że napotkam coś naprawdę ciekawego. Skalisty, prawie prostopadły brzeg spadał wprost do rzeki ukrytej zdradziecko w zaroślach dzikiej róży. Nasze rodzime ecipeci obsypywały gęste krzewy koralami. Były też i inne czarne jagody mocno kuszące, ale nie wiem, co się w nich kryje.

Poprzez haszcze nad brzegiem rzeki /332/ dobrnąłem do skalnej ściany i po zakamieniach jak po schodach stanąłem na szczycie. W dali widniały masywy skał tworzące jakby olbrzymią bramę, coś jakby trójkąt prostym kątem zwrócony w niebo. Przypomniały się Panieńskie Skały lub Ojców. Szkoda, że uroczy zakątek zdołał już zwrócić na siebie uwagę. Przy samej skalnej ścianie na wysokich palach budują jakąś gospodę czy dom turystyczny. Teraz jest tam na szczęście cicho. Mogę spokojnie pochodzić po niedokończonym tarasie i snuć wątek wspomnień. Cto biały, czysty pokójek Sercanek w Zakopanem. Okna wychodzą wprost na Giewont u podnóża pasie się stado białych owieczek, a na szczycie również biel, ale nieruchoma i wieczna. Tutaj skały odrzynają się od zielonej polany czernią. Tylko z bliska można na niej ujrzeć rude, rdzawe plamy. Czarne są też zębate mogiły na cmentarzu opodal. To już drugi cmentarz machometkański równie stary i zaniedbany jak ten w wiosce.

A gdzie chowają /333/ chrześcijan. Bo przecież i oni umierają choć zostali tu przygnani losem zaledwie parę lat temu. Cilda mówiła, że znajduje się gdzieś w polu jakiś mały cmentarzyk, ale już

parę dni szukałem go bezskutecznie. I oto dziś wracając znużony ujrzałem w dali, mały, biały krzyżyk. Znowu Ave crux jak w Krykty. Ale tu jest zupełnie co innego. Pięć mogiłek zaledwie wystających nad ziemię i tylko ten jeden mały, pochylony krzyżyk nad mogilką kilkumiesięcznego dziecka. A co znaczy ten świeżo wykopany dół, kiedy nikt nie zmarł?

15.VIII. Assumpta est Maria, gaudent angeli. Cieszą się aniołowie, a mnie jak smutno upłynął ten oczekiwany, wypełniony planami dzień. Chcieliśmy przeżyć rocznicę zeszłorocznej nocy w Tainczy. Melita z siostrą i dwie dziewczynki z rejonu przygotowywały się na spotkanie z P.Jezusem. Tymczasem. Ale ranek nie był pozbawiony radości. Skądże mi to? Nie ma /334/ czasu na obce drukowane słowa, zresztą prawie nic się nie mówi, a niewysłowiona słodycz zalewa serce.

Potem trzeba było iść do kantory. Dyrektor chciał mnie postawić na stróża, ale kiedy mu powiedziałem, że przeszkadza słuch odeskał mnie do rabkoma na koczegara. Trzeba było pisać zajawę i autobiografię. Nie wiem, czy wszystko pojęli z mojego bujnego życiorysu, ale w końcu dostałem siekierę w rękę i mandat palić w piecu przy łubie i drugiej kobiecie, które wypiekają chleb dla stołówki. Po paru polanach jestem zmęczony, a co będzie dalej. Na domiar wszystkiego nie ma światła. Piszę przy świecy - a trzeba oszczędzać.

16.VIII. Z poobiedniej chrzemki zbudził mnie trzask wypadających okien. Szyby potrzaskały się na drobno. Upadły przy samym kółku. To jeszcze jedna szkoda w moim mieszkaniu: nie ma światła, zamek popsuty, a teraz jeszcze więcej przez okno. Można by jeszcze /335/ dodać, że piszę siedząc na wiaderku. Jak to brzydko brzmi! W ogóle trzeba się tu pożegnać z estetyką. Dlatego taki nieprzeparty urok wywiera Boski twór - przyroda. Dziś znowu byłem "pod trójkątem". Ta skała widoczna z daleka działa jak magnes. Na wysokim tarasie myślałem o Haneczce. Wszak to dzisiaj dziesiąta rocznica tego uroczystego wieczoru, który przeżywało całe miasto. Na kilometrowej przestrzeni wstrzymany ruch uliczny. Setki świateł goreją spokojnym nłomykiem przez cały czas obrzędu. Nie mogę śpiewać, szloch dławi w gardle, kiedy mówię ostatnie słowa. Trumnę okryto deskami. Może przyjdzie czas, że trzeba ją będzie na nowo wydobyć? Mirabilis Deus in sanctis suis.

Świeca się donala, a myśli teraz dopiero zaczynają płynąć.

/336/ 17.VIII. Przyjechała "abmożabka" z książkami. Ponieważ maszyna stanęła niedaleko piekarni, mogłem przez cały czas przypatrywać się rozsprzedaży. Jisnęła się spora grupa czarnych dzieci i młodzieży. Usuje się zbliżający rok szkolny. Ja już swoje lekcje rozpocząłem, i już wiem, że aman ba znaczy pozdrowienie, a jeśli się chce wejść do kogo mówi się: kiruga ruksat pa. Staruszek Jasieniecki mówił, że oni chcieli przyjąć pismo arabskie, bo narzucono im ruski alfabet daleki od azjatyckiej kultury. U niego na drzwiach był napis łacińskimi literami, a nie pamiętam co znaczy agronom. Nieraz wspominam jego dobre słowa o tubylcach. Podziwiam zwłaszcza szacunek dla starszych. Jak na razie nie mam z nimi bliższej styczności poza kantora i milicją.

Dziś św.Jacka. Podobno docierał w wędrówkach apostołskich daleko /337/ na wschód, ale wątpię, czy był tu gdzie słońce: kun - zapada trzy godziny wcześniej niż w Europie. P.Jezus mówił uczniom głośno mówiąc: Przybliżyło się Królestwo niebieskie. Czy i do nich się kiedy przybliży. Zastanawiam się nad tymi słowami: a więc nie my się zbliżamy, ale ono przychodzi do nas - zupełnie nieoczekiwanie przybliża się, choć zwykle jest daleko. Przybliża się z Nim, bo ono jest w Nim. On nim rządzi, królując, rozkazuje.

21.VIII. Wiedziałem, że nie zostawisz mnie bez pociechy, ale jednak przyjazd Emmy był niespodziewany. Wybierała się do Karagandy, ale to Ty sprawiłeś, że właśnie wtedy przyszedł list. Jak dobry jesteś. Przyjechała z płaczem i bólem głowy, bo podróż samolotem niejednego kosztuje trochę zdrowia. A tu też żadnej wygody. U Gauertów odmówili przyjąć na noc, dobrze, że doktorka okazała się więcej ludzką. Dzisiaj mieliśmy wzruszające nabożeństwo. /338/ Pismo św. jakby zastosowane do profesji Emmy. Św.Paweł upomina, że duch ożywie martwą literę. Trzeba żyć duchem Św.Ojca - duchem pokory, cierpliwości, miłości. Przede wszystkim miłość. Być miłosiernym samarytaninem dla wszystkich bez wyjątku. To czyn, a będziesz żył. Emma w dniu swojej profesji spełniła swoim przyjazdem samarytański miłosierny uczynek. Powiedziałem jej, że jest pierwszą wysłanką Boga, erste Gottes gesandte.

Co ona mi nawiozła? jabłka, pomidory, winogrona a najcenniejsze opłatki i świece. Będzie tego na dłuższy czas. A przy tym ta błoga świadomość, że nie jestem sam, choć tak bardzo osamotniony. Właśnie

za parę minut odleci, jeśli samolot się nie spóźni. Niech cię aniołowie strzegą dobra duszo.

W domu nastała cisza. Zdaje się, że ja jeden pozostałem w całym obszernym budynku. Młodzieź przyjeżdża i odjeżdża. Niedawno znowu /339/ łóżka i pościel na maszynę i odprawili ich pewnie na żniwa. Czasem pełno wszędzie roześmianej buńczucznej gromady komsomołów. Wtedy na białej zasłonie okna mam do późnej nocy jakby ekran telewizji. Lecz dzisiaj cicho i pusto. Nie mogę znieść tej samotności. Wybrałem się jednak drugim brzegiem rzeki i dobrze zrobiłem, bo po przeciwnej stronie kąpały się dziewczęta. Mogłem za to obejrzeć skały ze wszech stron. To tylko z frontu uderza jakby geometryczna regularność. Z boku widzi się jakby olbrzymie reliefy, które wyobraźnia może łatwo uzupełnić. A więc sylwetka jakiegoś bąka tłoczącego się mozolnie wielkim brzuchem pomiędzy inne figury. To znowu jakby do połowy skamieniała maska - olbrzymia twarz z nastroszonymi brwiami i sumiastym wąsem - a tutaj tors kobiety z podkulonymi kolanami.

Byłem zły, kiedy nadjechała maszyna, potem druga i jeszcze parę. Wysiedli jacyś ludzie, pewnie się kąpać. Słońce już się zniża, a ja siedzę wciąż jeszcze na najwyższym cyplu pagórkowatego wzniesienia /340/ i znowu przychodzi mi na myśl niemądre porównanie z prorokiem na wyspie Patmos. Co ja mam z Nim wspólnego, z Tym ulubionym Synem Marii, o którym z taką zazdrością pisze Bellarmin? Chyba wygnanie i tę cudowną ciszę, która zbliża do Boga. W oddali za rzeką rozsady się brunatne mogiły kazachskie, hen na horyzoncie rozplývają się w szarej mgle jakieś pagórki, skały i wzniesienia coraz dłuższe płachty cienia. Trzeba wracać: kun bitti. Jeszcze tylko po drodze zbiorę wiązanekę liliowych kwiatów, których nazwy nie znam. Wszak jutro Święto Serca Marii.

22.VIII. Serce Dobrej Matki pocieszyło mnie nadobficie. Przyszło naraz pięć listów, Georgij odesłał cztery, a sam dopisał piąty. A więc familijny z Wrocławia. Nic jeszcze nie wiedzą, gdzie się teraz wujek obraca i jakie przeżywa przemienienie. Trzy z Ukrainy, Garbowska wysłała paczkę, a teraz biada nad sieroctwem. Będzie się smucić, że posyłka utknęła w Arykty /341/ i musieli skonsumować, boby się popsuło. Tak jakoś nie mam szczęścia do tych ich darów; widocznie tak trzeba, żeby inni cieszyli się tym, co było dla mnie

przeznaczone prawem czy lewem. Sasza uraczył się porządnie: Georgij wymienia co było w sumce.

26.VIII. Szare życie snuje się jak przędza na kołowrocie napół śpiącej prządki: leniwie i beznadziejnie. Co godzinę zachodzę do koczegarki zobaczyć, czy nie ma co nowego. Właściwie jeszcze nie pracuję. Czuję nieustanny szum w uszach, nie mogę znieść gorąca i popielnego pyłu. Ale doktora nie ma, a zresztą cóż mi on pomoże, kiedy trzeba pracować. Porównuję Arszatyńsk z Dźwińskim piekarnię z tubdyspanserem. Pod pewnym względem jest tu lżej; nie trzeba co dzień rozpalać, co tam kosztowało wiele zdrowia i nerwów. Czasem dym napełniał cały dziedziniec. Wtedy trzeba było wzywać do pomocy Kiszę i wspólnie jakoś skierować dym na właściwą drogę. Potem opiekowało się to jakąś pożyczką albo /342/ zgoła gratyfikacją i dzieło szło. Tutaj ogień utrzymuje się stale w dzień i noc, trzeba go tylko co jakiś czas podsycać. Dzisiaj od rana obserwuje, jak często trzeba napełniać gardziel rozżarzonego molocha. Chciałem przy tym, żeby mnie zastał kierownik piekarni, ale się nie zjawił.

Mój przyszły kolega - palacz ma żonę Polkę. Oboje pochodzą z Baranowskiego rejonu. On jest szewcem i pije jak szewc. Powiada, że przy tej robocie inaczej nie można. Ładna perspektywa dla abstynenta. Księżę Wojciechu, szlachetny proboszczu z Sidziny, co byś na to powiedział? Już drugi raz czytam "Kościół w Chochołowie" i mam w tym dużo pociechy, choćby dlatego, że tak jak pleban z Sidziny nie przystaje do otoczenia. Nie, żeby miał coś z jego abnegacji lub gorliwości. Zawstydzają mnie jego twarde łoża i te zimne kartofle w mundurkach, którymi się karmi jak jego pierwowzór w pasterzowaniu proboszcz z Ars. A już jego metoda spowiadania /343/ całkiem nie przystaje do naszej stereotypowej rutyny. Tylko ten jego upór. Mimo wszystko i wbrew wszystkim. Można nie budować kościoła, lecz mieć równie silne przekonanie: taka jest wola Boża.

28.VIII. Właściwie winienem, jak ten trędowaty, upaść na kolana i rozpływać się z wdzięczności. Wczoraj przyjechała Maria z Władzią, a potem do Gauertów przyszedł Aleksander i Róża. Czyż trzeba większej radości? A oni przywieźli jeszcze cały szereg listów, pozdrowień, nie mówiąc już o prowiantach, które wystarczą na tydzień. Ale właśnie dlatego tak mi ciężko żegnać, jak nigdy dotychczas. Tam miało się nadzieję, że to niedługo. Zresztą na miejscu zostawali życzliwi. Tu mimo Niny - nie ma właściwie nikogo i znowu czuję

się sam, może jeszcze więcej niż przedtem. Na dwa dni moja izdebka napełniła się życiem. Władzia wymyła podłogę, wyczyściła ubranie. Maria krzątała się około bardzo wiele, a potem mieliśmy wspólne przyjęcie.

Wieczorem byliśmy w "kościelnie". /344/ Nie wiem jakie wrażenie na nich sprawił, ale ja zawsze na nowo przeżywam tajemnicze chwile pierwszych dni. Dziś rano na "sumie" była delegacja z trzech parafii: Tainczy, Szort. i Arvқты - prócz tego był przedstawiciel luteranów. Nie mogłem sobie odmówić satysfakcji stwierdzenia, że Luter był augustaninem, a dziś właśnie dzień św. Augustyna. Potem były ostatnie rozmowy, ale krótkie, bo pisałem listy, jak apostołskie posłania: Błogosławiony Pan i Bóg P.N.J. Chrystusa, który pociesza nas w każdym utrapieniu naszym. Kiedy dawałem Marii na drogę P. Jezusa, było mi bardzo ciężko. Właściwie nic nie mówiliśmy, albo tylko zdawkowe słowa, o których się wie, że bez nich możnaby się obejść, bo nic nie znaczą. Byłoby mi lżej, gdybym mógł ich jeszcze pobłogosławić na drogę w samolocie. Oby nie było im tak ciężko, jak Marii i Władzi w tę stronę - kiedy samolot kosztem pasażerów wyprawiał ekwilibrystyczne sztuki. Niestety, zanim napisałem tych parę zdań, przyszła poczta, a samolot od- /345/ leciał. Teraz nie pozostaje mi nic innego jak błądzić bezcelowo po ugorach, żeby gdzieś na krzakach i skałach wytrząsnąć smutek. Nic, trzeba iść na Alwernię. La salida al monte Alvernia Subida do monte Alverne.

30.VIII. Jest jasna, księżycowa noc. Z różańcem w ręku błądę po pustych już ulicach i myślę: Boże jak dobry jesteś, żeś zawiesił tak nisko, nisko nad nami tę jasną lampkę, której światło przenika w duszę niewysłowionym spokojem. Bo na cóż mi się właściwie skarżyć? Rano robotnica w piekarni powiedziała, że za wiele ciepła, nie trzeba się tak wiele trudzić. Potem jakiś nieznany jegomość widocznie przyjezdny zagadnął mnie niespodzianie "o dieła". Być może, że to on przyjechał z tą branżą obsługi, której zawdzięczam, że już nie muszę oczekiwać Gałki lub Bełkota z maszynką. U komendanta wzięłem paszport. Wczoraj zrobiłem zamek do drzwi. Wszystko jest więc przygotowane do wyjazdu we czwartek. Codzień /346/ proszę o tę pociechę dla siebie i tamtych, ale czy taka będzie wola Boża.

Napisałem do p. Józki.

31.VIII. Przyszła posyłka od Popielowej, ale teraz nic mnie nie cieszy, ni jabłka, ni witaminy. Po co to zdrowie, jeśli nie można go dla nikogo zużytkować. Quasi insipiens dico. Dzisiaj zbudziłem się z bólem w piersiach. Ktoś śpiewał "Wyznawca Wielki" do św. Andrzeja Boboli, a mnie gdzieś szukali. Nieprzyjemny sen. Rzeczywistość okazała się nie lepsza: Ponieważ niedawno bolał mnie ząb, poszedłem do med. siostry, żeby mi dała skierowanie do rejonu. Okazało się, że nie mam w niej przyjaciela. Uprzedzono ją, żeby mi żadnej sprawki nie dawała, bo jestem niepewny człowiek, mogę uciec. Powtórzyło się to samo, co przedtem przy samolocie. Napisałem skargę do rejonu, ale co to pomoże? Zacieśniają pętlę coraz bardziej jak na niebezpiecznym przestępcy. Nie mogę liczyć /347/ na żadne zrozumienie. Kiedy oświadczyłem, że takie postępowanie jest nieprawne, med. siostra odrzekła: wy też wiele zdiełał niezakonno. A więc już ją dobrze nastawili. Quousque Domine?

3.IX. Jak się stało, że jestem znowu tu u Emmy w Kenb. To zdaje się takie proste: siąść w samolot a potem w rejonie na autobus i przyjechać. Dawniej to tak było, ale teraz ... Po rozmowie w szpitalu, było mi całkiem ciemno, prawie żadnej nadziei. Mimo to jednak nie przestawałem prosić: przecież Ty wszystko możesz! We czwartek zaledwie po modlitwie wyszedłem z mieszkania, ujrzałem milicjanta. Był jakiś inny choć podobny do Saszy. Oni wszyscy są do siebie podobni. Przywitał się uprzejmie i przedstawiłem sprawę. W kantorze przeczytał moją autobiografię, zobaczył paszport i napisał polecenie na wydanie biletu. Zjawił się nowy szkopuż: dyrektora nie było a zastępca odłożył sprawę na później. Czwartek więc /348/ przepadł. Wczoraj rano w kantorze nie było nikogo, ale med. siostra dała skierowanie bez sprzeciwu. Nie wiem, czy dostała jakieś nowe rozporządzenie? Chyba to nie był skutek mojej skargi wysłanej do rejonu. U Kelb. było serdeczne przywitanie. Georgij płakał ze wzruszenia czy radości. Stary Werngart cieszył się jak prawdziwy Symeon. Było 12^{oro} jak na Wieczery Pańskiej. Dziś modliliśmy się do Piusa X. Być może, że On dopomógł przewyciężyć trudności. Mam do Niego szczególne zaufanie od kiedy otrzymałem od o. Tadeusza jego biograficzną powieść: Ignis ardens. Dziś patrzył na nas swym rozumnym, pełnym miłości wzrokiem. Ale teraz będziemy się modlić za Hieronima. Jeszcze tamtego razu był razem z nami, a w poniedziałek go pochowali. Zmarł nagle w drodze.

4.IX. "Błogosław duszo moja Pana". Dziś chyba wszyscy byliśmy wzruszeni. Bo i jakże nie poddać się błogiemu uczuciu, że nadprzyrodzona moc nami kieruje, kiedy patrzymy na czworo dziewczątek przystępujących jednak pierwszy raz do Komunii św. Ile to trzeba było przezwyciężyć trudności, żeby do tego doprowadzić. A jednak są wszystkie: dwie Marysie, Melita i Irena. Barbara, Perpetua i jeszcze parę śpiewają: Lasset Kleinen Kommen. To P.Jezus słodko się odzywa w niskiej chacie Kiliana. Luda uściskała mnie serdecznie, co nie jest w ich zwyczaju. Aryktyńscy parafianie stawili się prawie w komplecie, prócz tego przyjechał Józef Wokna.

Piękny dzień się kończy, ale jeszcze po raz trzeci staniemy przy ołtarzu, by usłyszeć wezwanie: "szukajcie królestwa Bożego". Gdzie ono jest, że trzeba go szukać? Czy też w tych beznadziejnych smutnych wioskach i sowchozach można je jednak znaleźć?

Uśmiełem się szczerze czytając, co napisał o.R.: "proszę nie nazywać siebie darmozjadem, bo tacy są kandydatami do Com.Mart. lub Confessorum. Boże mój! oni może myślą naprawdę, że mnie można nazywać pokutnikiem, kiedy jestem właściwie /350/ zwykłym niedołęgą, a przytym mocno upartym.

"Trzeba się wznosić" mówi ten franciszkański biskup, za którym usiłuję choć trochę postąpić od tego czasu, kiedy znalazła się w moich rękach jego książeczka z Alwernii. Ale jakże trudne to wzniesienie się, kiedy człowieka ogarnia marazm. Czy można sobie w takim Arsztatyńsku stworzyć odpowiednie stanowisko? A jednak zdaje mi się, że właśnie poprzez Arykty i Arsztatyńsk idzie droga na Alwernię.

Dzisiaj czytam o pracy: praca na serio, praca wytrwała, szczerza, radosna i sumienna jest cudownym twórcą dobrego środowiska. I właśnie dla pracy jestem w Ars-z-u. Każdą chwilę trudu mogę uświęcić. A tymczasem Robert, ten który mnie widział u Gauertów powiada, że jestem leniwy. Może prawda.

5.IX. Ta staruszka u której wczoraj zakończyliśmy niedzielę jest siostrą tego Antona z Krasnoarmiejska, który umarł śpiewając. Nigdy tego nie zapomnę, co mi opowiadał Georg. Do ostatniego momentu /351/ śpiewał i to tak przytomnie, że poprawiał innych. Potem po jego śmierci przychodzili do Pauliny z moją fotografią podobno w kapłańskich szatach. Skąd mogli wziąć, kiedy ja się tak mało fotografowałem jest dla mnie tajemnicą. Może to było to zdjęcie z pogrzebu X.Sam., które mają w Żytomiarskich domach? Dość, że Paulina sprzedała dom

i wyjechała. I oto niedawno przyszła od niej posyłka do Aleksandra w Arykty. Byłem zdumiony, że pamięta o mnie aż gdzieś w Syrdarskiej obłaści. Adres podały jej Rosa i Ania. A teraz znowu ta siostra jej męża tak niespodzianie spotkana. Tak się wszystko splata i wiąże, bo oni są rozrzućeni na wielkich przestrzeniach, jak ptaki na wszystkie strony wyrzućone z gniazda. Przez parę lat byłem pomiędzy nimi jakby łącznikiem. Teraz jedni drugim podają adresy, dzięki czemu nie mogę nadarzyć z odpisywaniem na listy. W ostatnich tygodniach /352/ przyszło chyba 7 paczek. Ostatnio z Szep. od Wiktorii. Czy to nie było inspirowane przez Mik.? Ale czemu on nie pisze? Zofia się skarży, że nie zachodził do niej, choć był w Zd. Jakaś niepokojąca zagadka, bo przecież chyba nie zapomniał.

Drugie źródło niepokoju, to te pieniądze, które Zofia wysłała niewiadomo po co, a dotychczas nie przyszły. Na co mi one? Jestem tym balastem przytkoczony jak ten mityczny król z Krety, któremu wszystko zamieniało się w złoto. Ale dla nas to raczej błoto. Zazdroszczę tym, którzy mogli rozdawać, jak ten Wawrzyniec, patriarcha wenecki zadłużający się dla biednych. Prawda! To wszystko niemal z Messgeld, ale tym bardziej niepokojące, że życie niepewne. Coś się popsuło na czystym rysunku od ostatniego rentgena. Ta plamka nad trzecim żebrem to może odpowiednik krwi z nocy pożaru w Arykty? A jednak nie dają żadnego leczenia, tylko skierowanie do laryngologa. Co z tego wyjdzie?

/353/ 7.IX. Wczoraj rozpoczęło się w Równem czterdziestogodzinne nabożeństwo - i właśnie w tym dniu przyszła posyłka od Konrada. Zawsze ta Konrada: niespokojna, nerwowa, przez swoich podejrzewana, przez tamtych może wykorzystana zrosnięta silnie z kościołem, jak jedna z tych płyt na podłodze, po których można deptać, ale jeśli się wyrwie, to powstanie szpetna dziura. Odżywają gwałtownie wszystkie wspomnienia: kościół przez trzy dni otwarty, pełen mistycznej ciszy, festony zwisające od szczytów filarów - Leon i Władek Sokół nie mało się przy tym natrudzili - wreszcie ołtarz rzeźbiście oświetlony, a nad nim z wysoka spoglądający Pan Jezus. Staraliśmy się przynajmniej dwanaście godzin spędzić wspólnie w adoracji i śpiewach. Przez resztę czasu trwała osobista audiencja u Tego, który ma zawsze cierpliwość wysłuchać choćby najnudniejszej prośby.

Od wczoraj przeżywam to wszystko na nowo. Zamiast ołtarza jest prosty stół na krzyżakach, a nad nim mały obrazek Jezusa błogosła- /354/ wiącego dziatki - to wszystko. Ale On jest tam sam. Nie mogę pomyśleć o tym bez wzruszenia. "W tej Hostii jest Bóg żywy, choć zakryty lecz prawdziwy" śpiewa lud wznosząc oczy w górę ku złotej monstrancji, a ja słyszę te głosy z oddali, kiedy w drżących rękach w samotnej celi trzymam Białą krążek. Poza białą zasłoną okna zaczyna się budzić codzienny ruch. Jakaś maszyna ciężko sapiąc przewaliła się ulicą w stronę kantory, ktoś przeszedł szybko idąc do pracy. Nikt nie myśli o Tym, który i tam i tu woła: "Pójdźcie do mnie".

Siedząc przed koczegarką rozmawiałem z kolegą - nazywa się Iwan - o tutejszych ludziach. Prawie wszyscy przyjezdni są tu przysłani przemocą na określoną ilość lat. Bywało, że ktoś kończył swój termin - wtedy ofiarowywano mu sutą zapłatę /300 rb/ i mieszkanie, żeby tylko pozostał. Nikt się nie skusił. Przyszło mi na myśl, że dawniej wysyłano na galery, potem w katongi Sybiru - teraz jest trochę inaczej, ale zawsze ta sama niewola.

/355/ 8.IX. Wczoraj wieczorem chodząc po ugorach śpiewałem: "Zdrowaś Mario" potem napisałem o tym do p.Heleny, ale dziś jest mi smutno. Rano nie odprawiałem mając nadzieję, że pojadę, tymczasem w kantorze dyrektora nie było. Wieczorem zapijali pomyślne zakończenie żniwa, ale rano pojechał znowu. Szkoda, bo jest okazja: Bruno jedzie do Celin., więc mógłby mnie zabrać i Urodziny Matki Bożej byłyby radosne. Czy nie chcesz tego Matko?

9.IX. Takiego odpustu jeszcze nie miałem.

10.IX. Znowu Żenteke, ale jak trudno było się dostać! U Niny dowiedziałem się, że trzy maszyny jadą przez Celinograd do Atbasaru jedzie Bruno, Robert i jeszcze jeden Kozak. Robert zgodził się mnie zabrać, ale już w Arraza wyjaśniło się, że jadą najpierw na fermę załadować zboże, a potem stamtąd jeszcze 160 km. Już się coś zaczyna zaciemniać horyzont: czy my jeszcze dzisiaj zdążymy choćby do rejonu. Po godzinie jazdy - postój. Tamci, którzy jechali naprzód /356/ przed nami, czekają na murawie z butelką, która wkrótce została wypróżniona. Biesiada przeciągnęłaby się dłużej, ale nadjechał główny agronom, więc trzeba było wszystko sprzątnąć. Zaczęliśmy się

dalej kolebać w górę i w dół po pagórkowatej okolicy, której końca nie widać. Na skalistym, pofalowanym gruncie, który był może kiedyś dnem wielkiego morza grają jesienne barwy: wypłowiła zieleni urozmaiconą czasami krwawym pasem wrzosów. Zrzadka mijamy napół rozwalone chyżyny czabanów. Gdzieś nad małą wodą kierdel owiec z pastuchem i czarnym psem owczarkiem. A oto czarne znane już kazachskie mogiły. Gdzie żyli ci ludzie, którzy tam są pochowani, kiedy wokół nie ma żadnych siedliszcz?

Po prawie dwugodzinnej, mozolnej jeździe z przyczepą daleko na horyzoncie ukazał się jasny, prawie biały pas rżyska. Jedziemy już równą, jakby asfaltowaną drogą wśród nieprzejrzanym pól, po których wczoraj jeszcze pełzały jakie wielkie żuki /357/ - kombajny. Zmiętoszone ogromnymi zębami barłogi słomy znaczą ich niszczący pochód. Arszatyńscy odznaczyli się, że żniwa zakończyli najwcześniej. I oto jesteśmy na fermie. Na boku w czworobok złożone zwały zboża. Mechaniczne zsypanki zaczęły pracę, która jednak posuwa się leniwo. Godzina mija za godziną. Wreszcie skrzynie maszyn pełne i można jechać, a już najwyższy czas, jeśli mamy zdążyć przed północą. I wtedy pokazuje się, że maszyna Roberta nie w porządku. Długo naradzali się, szukali, próbowali - wreszcie stanęła decyzja: trzeba nocować: im to łatwo było powiedzieć, ale mnie się serce ściska - taki dzień stracony! Dobrze że przynajmniej w międzyczasie odmówiłem nieszpory.

Rano uprzejma gospodyni, która ustąpiła nam izbę w baraku, pytała mile, czy nas nie gryzły pluskwy. Nie, a zresztą co to znaczy, byle prędzej jechać, bo trzeba wreszcie odprawić Mszę św. /358/ Robert mówi: tamci pojechali wcześniej, a my pojedziemy pomału. Miała pociecha. Jechaliśmy rzeczywiście nieskoro i dopiero po godzinach jazdy pokazały się jakieś zagrody - ferma somalińskiego kołchoza. Do samego sowchoza dojechaliśmy już około dziesiątej. Maszynę naprawiono i dalszych 90 km możnaby jeszcze zrobić do południa, gdyby nie ... Za wioską rozłożyli się do śniadania. Był tylko suchy chleb z masłem. Ale na nieszczęście nadjechała jakaś znajoma maszyna, ktoś coś poradził, zaszli do jakiejś i wyszli rozpromienieni z butelkami. Parę kilometrów za wioską zaczęła się biesiada. Tego już było za wiele. Przesiedziałem tę sporą godzinę w kabinie, jak na mękach. Gdybym umiał, mógłbym kląć, ale takie to już było zrzędzenie, żeby wypróbować cierpliwość. Do rejonu zjechaliśmy już po drugiej. Niewiele czasu pozostało do odprawienia

autobusu, ale /359/ jesteśmy już razem w sporej gromadce.

Salve Sancta Parens - rozpoczyna się Msza św. - odpust choć trochę spóźniony. Boże mój, jak dobry jesteś. W głowie mi szumi, serce przenika jakiś ostry ból, ale w duszy rozlewa się radość, że przecież możemy uczcić Najlepszą Matkę przy Jej Narodzinach. A ja myślę przy tym o mojej Marysienke.

11.IX. "Póki czas macie". Przy młodzieńcu z Naim nie trzeba myśleć o śmierci. Młody może umrzeć, lecz stary musi - tak stało dużymi literami wypisane lapidarne zdanie w "wieczornej gwieździe" /Abendstorn/ Rozy.

Knie zaczynają traktować jako chorego. Mam już cały szereg karteluszków, gdzie pod moim nazwiskiem stoi znaczące: b-noj. Najpierw to skierowanie do terapeuty, gdzie przez pomyłkę wliczono mi całych 60 lat. W rejonie dano mi polecenie do laryngologa w mieście, z czego się cieszyłem, że będę miał sposobność tam pojechać. Trzeba pecha, żeby wczoraj ta lekarka przyjechała do Kurgaldzino. Zaor- /360/ dynowała zastrzyki i jakieś tabletki, a najważniejsze, że kazała się potem stawić na komisję. Znaczy to, że znowu mogę mieć nadzieję na kilka dni wśród wiernych. Czy to nie Tobie zawdzięczam Matko, że się tak dzień po dniu układa jak kamyczki w mozaice, ostre obok gładkich w jeden ręką mistrza tworzony obraz? Jutro dzień Twoich Imienin - ale jeszcze dziś wieczór będziemy patrzeć na Ciebie, jak idziesz płacząc za marami dziecka. Ile to ich jest, tych których opłakujesz, a my nic Ci pomóc nie możemy.

12.IX. "Imię Twe Mario litością słygnie". Tak mi już tęskno za naszą rodzimą pieśnią. Dziś mówiłem Niemcom o królu Sobieskim, ale co oni rozumieją z tego, co jest naszą narodową dumą. Może więcej znaczenia ma to, że żyjemy wśród muzułmanów, którzy zaszli aż pod Wiedeń. Teraz my z ewangelią wdarliśmy się w głąb ich ojcowizny. Trzeba podbijać mieczem miłości i modlitwy wyznawców Proroka i kłaść ich do stóp Miriam. Ale słabi i nędzni jesteśmy: "My tacy biedni kiedyś-my sami" więc nie chcemy być samotni - zawsze z Tobą i przy Tobie o Matko! /361/ Jestem trochę niespokojny, co mnie czeka w Arsz., ale serce pełne wdzięczności za łaski ostatnich dni. Czy można pragnąć jeszcze więcej. Opiekują się mną jak dzieckiem. Anton mnie wczoraj przywiózł, a dzisiaj odprowadził na aeroport. Mam wiele czasu do odlotu. Niedaleko znajduje się cmentarz. Jestem na cmentarzu kurgaldżyńskim, który tym się różni od aryktyńskiego, że jest tro-

chę większy i - więcej zapuszczony. Leżą połamane krzyże na grobach o które nikt nie dba. Ale też spotyka się curiosa: na dole gwiazda a na szczycie krzyż lub też na odwrót gwiazda na szczycie krzyża - jakby przysłowiowa świeczka i ogarek.

13.IX. Jak dziwnie sprawdzają się przeczucia. Wczoraj przy moich drzwiach zastałem kłódkę. Skąd się wzięła? Zjawia się sto myśli: rozbili mieszkanie, może mnie szukali? Ten milicjant tak podejrzliwie wypytywał w aeroporcie, dokąd jadę, a potem pilnowali, czy jadę istotnie do Kon Kocku - a może jeszcze co innego? A to byli moi braciszczkowie z Sz. którzy nie żalowali trudu, żeby w tym dniu i mnie i siebie /362/ pocieszyć. I oto byliśmy jeszcze na zaprawie kiedy oni przylecieli, Bruno ich widział, ale nic nie powiedział. Czemu tak się stało? wciąż pytam i nie mogę znaleźć innej odpowiedzi, jak tylko, że trzeba było nas doświadczyć i ich i mnie. Może za wiele byłoby ludzkiej pociechy?

Nawieźli znowu wszystkiego, a prócz tego płytkę i różne drobiazgi. Władzia pamiętała nawet o miotle. Ale kiedy patrzę na to, żal mnie nie opuszcza. Czy jeszcze kto zaryzykuje tę niepewną podróż?

16.IX. Już dwie godziny błądzą po zaroślach i nie mogę znaleźć zagubionej myśli. Bo cóż tu będzie najważniejsze? Czy to, że w sam dzień Krzyża św., kiedy miałem zamiar snuć wspomnienia o odpustach, zjawił się niespodzianie Sasza i dał mi marszrut na leczenie w dniach, które sam wybrałem. Była to reakcja na moją "żałobę" i powinna mnie ucieszyć, tymczasem niespodzianie zjawiła się przygnębiająca myśl o niewoli. /363/ W przepustce wyraźnie wymieniono: stąd-dotąd i nigdzie więcej. Nawet do Żanteke nie będzie można skoczyć. Ten Sasza usiłuje grać rolę dobrodzieja, w gruncie rzeczy krępuje jak może. W każdym razie jutro może będziemy czcić Stygmaty razem z Georgiem, jeśli przyjedzie. Co jeszcze ważne? listy, posyłki? Znowu dwie paczki: z Korca i od Anny. Teraz już starali się przysłać coś trwałego. Clewsk przypomniał się grzybami. Marysia powściągliwa jakby nic nie zaszło, ale czuję się głęboki smutek. Waleria pisze o śmiejących się jabłuszkach i kogucikach na Marysiny podwórku. Ale oto dzisiaj Georgij przysłał listy od Mikołaja i Albina. Żaden nie wie jeszcze o Arszatyńsku.

Słońce zachodzi, a ja jeszcze nie wpadłem na trop. Bo to wszystko jak porwane nitki, które się dalej nie snują ... może dlatego, że ma się coś zacząć na nowo?

17.IX. I oto nareszcie coś, coś jak silny impuls nadaje myślom kierunek. Dziś od rana byłem pod wrażeniem wyjazdu. Parę razy zaglądałem do kantory, czy nie ma dyrek- /364/ tora. Spora gromada ludzi oblegała buchalterię - pewnie to dzień zapłaty - ale biuro dyrektora było puste. Mając marszrut w kieszeni niewiele o to dbałem. Trzeba zrobić porządek na parę dni, żeby zapasy do reszty się nie zepsuły. Jak to dobrze właściwie nic nie mieć - przypomina się przepis Konstytucji, żeby nie robić zapasów. Albin pisze, że mają coś zmienić - czyżby i to? Chłopcy w sąsiedniej izbie dziwili się, kiedy im rzuciłem parę jabłek. Dostały też i dzieci Niny, choć Bruno zakazuje je rozprowadzać. Klucz zostawiłem u niej i ostatnie auf Wiedersehen - nie do swidania, bo oni tacy Niemcy.

Bagina zapytała o sprawkę i bilet dała. Samolot zamiatał jeszcze skrzydłami, kiedy nadjechała maszyna. Nie zwracałem uwagi stojąc w kolejce, że z maszyny wysiadł przysadkowaty jegomość, który już raz mi się przedstawił jako główny agronom. Jakież było moje zdumienie, kiedy trąbiąc do prawego ucha, na które zresztą /365/ nic nie słyszę, powiedział, że bez pozwolenia nie wolno mi iechać. Dumnie dałem mu marszrutny list będąc pewnym konfuzji ale i to nie poskutkowało. Powiedział, że lekarze z Celinogradu będą w tych dniach w sowchozie, znajdą więc chorobę na miejscu. Samolot zatrzepotał skrzydłami i z chimerycznym śmiechem motoru ruszył kręgiem po murawie, by za chwilę wznieść się w górę. To już drugi raz ordynarnie mnie wyśmiał.

Trudno mi skupić myśli - a przecież czeka droga na Alwernię, właśnie jeszcze dzisiaj w samotności. Trzeba rozłożyć na nowo spakowane szaty, przykryć stół splamionym obrusem, zapalić świece w zardzewiałych, czarnych rurkach - w uszach bije jak młotem - czy serce mi nie pęknie? Bracie Leonie, owieczko Boża, gdzie jesteś? Wszak i na Alwernii nie było samotności?

Jak mogłem choćby na chwilę zapomnieć, że Ty pocieszasz w strapieniach, a jeśli wkładasz brzemień, to jest ono lekkie i łagodne. Jedna chwila Twojej obec- /366/ ności wynagradza wszystko. Teraz myślę sobie, że ten szepleniący Kazach działał też z Twojego polecenia.

W czasie Mszy św. ktoś pukał do drzwi a za ścianą słychać było hałas szurgających nóg. Ciekawe zestawienie, tu Kalwaria i Alwernia

a tam tance i zabawa. Pod jednym dachem Jezus i Belial czy Satyr. 18.IX. Czy to był przypadek, że właśnie w czasie podniesienia zapłonęła jasnym blaskiem nad moim ostarzykiem lampka? /Wasze dynamo pracuje kiedy chce/. Od razu zapanował uroczysty nastrój parafialnej sumy. Już nie jestem sam. Równe, Zdołbunowo, Korzec - wszystko się skupia w adoracji. Taincza, Szort., wszystko. Kazałem im w każdą niedzielę brać udział w naszym wspólnym misterium. Wołałem do nich poprzez tysiące kilometrów: "Proszę was, abyście nie upadali na duchu w moich uciskach za was - tak za was - mogę to jeszcze raz powtórzyć /367/ i to jest właśnie chwała wasza". Ale tych ostatnich słów sam dobrze nie pojmuję: czy chwałą tego ludu rozrzuconego na ogromnych przestrzeniach może być, że skupia się w żarliwym memento jakże niedołęznego pasterza? A przecież choć na ostatnim miejscu, ale jednak jesteśmy zaproszeni na Gody. Czy przyjedzie kiedyś gospodarz i powie "posiądź się wyżej"? Z psalmistą proszę duchem uniożonym: "Tyś mnie, o Boże, uczył od młodości mojej, więc też i na starość, aż po wiek sędziwy nie opuszczaj mnie Boże". A jednak - starość. Znowu biorę w rękę Korstinową.

19.IX. "Justuorum animae in manu Dei sunt". Dzisiaj po Komunii św. przyszło mi silne przeświadczenie, że P.Bóg mi dlatego wszystko odbiera, żebym wreszcie zrozumiał, że On jest dla mnie wszystkim. Napisałem szczerze do o.R. te godziny ranne wynagradzają mi wszystko. Tylko, że teraz jestem tak ociężały. Zaledwie przed siódmą wstaję. Msza św. nie może być wcześniej jak o ósmej, a i tak z rozmyśleniem trzeba się spieszyć. /368/ Zresztą jak się ono odbywa? Zwykle łapię jakieś zdanie i wałkuję je na wszystkie strony. Dzisiaj np. cieszyłem się, że św.Paweł każe rozbudzać wspomnienia przeszłości: "Wspominajcie dni dawne". Jest to jakby aproba moich "Strzępów" przynajmniej w tym co się odnosi do "wielkich potyczek, utrapień" - już to gdyście na zniewagi i uciski jawnie byli wystawieni - przypomina się hitlerowskie więzienie, potem tułaczka - "już to gdyście się stali towarzyszami podobny los cierpiących. Bo i z więźniami cierpieliście pospołu, i grabież majątności waszych przyjęliście z weselem /tylko książek im nie daruję/, wiedząc, że macie majątność lepszą i trwałą. Potem to samo co mi R. wciąż powtarza: "nie traćcież tedy ufności waszej, która ma wielką odpłatę". Wreszcie najważniejsza nauka: "cierpliwość bowiem jest wam potrzebna, abyście

czyniąc wolę Bożą, dostąpili obietnicy". Bo jeszcze chwila niedługa ...

Trudno wyczerpnąć wszystkie soki żywotne z tych słów, jakby do mnie zwróconych w ciągu kilkunastu minut jakie jeszcze pozostają. /369/ 21.IX. Parę dni trwał u nas jakby karnawał. Za moją ścianą rozlegały się śpiewy, krzyki, tańce do późnej nocy. Dziewczęta w roboczych gimnastiorkach, chłopcy na pół lub zupełnie pijani używali pełnej swobody. Z przykrością patrzyłem jak jakiegoś ciągnęli koleđzy napół przytomnego. Moje drzwi otwarły się nagle z trzaskiem i na środek izdebki runął jakiś nieszczęśnik dobrze podchmielony. Zaledwie zdążyłem ochłonąć z przykrego wrażenia, kiedy rozległo się natrętne pukanie do drzwi. Tym razem było już coś innego. Człowiek jeszcze stojący na nogach zaczął się żegnać po prawosławnemu i prosić o błogosławieństwo czy list do żony, bo jutro wyjeżdża. Odbył 7 lat i wraca. On z pochodzenia Rumun ona Niemka. Nie wiem dokładnie po co przyszedł. Może się pożegnać. W każdym razie wie kim jestem. I nie on jeden.

Wczoraj sąsiadka Niny prosiła, żeby ochrzcić dziecko - tę dziewczynkę, której dałem jabłko czekając na samolot. Nazywa się Szokudko tak jak "Mała" Zosia. Zainteresowała się, kiedy zobaczyła to /370/ nazwisko na mojej posyłce. Dziecka naturalnie ochrzcić nie mogę, bo prawosławne, ale była to pierwsza rozmowa religijna. Dziewczynka urodziła się w Żółkwi, ale nie można było ochrzcić, bez pisemnej zgody ojca. Matka umie tylko Ojciec nasz, prosi, żeby ją nauczyć więcej. Niny mała też nie ochrzczona. I takich jest pewnie więcej.

Przypominają się słowa P.Jezusa na uczcie u Mateusza: "Nie potrzebują zdrowi lekarza". Ale co dla nich możnaby zrobić? Może teraz w dobie ekumenizmu nie uwzględnia się wszystkich przegród. Może na takim terenie jak tu lepiej się uświadamia, że jest jeden Chrystus, którego oni i tak nie znają, a chrzczą dzieci dlatego, że są jakieś niespokojne, chorowite, a nie ochrzczonych nie można prowadzić do babki - i to wszystko.

Odwiedził mnie dziś także w mojej izdebce dyrektor sowchoza. Przedtem zwymyślał, że nie pracuję i samowolnie rozjeżdżam. Zabrał marszrutny list. Nie wiem co dalej będzie, ale jest mi to jakby obojętne. Już drugi dzień ryję się w "Kopcu Wspomnień". Zacząłem naturalnie od Bodnickiego. /371/ Pamiętam go z rozmów na temat

jakich psychicznych zbroczeń no i z okazji "Wzlotu", do którego dał wierszyk. Szkoda, że zmienił "idealistyczny pogląd na świat", nie wiem w jakiej mierze.

Listy przychodzą teraz codziennie. Marysia widzi "postać mizerną, może głowę zboląłą, serce osłabione". Nie pomaga "robiony" humor. Drugi od Wiktorii.

Dziś wieczór zapadł cichy i głuchy. Po młodzieży i zabawach zostały tylko powybijane okna i kupy śmieci. Jakby na znak jakiejś żałoby zastrajkowało dynamo i światła nie dają. Na niebie zawisła czarna chmura.

23.IX. Ale deszczu nie było ani wczoraj, ani dziś. Wczorajszy silny wiatr nie pozwolił na dalszą przechadzkę. Przez powybijane okna i pootwierane na przestrzał drzwi baraku hulał szalony przeciąg i pewnie temu zawdzięczam, że dziś kucie młotów o kowadła w prawym, a odgłosy syren w lewym uchu nie ustają cały dzień. Dopiero po powietrzu nieco się uspokoiło i mogłem odczytać jutrznię z ewangelią o niepłodnej fidsze. Tutaj nie ma nawet najlichszego drzewka tylko gdzieś kępa krzaków lub jakieś białogłowe osty, a zeszcła /372/ ziemia pokropiona jakby kropelkami ciemnej krwi. Są to drobniutkie kwiatuszki uczeplone zeszcłych gałązek wrzosu. Wracam do domu z całą ich wiązanką myśląc po drodze o krwawej wizji, którą przypomniał "Kopiec". Oto na pociąg pełen uciekającej w popłochu ludności padają niemieckie bomby. Parę wagonów rozbitych zatrzymuje cały eszelon. Wszystkim grozi zagłada. Wtedy ktoś idzie prosto w ogień, pod gradem oskołków wciska się pomiędzy płonące wagony i pada zraniony - ale odczepione wagony ruszają naprzód spod linii ognia - setki ludzkich istnień ocalone krwawą ofiarą ks. Mariana Luzara. Na rówieńskim cmentarzu leży prosta kamienna płyta z nagrobkiem na którym jest tylko nazwisko i data 1939. Dzisiaj czytam we wspomnieniu J.A.Grzesiaka drużynowego 13 Harc. drużyny: "zostaliśmy przyjęci do plutonu prowadzonego przez Mariana Luzara", a w przypisku: Późniejszy Naczelny Kapelan Z.H.P.

Warto grzebać w "Kopcu Wspomnień".

/373/ 24.IX. Letowoczne! Byłem tam zaledwie jeden raz, a jednak pamiętają. Dziś przyszła stamtąd posyłka tym cenniejsza, że oni przecież też te okazałe jabłka skądś dostali. Ten posiłek był przez długi czas niedostępny jak niezdojta twierdza, a przecież

byli tam staruszkowie spragnieni Doga. Bali się W-c, a raczej własnego cienia jak wszędzie. Trzeba było dzielnej Stasi, żeby utorować drogę. Już nie pamiętam, jak się nazywał ten ciężko chory dla którego trzeba się było narazić nawet na ryzyko. Jakaż była jego radość, kiedy wreszcie ujrzał księdza. Potem zeszło się kilku-nastu chorych, ślepych, kalek, jakiś nawet głuchoniemy. W małej izdebce był dla nich po wielu latach kościół. Musieliśmy wszystko odprawić w ciągu kilku godzin, ażeby odjechać autobusem. Był to jeden z niezapomnianych dni, które wiązały się w długie miesiące i lata. I może to jest właśnie ta pociecha, której oczekiwałem jakimś tajemniczym instynktem, że przecież musi przysić.

Wieczór był łagodny i cudownie piękny. Orientacyjna wieża rysowała /374/ się w pomarańczowej żunie zachodzącego słońca jak krzyż na Golgocie. Błądząc po wyschłych ugorach śpiewałem litanie. W powrotnej drodze znalazł się przypadek cmentarzyk. Nic dziwnego, że długo na prozno szukałem krzyżyka. Leżał wraz z innymi powalony na ziemię. Czy to zrobił ten silny, przedwczorajszy wiatr, czy jakaś inna zła moc? Trzeba go na nowo postawić i mocno utwierdzić. I znówu rodzi się jakieś fantastyczne marzenie: na tej niewdzięcznej kamienistej glebie zatknąć krzyż, choćby tak skromny i maleńki, jak ten, który na spiżowej kolumnie umieszczam na ołtarzyku w czasie Mszy św. Dziewczynka Szoludka była dziś u mnie i dałem jej parę jabłek. Może ta mała to pierwociny czegoś, co Bóg zamierza? 25.IX. "Proszę Was - ja więzień w Panu". Przyszło mi na myśl pisać listy w duchu Pawłowym: przede wszystkim do Tainczy ale niech się rozchodzą wszędzie. Teraz mogę im więcej powiedzieć niż przedtem. Może to być dalsza służba Boża. Dziś rozpo- /375/ czyną się nowenna do św. Franciszka. Na szczęście uratowali przed grabieżą i przywieźli świetne dzieło Cuthberta. Właściwie dotychczas żadnego z życiorysów nie doczytałem solidnie do końca. Swego czasu zachwycałem się Joergensenem, miałem w rękach Sabatier'a, w naszej krakowskiej bibliotece czytałem albumowe dzieło francuskie, ale może dopiero eseje Ewy Zarębiny o "Zakochanym w Miłości" rozbudziły zażenowanie, że tak mało znam Ojca w Jego najgłębszych przeżyciach.

Nowennę będziemy odprawiać wspólnie, choć rozdzieleni przestrzenią - oni tam razem z brewiarza jak w ubiegłych latach, a ja sam jeden z pamięci "Caelorum candor splenduit".

27.IX. Dzisiaj zdaje się po raz pierwszy w życiu kapłańskim odprawiłem o świętych lekarzach Kosmie i Damianie. Dotychczas ich miejsce zajmował w naszej liturgii szlachetny tercjarz Eleazar. Teraz przywrócono im poczesne miejsce - może dlatego, że byli Arabami? Święci również przeżywają swój renesans.

Nasz Kosma miał też coś z Araba. Tak mi się zdaje, choć Arabów raczej /376/ Beduinów znam tylko z młodzieńczej lektury *May'a*. Niski, krępy o twarzy pociągłej i śniadej podobny był raczej trochę do Tatara, ale w rzeczywistości był góralem, gdzieś podobno od Maniowych. Kapucyni mało posługują się nazwiskiem - zwykle przy imieniu zakonnym kładzie się miejscowość skąd pochodzą. O.Kosma był znany z pełnego nazwiska: Lenczowski - może dlatego, że był kapelanem I brygady legionów wszędzie znanym i wspomnianym. Jego niepokazna figurka w legionowej maciejówce figuruje we wszystkich albumach z tamtych czasów. Zetknąłem się z Nim po raz pierwszy w czasach gimnazjalnych. Przybył on do nas prawie razem z Aleksandrem i tworzyli ze sobą nierozdzielną dwójkę nawzajem się uzupełniającą. Przypominają się Pat i Patachon, ale to porównanie nieprzystojne. O.Aleksander wysoki, trochę zrządny i surowy. O.Kosma mały, niepozorny ale chwytający za serce dobrocią i nieskrępowanym humorem, obaj bywali w naszym domku na Mirtowej. Była wielka /377/ radość, kiedy który z nich zagościł, a większa jeszcze, kiedy przyszli razem. Zawsze było wiele do opowiadania. O.Chmura miał stały temat, który go absorbował: budowę kościoła i klasztoru. Cieszył się jak dziecko, kiedy widział jak mury rosną.

Kosma poświęcał wiele czasu mojemu przygotowaniu do zakonu i kapłaństwa. Wtajemniczał mnie wawią naonczas kazuistykę brewiarza, zaznajamiał ze zwyczajami zakonnymi. Po moim wyjeździe do nowicjatu pozostał nadal przyjacielem rodziny. Dzielił ich smutki i radości, odwiedzał w chorobie. Kiedy miałem wydać w Krakowie ów jedyny "jubileuszowy" numer "Wzlotu" jakoś nawinął mi się były legionista Holsaender - pewnie Żyd z fotografią legionową o.Kosmy. Numer miał być poświęcony naszemu życiu zakonnemu, toteż wspomnienia Kapucyna-legionisty były na miejscu. Ostatni raz widzieliśmy się przy zjeździe legionowym w sierpniu przed wojną, ale wtedy był zaangażowany przez swoich byłych kolegów. Coś jak przez mgłę przypominam sobie, że przysłał pozdrowienie na mój 25-letni jubileusz

a potem wzywał do powrotu. Nie wiem nawet, czy mu w dniu pogrzebu grały surmy legionowe?

Dziś a raczej wczoraj wieczora wspomnianie drogiego przyjaciela ciśnie się gwałtownie pod pióro. /378/ Zdaje mi się, że gdyby żył, poruszyłby wszystkie sprężyny, żeby mnie wyzwolić. Ale spoczywa już od kilku lat na rakowickim cmentarzu w gronie braci.

28.IX. Wczoraj wieczorem znowu nie było światła, a na dodatek przyszedł ten nieszczęśliwy pijaczyna z pobożną miną, którego koledzy przegnali aby szedł do "katolika". Jest to trochę niewyraźna figura - niby Niemiec o ruskim nazwisku. Ale musiałem go przyjąć i na parę dni stracić spokój. Tymczasem tyle nagromadziło się materiału, który należy uporządkować, jakby to było coś ważnego. Dla mnie teraz wszystko wydaje się ważne? Nawet to, że do sąsiedniej pałaty w naszej ruderze zaszły dwie krowy i w najlepsze wyciągały siano z łożek. Teraz jestem jakby w zaczarowanym kole: Letowaczne, Astrachanka, Szort/andy/, Drohobycz, Stryj, Zwichel no i co jeszcze: Szepetówka, wreszcie Arykty - wszystko to wywołała /379/ na ekranie paniąci wczorajsza poczta i nie mogę ochłonąć z nadmiaru wzruszenia. A więc Jadwiga szukała mnie w Stalingradzie! Nie, to chyba pomyłka, ale jaka szkoda. Znowu jakiś chochlik wlaźł w drogę. Coraz jaśniej widzę, że droga do mnie zastawiona przez jakieś tajemnicze dobre czy złe moce. Do Georgia napisałem: "widerwästige Macht". Jeśli chodzi o tego Kazacha z agronomii wygląda to zbyt patetycznie, ale on jest tylko ogniwem w łańcuchu. I jak to długo będzie trwać? Hela pisze, że Antoni robił jakąś dobrą nadzieję, nie wiadomo na czym opartą. To samo lubi powtarzać Roman - ale mi się zdaje, że więcej realizmu wykazuje Józia, która pisze po prostu: tyle lat ... A potem to frapujące pytanie: za co? Ja już go nie stawiam. Wiem, że w ich rozumowaniu było za co i to właśnie podtrzymuje siły ducha. Bo ciało słabnie coraz bardziej, jak zwykle bywało w beczynności.

Miałem rozmowę z dyrektorem, z czego właściwie mam żyć i jak? On właściwie też nie wie. Ale coś mruknął wrogo /380/ czego nie zrozumiałem.

Kurt - tak kazał się nazywać ten Mikołaj mój lokator - wyjechał w gwałtownym tempie. Ledwie miałem czas dać pismo do Rydwanieckich i żony w Rużajewce. Zostawił mi w podarku koc, a czapkę zapom-

niał. Byłem z nią na aerodromie, ale samolot ruszył. Też zostanie mi pamiątka. Czemu mi tak teraz ciężko? Może dlatego, że mój drugi sąsiad z Mińska wyjechał na urlop całomiesięczny? a mnie kiedy puszcza?

Sw.Michale Archaniele broń nas w walce! Już dzisiaj chronię się pod potężne skrzydła Niebieskiego Księcia. Pierwsze nieszpory odśpiewałem na polach, a duchem przenoszę się na Skałkę. Coś niewyraźnie przypomina mi się kazanie ks.Machaya. Ciekawe, że właśnie dziś przyjechała szukać tu pracy Michajłowa, której mąż Michał spalił się dwa miesiące temu na motocyklu, a ona jutro obchodzi urodziny. Gdyby była wierząca uważałbym to za zbieg okoliczności, ale nic o tym nie wiem.

/381/ 29.IX. Jednak zapomniałem jej powinszować, choć przyszła i wyprawiłem ją samolotem z listem do rejonu. Po co ja tym ludziom głowę zawracam? Zresztą ta prośba o zaświadczenie lekarskie nie ma najmniejszego sensu - jest tylko dowodem mojego niepokoju.

Jestem prawie zadowolony, że dzisiaj poczty nie było. Tyle czeka nie załatwionej korespondencji. Przede wszystkim do Sławianki. Choć tam nigdy nie byłem, przysłali mi paczkę z listem jakże rozkosznie rozpoczętym: Kełoń sai Jezus Kristus. Ktośby myślał, że to co najmniej esperanto albo język Hotentotów. A to zrobiła mi niespodziankę Paulina, żona owego Antona, który umierając śpiewał. Jest to fakt tak niezwykły, że nie wstydzę się go powtarzać przy każdej sposobności. W rejonie jest też staruszka Doepperschmidt, której brat Antoni umarł, a miał żonę Paulinę. Wszystko się zgadze - myślałem, że to jedna rodzina. Tymczasem nie mają ze sobą nic wspólnego. Tamta Paulina żyje w Karagandzie, podczas /382/ gdy moja dobrodziejka w Słowiance Syr-Darskiej obł.

Czeka też Astrachanka z Anną na czele. Jej mąż nawet nie chciał mnie widzieć, a ona prawie płakała. Zresztą wspomnienia ciekawe i różnorodne wymagają osobnej karty.

Wreszcie - Rychalsk. Może dzisiaj poszli na odpust do Michałówki. Nie! tam Aniołów Stróżów w niedzielę. Ks.Koziński gotów mi odstąpić tę parafię /pisze Roman/. Co za wspaniałomyślność.

Mam też ochotę napisać do Akt. ale na to wszystko nie wystarczy nocy. A jeszcze trzeba na chwilę przenieść się do Portiunkuli. Przy nowennie szukam porównania z życiem pierwszych braci - i trudno mi znaleźć. Bo próbuj tu w sowchozie żyć z užebranej jałmużny lub

z pracy, kiedy jej nie dają. A z drugiej strony ta absolutna samotność - chyba oni byli szczęśliwsi żyjąc zawsze razem.

30.IX. Przedziwna rozmowa św.Hieronima z Dzieciątkiem Jezus przypomniła mi się spontanicznie po Komunii św. Jezus żądał ofiary. Cóż Ci dam? /383/ pytał starzec, czy moje umartwienia, posty, nieśpania? Nie, daj mi swoje grzechy, abym je zniszczył.

I ja też pytam, cóż Ci dam, o Jezu? Czy to wygnanie, samotność, ucisk serca? Czy moje niedołęstwa, roztargnienia, rozproszone myśli? Zdaje mi się, że się ze mną dzieje podobnie jak z tym chlebem, który zastałem po owej wizycie z Szort/andy/. Był biały, słodki, prawie świeży. Po kilku dniach zaczął pleśnieć od zewnątrz, a teraz nleśń wżarła się do wnętrza i niszczy sam miąższ. Już dwa miesiące minęło od widzenia się z Georgiem raczej Juryjem w Dz.K.Jak to długo jeszcze trwać będzie to pleśnienie. Na Antoniego też nie można liczyć. Weź, o Jezu, moje grzechy i zniszcz.

Dziś od rana myślę o tym chłopcu z Małego Hołoska /Janek czy Franek, już nie pamiętam chyba Lonia/, który wstąpił do nowicjatu, kiedy ja już byłem po święceniach - a teraz jest prowincjałem. Zazdrość? Gdzież tam! Patrzą tylko ze zdziwieniem na ten ogromny szlak drogi, który przebyliśmy on i ja w tak różnych kierunkach. /384/ Stosunkowo niedawno - pewnie dwa lata temu była u niego p. Józia. Prosił, żeby odszukać jego rodzinny grób na hołoszczańskim cmentarzu, ale nie odnalazłem, choć chodziłem długo. /Teraz i nasza mogiłka będzie zaniedbana, chyba, że Zosia i Sawkowie będą doglądać/.

Wyobrażam sobie nasze ewentualne powitanie w Krakowie lub Rozwadowie. Łoże mieć pretensje, że go nie posłuchałem, kiedy polecał powrót. Uważałem, że jest to polecenie nie nakaz, bo w tym sensie napisał pewnie w porozumieniu z Nim Albin: jeśli uważasz, że jesteś konieczny lub pożyteczny" ... Teraz nie jestem ni jednym ni drugim, ale wtedy myślało się inaczej i przeżyło jeszcze rok. Dziś Hieronim rozjeżdża maszynę /o tempora!/ angażuje Marysię do obuczania nowicjuszków /też to trochę dziwne w stosunku do przeszłości/, a ja chodzę po arszatyńskich wzgórzach. "Dziwne sprawy Pańskie".

Druga dzisiejsza wycieczka w przeszłość: do św.Antoniego na Łyczaków. Tam był też Hieronim, nawet za przykładem Patrona zatopiony w Piśmie św. /385/ Tylko, że zamiast do Betlejem trafił do -

Norylska zresztą nie na długo. Jego dzieje są dowodem zmienności losu. Proces był głośny w całym Lwowie i "Zapadnej" - wyrok surowy a jednak obecnie już na dalekim Zachodzie pracuje i niepokoi. "Tempora mutantur", ale czy na tym można budować nadzieję? Ze wzruszeniem czytam dzisiejszy psalm: "Izbudź potęgę swoją a przyjdź, abyś nas zbawił".

"Boże okaż łagodne oblicze, abyśmy byli wolni,
Cto karmisz nas chlebem łzawym, poisz obficie płaczem,
Staliśmy się pośmiewiskiem - szydzą z nas nieprzyjaciele".

A dalej wspomnienie, jak to było dawniej błogo, kiedy winnica rozrastała się pięknie od Jordanu aż do morza, a teraz -
"czemu zburzyłeś jej płoty i dzikie świnie ją pustoszą?"
"Boże zastępów powróć, spojrzuj z nieba i osłoń winnicę swoją".

I naraz jakiś zwrot osobisty: "wyciągnij rękę nad mężem prawicy swojej, nad synem człowieczym, którego umocniłeś sobie". Niewątpliwie jest tu odgłos mesjański, ale czy tej prośby o wyzwolenie nie może powtarzać zwykły śmiertelnik? "Okaż łaskawe oblicze" /386/ i "zbaw nas".

1.X. "Radowali się, że mogli zelżywość cierpieć". Te słowa jeszcze w czerwcu napisał mi o.Świątek pragnąc mnie pocieszyć, a dzisiaj znalazłem je znowu w "Naśladowaniu". Ale mnie trudno się cieszyć. Kimowoli zjawia się natrętna myśl, z pewnością nic nie uzasadniająca, ale budząca niepokój: wszakże Oni byli razem, krzepili się nawzajem i umacniali - a tu ta hermetyczna samotność, która jeszcze się wzmaga, bo wszędzie widzi się obce twarze albo zgoła pustki. Bywają dni, że ani jednego słowa nie ma do kogo przemówić. Wtedy jedyną pociechą przenosić się w przeszłość, przypomnieć drogie twarze, rozmowy, przeżycia, albo lepiej jeszcze - uświadomić sobie, że i teraz tam gdzieś daleko bracia wspominają, modlą się, niektórzy współczują.

W kalendarzu Remigiusz następuje po Hieronimie, ale w naszej Prowincji było odwrotnie. Remigiusz wyprzedził w prowincjalstwie Hieronima na kilka lat poprzez Alojzego. Wysoki, postawny, powściągliwy w mowie miał, w sobie jeszcze jako kleryk coś zagadkowego. Zawsze miałem wrażenie, /387/ że czegoś nie domówił. Nie pamiętam doprawdy, czy został wyświęcony przede mną czy po mnie - w każdym razie był starszy na rok czy dwa. Potem był związany z Ostrogiem

i właściwie to jest najważniejsze w moich wspomnieniach. Choć wtedy nie miałem z nim styczności.

Jadwiga opowiadała niemal z uwielbieniem o bohaterskiej obronie klasztoru i miasta zorganizowanej przez ks.Kranca. Potem powędrował na Wschód - a stamtąd po latach do Polski, o Ostróg już nie zawadził, ale dziś w dniu jego imienin moje myśli kierują się do grodu Halszki.

Ostróg był ostatnią pozycją jaką zdobyliśmy po wojnie. Już dwa lata przeszły, jak po Zdołbunowie ożywił się Korzec i Dubno, nawet Sarny miały, mimo ciężkich warunków regularne nabożeństwa, a z Ostroga nikt się nie dowiadywał. Czasem tylko ktoś przyjechał z Orenina lub Sławuty - wiedzieliśmy więc, że kościół jest zajęty na skład zboża, ale jak go odzyskać i czy jest, ktoby się tym zajął? Wołoszkiewicz chętnie dał pozwolenie i sam zachęcał, aby tam /388/ pojechać. Pewnego - zdaje się jesiennego dnia - wybraliśmy się z jakąś młodą, bliżej mi nie znaną kobietą, która udawała się w tamte strony. Miasteczko w gruzach, przedstawiało smutny widok, ale kościół był cały, choć obdarty miejscami z tynku i zamknięty prowizorycznymi z desek zbitymi drzwiami. Trzeba było odszukać wiernych. I oto ktoś przypadkiem wskazał mieszkanie Jadwigi Pieńkowskiej. Wybór był trafny, a raczej nie było wyboru, bo była to właściwie jedyna osoba, na której współpracę można było liczyć. Pamiętam jej wzruszenie, kiedy powiedziałem z czym przybyłem. Jej wielkie czarne oczy rozszerzyły i rozbłysły zapałem. Opowiadała mi co przeżyli kiedy zabrali ks.Kranca. Jaki ból, smutek, żal, kiedy Polacy masowo wyjeżdżali. Ona pozostała na rubieżach bronić i trwać. Miała jakieś widzenia, przecucia. I oto ... Ustaliliśmy program kampanii, bo trzeba było zbierać podpisy, walczyć z miejscową władzą, a więcej jeszcze z marazmem i inercją, która opanowała garstkę pozostałych wiernych. Jadwiga zabrała się z zapałem /389/ do pracy. Nawoływała, prosiła, biegała po okolicznych wioskach i w rezultacie zebrała ponad 500 podpisów, co nawet nie było potrzebne do odzyskania kościoła. Powoli zaczęła się udzielać entuzjazm i innym. Trzeba było przystąpić do uporządkowania świątyni. Kiedy przyszliśmy tam po raz pierwszy, w nawach było jeszcze zboże. Kiedy je usunięto, ściany okazały się w opłakanym stanie ale ołtarze były zachowane dostatecznie, tylko w wielkim ołtarzu brakło krucyfiks, a piękna alabastrowa statua z grobu znajdowała się w muzeum. Taki sam los

czekał też białą Madonnę w przeciwległej kaplicy, ale uratował ją może ciężar i trudność przeniesienia. Nie było też ławek, które zabrano gdzieś do jakiegoś użytku, ale nie bardzo o nie zabiegaliśmy, bo kiedy zaczęły się nabożeństwa, w niewielkim stosunkowo kościele lud nie mógł się pomieścić. Kiedy odprawialiśmy po raz pierwszy, dziś już nie pamiętam. Może to było na Wniebowzięcie, jako w dzień odpustowy. Całą historię tych wzruszających lat, miesięcy i dni mogłaby opowiedzieć chyba ona, która z każdego nabożeństwa musiała zdawać sprawę przed różnymi czynnikami. Bo wrogie moce musiały /390/ mieć wgląd w każdą sprawę. Niemniej życie jednak zaczęło się rozwijać. Na każde nabożeństwo ściągali ludzie z bliższych i dalszych wiosek jak na odpust z Chałma, Szelca, Bielatyna i dalej od Krzywina i Sławuty. Przywozili setki dzieci do chrztu i pierwszej spowiedzi. Trzeba było na prędcie przygotowywać i pouczać nieraz do późnej nocy. Przy większych zjazdach cały plac przykościelny był obstawiony podwojami. Z dalszych stron przybywały maszyny.

Szczególnie uroczysto odprawialiśmy śluby zawsze przy Mszy św. z błogosławieństwem. Wielu prawosławnych przechodziło na katolicyzm. Raz zgłosiła się para, w której on nie był odpowiednio przygotowany do wyznania katolickiej wiary. Odebrałem tylko przysięgę jako przy małżeństwie mieszanym bez błogosławieństwa i obrzędów. Ale im to nie wystarczyło. Zaraz za drugim razem zjawił się znowu ten barczysty szofer i oświadczył obcesowo: ja chcę być katolikiem. Pamiętam też chłopczyka o śniadej twarzyczce, który przyszedł sam i powiedział: ja Koreańczyk, ale chcę być ochrzczony. Nazywał się Li.

Raz w drodze jadąc autobusem czy /391/ przygodną maszyną na Czenin rozmawiałem z prawosławną batuszką z Rozważa. Znalismy się już przedtem z Korca, więc rozmowa była serdeczna. "Ojciec będzie miał dużą zasługę, że pozostał" - powiedział. "Wtedy odrzekłem, że zasługi P.Bóg będzie odmierzał nie wiadomo komu większe, czy tym co wyjechali, czy mnie żem pozostał. A on po chwili z namaszczeniem: jednak tak myślę, że kościół katolicki, to potęga i zacytował: "bramy piekielne nie przemogą go".

Ta potęga rosła w naszych oczach. Lud, który powrócił w swoje rodzinne strony i na miejscu zniszczonych wiosek budował nowe chaty odnawiał też dawny obyczaj.

2.X. Wczoraj był mroźny deszcz, a dzisiaj rano już bielił się dobry mróz. Czuję go już w nocy nie mogąc spać. Jak bardzo jestem niewytrzymały i nieumartwiony. Właśnie wczoraj czytałem, jak św. Franciszek dla zwyciężenia pokusy chodził nago po śniegu i lepił kukły. Trudno zrozumieć. Zdaje mi się, że i do tego możnaby odnieść słowa dzisiejszej ewangelii: "dał taką moc ludziom" co wyraża też modlitwa: Kiech miło- /392/ sierzdzie Twoje kieruje nasze serca, bo bez Ciebie nie możemy się Tobie podobać. Wszystko jest łaską Bożą i dlatego z św. Pawłem "trzeba dziękować, żeśmy zostali z Chrystusem ubogaceni ... i na żadnej łasce nam nie zbywa". Dla mnie chyba największą łaską jest, że choć się czuję niezdolnym do umartwień, przecież jakiś krzyżyk P. Bóg sam wybiera i delikatnie kładzie mi na ramiona, dlatego powtarzam codziennie szczerze: cokolwiek na mnie ześlesz, wszystko to z rąk Twoich ochotnie przyjmę. A więc nie trzeba skarżyć się na zimno. Zresztą teraz mróz znika i południowe słońce zaczyna dyskretnie przygrzewać. Tak, to już południe, ale tam zaledwie rozpoczęły się ranne nabożeństwa. Rozbrzmiewają godzinki. "Zawitaj ranna Jutrzenko", a potem różaniec - uroczyściej jak zwykle, bo to przecież dziś pierwsza niedziela października - Święto Różańcowe.

Na Zamarstynowie odprawiała się procesja jak w Boże Ciało. Ołtarze były u Walczaka, Sawki, Wojnarowicza i już nie wiem gdzie, może u Smereki? Jesienne święto miało równie wielki urok jak letnie - tylko śpiewano inne /393/ ewangelie i bractwa różańcowe były licznie ze świecami.

W Równem próbowaliśmy to imitować na mniejszą skalę. Procesja odbywała się w kościele.

3.X. Czy to Ty, "Mała Święta", uprosiłaś mi to wszystko. Wiedziałem, że mnie wysłuchasz. Najpierw Sasza dał mi drugą przepustkę przy czym był i ten agronom i jakiś niby dyrektor. Czyżby tamtego zmienili. Nie było mowy o żadnych moich "przestępstwach". Potem przyleciała Władzia z Choptyńską. Trochę się spodziewałem, ale zawsze radość ogromna i pokój, który na nowo wstąpił w skołataną duszę. Teraz jesteśmy razem.

10.X. Upłynął tydzień obfity w zdarzenia - a tak różnorodne, że przypominają się Norwidowe "Czarne i białe kwiaty", albo to co Morstinowa przepisała z Michała Anioła, że szczęście spleta się ściśle z tym co nazywamy nieszczęściem, a granica pomiędzy nimi

jest płynna. /Szkoda, że nie odpisałem tego/. Teraz książka pojechała już do Władysława.

Zaczął się spotkaniem Emmy na aerodromie. Zrobiło mi się dziwnie, kiedy niespodzianie ukazała się w /394/ otworze samolotu obwiązana białą chustką napół żywa głowa. Trzeba było szybko zdecydować co robić. Wracać nie mogliśmy. Emma pojechała z powrotem. Potem byliśmy z św. Teresą w Arykty. Mimo, że przyjechaliśmy niespodzianie - bezpośrednio z samolotu autobusem, wierna gromadka stawiała się prawie w komplecie. Była nawet Melita z Ireną.

Wtorek był też jasny, mimo, że nasza franciszkańska familia razem ze mną liczyła pięć osób. Czytałem po niemiecku regułę. Kto wie, czy się coś nie rozbudzi: "Wszakże duch wieje, kędy chce". Byłem niezmiernie wdzięczny, że nie musiałem odprawiać sam. Rano nasz dzień zaduszny rozpoczęliśmy wcześniej, bo chciałem być w Kambidałku. Mozolnie ułożyłem plany, żeby wykorzystać możliwie najlepiej krótko dany mi czas, zwłaszcza Pierwszy Piątek; już naprzód się cieszyłem, że w nocy będę w Arykty, rano w Kambidałku, a może jeszcze uda się - jeżeli samolot przyjdzie na czas, zatrzymać się z godzinę w rejonie. Tymczasem /395/ wszystko to przekreśliła fatalna "otmietka" komendanta. Co go skłoniło, że nakazał natychmiastowy wyjazd z Arykty? Jakakolwiek była przyczyna, ryzykować już nie można było. Do rejonu jechaliśmy już razem z Anną D. i Józią z Kalinówki. Przypomniała się Taincza. U Dept. było jak zwykle z dodatkiem gości. Jeszcze raz wspomniałem zmarłych braci. Ania z Józią odjechały rano, a po południu przyjechał Georg - raczej dwóch, Teresa i Katia. Od razu rozproszyły się wszystkie smutki. Mszę św. Różańcową poprzedziliśmy różańcem. Potem Katia z Teresą odjechały a Georg odprowadził mnie na samolot. Tak się przedstawia szkielec zdarzeń, które należałoby wypełnić czymś w rodzaju refleksji czy rozważań, ale do tego dziś nie jestem zdolny. Może dlatego, że mnie boli głowa i przypominam sobie ranną rozmowę w kantorze. Dyrektor był w futrze i w czapce - podobnie też otaczające go grono sowchoznych /396/ dygnitarzy. Zima doskonale usprawiedliwia brak etykiety. Miałem się przekonać, że zamraża też ludzkie współczucie. Podałem dyrektorowi wynik badania: bronchit, wada serca, emfozema płuc, ropny

Rzucił okiem, ale nie bardzo pewnie się zorientował. Zaczął z góry, że nie pracuję: niby dawał to i owo - a ja wszystko odrzucałem - chciałem na Kazachstanie zakładać seminaria duchowne,

a oto jest przykaz: pracować - a więc stróżem i to nocnym - a jeżeli kilogram przepadnie - to pokazał na szyi. Satelici skwapliwie aprobowali, zwłaszcza ten agronom. Na moją replikę, że pracowałem bezpłatnie znalazła się wymówka, żeby przynieść sprawkę.

Emma była kwaśno-gorzka. Może dlatego, że wkrótce będzie "w dekrecie". Do zastrzyków nie ma nowokainy.

U Karambaja jest nowokaina, ale on w urlopie. Na szczęście zjawia się niespodzianie. Jest też uprzedzony, jak oni wszyscy, ale diagnozę studiuje uważnie raz i drugi. Myśli /397/ długo. "Gdyby była choroba niebezpieczna, musieliby zwolnić do domu". Pierwszy raz to słyszę. Mówię, że wczoraj był krwotok i jeśli pójdę na noc, to nie będzie sprzyjało leczeniu. To idźcie odpoczywać. Obiecał mówić z dyrektorem. Ach, przedtem jeszcze była mowa o "starusze". Był zdumiony, że u mnie takiej nie ma.

11.X. Frania nie szczędzi epitetów do męczennika włącznie. Swoją drogą to pierwsze powinszowanie jest miłe. Ciekawym, czy jeszcze kto będzie pamiętał o Serafinie? Jaworska здаje się nic o Nim nie wiedzieć, choć należy też do naszej Rodziny. Za to alarmuje Połonne i razem płaczą.

Mnie też łzy same napływają do oczu, kiedy po Komunii św. myślę, że On jest ze mną! Nawet trudno mi zdobyć się na słowa.

Dziś rocznica poświęcenia kościoła w Horodnicy. Czy nie 25 lat upłynęło od tego czasu? Pamiętam tylko datę kalendarzową. Lata jakby nie istniały. Tak wszystko dziwnie się przybliża. A jednak tamtych ludzi już nie ma./398/ na świecie. Chmielnicka z Anastazówki, Bagińska, panie z Korca. Pewnie już i celebry zabrakłoby. Bo gdzie jest ks. Dziekan Pająk i Rafał Godziński? Miałbym ochotę dowiedzieć się, czy jeszcze żyją.

12.X. Exsili mei vias tu notasti, Ps 55 Drogi wygnania. Dziś czuję się rzeczywiście wygnańcem. Nie dlatego, że nie było żadnego listu. Może nawet i był, ale nie bardzo chciałem dzień po dniu dopypywać się na pocztę, zresztą nie wiadomo kiedy samolot przychodzi.

Cały dzień myślę o podaniu, które mam zamiar znowu napisać do Moskwy, ale już imiennie do Przedcedatela Sowietu po deklam religii Kurojedowa Władimira Aleksiejewicza w związku z jego wypowiedziami

w "Izwiestiach". Zupełna słusność jest w tym, że prawa odnoszące się do spraw religijnych nie były konkretne. Ja np. dotychczas nie wiem za co mi odebrano prawa. /399/ Dalej: sprawa dyskryminacji - nie dawali pracy, odmawiali przepisami, przymuszają do pracy bez względu na stan zdrowia.

Wreszcie, czy Republika Kazachstańska w odniesieniu do religii rządzi się tymi samymi prawami?

14.K. Był-li to sen? Wczoraj niespodzianie zjawiała się Barbara. Była objuczona nadludzkim багаżem, toteż zwróciła na siebie uwagę tego Kazacha, który okazuje się jakimś złym aniołem stróżem. Przyszedł nie wiadomo po co, popatrzył i poszedł. Teraz już nie mam wątpliwości co do jego funkcji.

Barbara zaraz zabrała się do porządków: przede wszystkim polepiła piec, wymyła podłogę - naważyła kaszy - całkiem dosłownie. Obawiam się, żeby nie było tego też w przenośni, bo nie grzeszy roztropnością, a ma przyjechać jeszcze z Antonim. Przewymyślała sobie, że zostawiła swoje książki i okulary. Teraz wszystko mi ją przypomina - i zaprasza bielizna /400/ i mnóstwo zostawionych specjałów i to aż nawet zbyt ciepło. I jeszcze jedno - zostawiła mi fotografię o. Franciszka, który okazuje mi zbyt wiele współczucia. Właśnie dzisiaj przyszła od niego paczka, a na wierzchu sweter zostawiony w Grodnie. Powoli wracają do mnie rozrzucone rzeczy. Gdyby wszystko pościągać, byłby niemały magazyn. Ale nie myślę o tym. Wszystko mi ciąży i właściwie szczerze się cieszyłem, kiedy w Równem przepadły mi wszystkie rzeczy. Teraz znowu jestem obarczony i nie można wytłumaczyć miłującym duszom, że już tego dość. Zaczynam gubić się w drobnostkach i szukać wygód. A za ścianą nocują jacyś czarni brodacze z pewnością nie w takim konforcie jak u mnie. A św. Franciszek nie mógł znieść biedniejszych od siebie.

15.K. Jakiś pech mnie prześladowuje. Trzeba było, żebym objuczony trzema paczkami spotkał się w drzwiach /401/ z tą antypatyczną figurą. Nie omieszkał wyrazić swojego zdziwienia: tak mój? Rzeczywiście trochę za wiele, ale co ja na to poradzę? - i to z różnych stron: jeszcze jedna z Wilna od Zofii i z Akt. Nie miałem czasu jeszcze rozpakować, kiedy przypytał się pijaniusieńki mój kolega szewc i koczegar w jednej osobie. Dałem mu trochę jabłek.

Dyrektor ma mnie widocznie już dość, bo nie chce nawet ze mną rozmawiać. Poleciał mnie jakimś satelicie - podobno agronomowi, żeby się krótko załatwił. Ten byłby widocznie rad, gdybym wynawiał się od pracy. Chcą mnie się widocznie pozbyć. Kiedy oświadczyłem, że będę pracował, kiedy się wyleczę, odesłał mnie z powrotem do dyrektora. Teraz wziął mnie ten mały czarny, który mnie spotkał w rejonie na aerodromie. Zapytał czego żądam od sowchoza. Pytanie mnie zaskoczyło; powiedziałem /402/ że nie mam do nich pretensji, tylko niech dadzą się leczyć. Nie wiem co z tego wyniknie, bo odłożył do poniedziałku.

Wieczorem przyszedł jakiś nieznaną z inteligencka ubrany osobnik zobaczyć jak żyję. Zaczynają się interesować.

Tymczasem w Żanteke czekali na nabożeństwo za Klemensa. To pewnie już druga rocznica od tej nocy, którą spędziliśmy przy zwłokach młodego szofera - jednej z nie zapomnianych nocy.

23.X. Zima przyszła prawie niespodzianie i od kilku dni moje okna są pokryte prześlicznym deseniem. Aż szkoda, że ta ornamentyka znika pod wpływem słońca, które dziś już uśmiecha się dobrotliwie, jakby przeprosza za tę parę przykrych dni, któreśmy przeżyli: najpierw była wichura, że trudno było wyjść za próg - potem jakaś pluta - deszcz ze śniegiem, wreszcie mróz. Ja o to wszystko mało dbałem, bo wróciła Barbara. Przyje- /403/ chała w niedzielę i chyba sam P. Bóg jej nie puszcza cały tydzień, bo nie ma samolotu. Codzień wychodzimy na aeroport w różnych porach, a jego jak nie było tak nie ma. Podobno gdzieś w drodze silne burze. Tymczasem moje mieszkanko zmieniło ponury wygląd. Barbara napracowała się solidnie: pobieliła ściany, pozalepiała dziury przez które myszy miały wygodny spacer, postawiliśmy drugie łóżko, skleciło się stół. Teraz nie wiem, jak się obejść bez niej albo innej gospodyni. Ale kto tu zechce przyjechać. Arszański w zimie przedstawia prawdziwe więzienie. Już drugi tydzień nie mamy poczty, ani żadnej wiadomości ze świata. Moje podania do Moskwy wciąż leżą u Barbary w węzełku. Do Kurojedowa pisałem mozolnie prawie cały tydzień. Obawiam się, że nie będzie miał cierpliwości czytać tak obszernej gryzmoły, choć mu trochę podkadziłem. Do pro- /404/ kuratora sporządzono maszynopis, ale trzeba dopisać, czy też cały przepisać. Znowu zejdzie parę miesięcy.

Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

25.X. Już trzeci dzień jestem znowu sam pogrążony w swoich myślach i w dolce far niente. W niedzielę nie wychodziłem już do samolotu, bo byłem dziwnie ociężały. Na poczcie było pełno ludzi. Nic dziwnego, każdy czekał niecierpliwie, kiedy wreszcie co przyjdzie. Ja znalazłem Stalową i Białyrostok, a w poniedziałek odebrałem paczkę od Mroczkowej. Właściwie posyłkę fundowała Maria. Zaraz im odpisałem, bo nie spodziewałem się, że i oni będą pamiętali. Nina przysłała swoje zdjęcie z reperkusją. Co za skomplikowana machina. Jak to na tym grać. A ona robi sukcesy. Dziwi się, że się nie załamuję. Skąd wie? Może już jestem załamany? Mam jakies uziwne wrażenie, że wokół mnie nic się nie dzieje. Ludzie chodzą, siedzą, /405/ pracują jak manekiny. Nawet księżyc dzisiaj jakiś mizerny.

Byłem w buchalterii, bo mi kazali zgłosić się po tę "zapłatę" za dwa tygodnie w piekarni. Odsyłał mnie jeden do drugiego - wreszcie stanęło na tym, że na sprawie brak pieczęci. Czuję, że będą jeszcze inne braki i wołę już nie chodzić. Tak mnie to wszystko męczy. Maryska dobrze przeczuwała, że mi się kulinarna sztuka nie wlezie. Wczoraj kasza przypaliła się do szczytu. Stanowczo się do tego nie nadaję, ale do stołówki już nie chodzę.

29.X. Znowu pewnie niebieskiej interwencji zawdzięczam, że wszystko poszło jak z płatka. Dyrektor był nawet grzeczny, agronom przynajmniej obojętny. W oddziale kadrow dali mi sprawkę i jadę. Mam szalony katar i w uszach szumi, ale to nic nie znaczy. Wczoraj Iglatowska przysłała nową serię wiktuałów i życzenia abym podtrzymywał zdrowie, bo się wszyscy martwią. Z Dubna przyszła elegancka bielizna. Na co mi to wszystko.

/406/ 1.XI. "Gaudeamus diem festum celebrantes". W Arykty było nas wraz ze mną tylko jedenaścioro i to jeszcze z Katią, która już mnie oczekiwała. A jednak była radość, bo nie trzeba było zwracać się do głuchych ścian. Teraz cieszę się choćby i jedną asystującą duszą i obojętne mi jest do kogo przemawiam. Rozumię trochę pod tym względem sw. Franciszka, który z równym zapałem głosił kazania do jednostek jak i do tłumów. Ale chodzi o ten zapał, a u mnie jest jak w arszatyńskiej izdebce - zamiast ciepła "dym". Dzisiaj jednak z wielkim wzruszeniem czytam słowa: "Szczęśliwi jesteście, kiedy was przesładować będą". Sasza niepokoi się pewnie,

że im uciekłem i nie żałowałem drogi do Arykty, a w tym samym czasie myśmy spokojnie odprawiali w Z.T.K. Czy nie cudowne? Albo dziś ta niespodziana maszyna, która się wzięła nie wiadomo skąd, kiedy wszyscy inni napróżno oczekiwali autobusu. Wszędzie ta dobra Ręka, która wszystkim mądrze kieruje. Berichowie - choć luteranie zgodzili się mnie przyjąć na czas leczenia.

/407/ 4.XI. Czy można nie cieszyć się ze zdrowia? A jednak ... Wczoraj doktorka - internistka ledwie spojrzawszy na wynik analizy oświadczyła, że nic mi nie jest. Powiedziane to było tak szybko i zdecydowanie, że od razu wzbudziło się podejrzenie: albo poprzednia diagnoza i receptura była mylna - albo nastąpiło cudowne wyzdrowienie bez lekarstw i zastrzyków, w co ja mogę uwierzyć ale oni nie - albo też ... I ta trzecia ewentualność nie daje mi spokoju. Jeśli już i lekarze są zwerbowani, to po ludzku sądząc odpada wszelka możliwość leczenia, a co za tym idzie wyjazdu z sowchozu. Tym goręcej trzeba dziękować P.Bogu za to co nam daje - za Święta, Zaduszki i dzisiejszy Pierwszy Piątek. U Dep. nie ma światła - trochę ponuro - ale i wieczór i rano odprawialiśmy jak można uroczystości. Potem byliśmy na cmentarzu. Przy kawalerskim mrozie obchodziliśmy groby. Wieczorem u Maja były dwie Msze św. Na sam początek zjawiły się niespodzianie Miła /408/ i Helena. Co za niespodziana radość - zwłaszcza że przywiozły cały worek wiadomości. Maria była w M-wie z świadectwem mojej choroby wystawionym w Tainczy. Potraktowano to jak igraszkę. Nie mam co liczyć na pomoc z tamtej strony. Kaplicy ni obszczyny nie rejestrują. Trudno zrobić początek - wierni jednak nie ustępują. Grożą że pójdą się modlić do rajispołkoma. Antoni podobno zarejestrowany we Frunze, ale to już nie Kazachstan.

We środę przyjechała Ania B., a dziś rano był też Georgij. Razem z Tainczą była więc czwórka tercjarzy. Przy nich czuję się jak w rodzinie. Georg już pojechał, ale może przyjedzie wieczór Róża. Jutro się rozjeżdżamy nie wiadomo na jak długo. Już teraz czuję gorycz pożegnania.

5.XI. Aleksander zrobił nam miłą niespodziankę swoją pierwszą spowiedzią. Był nawet nieźle usposobiony - ale u mężczyzn wciąż małe zrozumienie dla częstej Komunii św. Nie wiem jak do nich /409/ przemówić. Tym więcej byłem zdumiony, że chłopak przyszedł także dziś rano, choć odprawialiśmy wcześniej. Ania i Emma spieszyły do autobusu. Zawsze jestem wzruszony, kiedy im daję na drogę Jezusa.

Potem czekaliśmy parę godzin na samolot i nie przyszedł. Jutro też podobno nie będzie i może też przez całe październikowe święto. A potem - Nie, nie chcę myśleć, że będę znowu sam. Wstydzę się po prostu swojego mazgajstwa, a jednak tak mi jakoś ciężko. Berichowie dobrzy ludzie - zgodzili się nawet, żeby u nich była Msza św. W mieszkaniu jest Najśw. Serce Marii. Co na to powiedziałyby Luter? 13.XI. Msza św. odprawiała się rano. Oboje gospodarze modlili się razem klęcząco. Potem Taincza odjechała z P. Jezusem. Zawsze ten Najświętszy Łącznik Pasterz z owieczkami. Mimo mylnej informacji samolot jednak był, ale powiedziano mi to już po odejściu. Następny pójdzie dopiero 9⁰⁰ a /410/ więc jeszcze czas na wędrowkę po magazynach i bezmyślną włączkę nad rzeką. W czasie poobiedniej drzemki przyjechał Bruno z pijanym kuzynem z Karagandy. Wieczorem byliśmy u wdowy po Weingarcie. Aleksander okazał się gorliwym apostołem - zaraz wybrał się zwoływać wiernych, ale jego młodszy brat jedenastoletni Mikołaj powtarza czego nauczone go w szkole, że nie ma duszy. Trudny, spaczony typ. Rano odprawialiśmy za zmarłego tragicznie ojca. Tymczasem spadł śnieg, popsuky się urogi i była wątpliwość, czy Bruno pojedzie. Przy tym nie bardzo miał ochotę mnie zabrać, bo jechał i ten stałe pijany kuzyn, ale jednak wybraliśmy się i w niespełna cztery godziny sprawnej jazdy byliśmy na miejscu. Wszystko odbyło się nadzwyczaj odpowiednio, bo w ciemności nikt nie widział z jak wielkim bagażem przyjechaliśmy. Jestem po prostu przytkoczony nadmiarem produktów, a do tego jeszcze /411/ ta kura od Ani B. Co ja z tym pocznę, kiedy nie ma komu porozdawać. Dobrze to śpiewać: "jak się kura ugotuje, zjemy po kawałku". Ale tu trzeba zjeść samemu całą.

Ale dziś już koniec z kłopotami i wszystko to wygląda śmiesznie głupio: i ta kasza z mlekiem, które wykopiało roznosząc swąd na całą ulicę i ta kura, która cały tydzień przeleżała jakby na witrynie wystawowej na oknie i ta ława porąbana dla zgotowania obiadu.

Dziś przypomina się dewiza św. Stanisława: "do większych rzeczy jestem stworzony".

Jestem prawie zadowolony, że to jego święto wypadło w niedzielę i liturgia milczy o świętych. Wybawia mnie to od kłopotu z wyborem: Dydak czy Stanisław? Zawsze gorszyłem się, czemu nasz

zakonny kalendarz nie uwzględnia polskich świętych, ale co do św. Stanisława bez skrupułu dawałem mu pierwszeństwo. Nie wiem jak to wygląda liturgicznie, ale czciliśmy Go wszędzie /412/ uroczystie.

Moja znajomość z Stasiem Kostką sięga lat gimnazjalnych i może jeszcze dalej. Niezapomniana była akademia do której Pipek wydelegował mnie z elaboratem na temat życia i znaczenia św. Stanisława. Miałem wtedy oczywiście Badeniego i jeszcze jakiś szkic o lwowskich dziejach św. Stanisława. "Żywot" Badeniego wypożyczył w śmiertelnej chorobie dyrektor Nogaj. Dziś jeszcze widzę tę znaną sarmacką postać, która mi przypomina Winc. Pola. Św. Stanisław przeprowadził go może do wieczności. Moje marzenia o tym, żeby do dwóch Młodzieńców Patronów przyłączyć jeszcze trzeciego w zakonie nie spełniły się, ale pamięć o "stworzonym do większych rzeczy" towarzyszyła mi w latach studiów i jego dewiza znalazła się na pamiątkach prymicyj. Nabożeństwa do "Anioła ziemskiego bez winy" należą do najmilszych duszpasterskich wspomnień. W Dermance rekolekcje dla młodzieży poprzedzające Święto miały następstwa /413/ omal tragiczne, ale pozostały zapewne długo w pamięci tej garstki chłopaków, która przy oktarzu Św. Patrona uczyła się kochać czystość i Polskę. Do Równego przywiozłem statuetkę zachowaną u Sawków z naszego klasztoru. Na Kazachstanie spotkałem niejednokrotnie "Św. Stanisława" X. Augustynika, modlitewnik, który dopomagał rozbudzać cześć dla Patrona młodzieży u rozproszonych wygnańców. Szczególnie uroczystie odprawiała się nowenna w Sz. W pierwszym roku Święto było połączone z I Komunią Świętą kilku młodzieńców.

A dziś? pogoda jest znośna, mróz zelżał, można więc było wybrać się na przechadzkę i przemyśleć wszystko co przeminęło. Przez cały tydzień nie przyszło mi na myśl, że to nowenna - nie mam ni obrazka ni modlitwy. A przecież właśnie na początku nowenny uradował nas Aleksander, a na jego jasnym tle zamajaczył zagadkowy Mikołaj. Młodzież - podwójny problem: zachowywać co szlachetne - ratować co ginie. Napisałem do Tainczy, /414/ żeby modlili się do św. Stanisława.

O Ty Święty nasz Patronie
Marię prosz Niepokalaną,
Niech od złego nam obroni
Naszą młodzież ukochaną.

Przez ściany słychać - śpiewać nie mogę - ale usłysz jęk serca.

16.XI. To przyszło tak niespodzianie, że nie mogłem się nawet zdziwić. Od kilku dni rosło we mnie przekonanie o winie nieposłuszeństwa. Trzeba było natychmiast robić starania o wyjazd. Żadne wymówki nie usprawiedliwiają uporcu. Wszystko stało się próżne i bez treści jak pusty balon, w którym nic nie zostało. Trzeba było Arszałyńska, żeby to zrozumieć. Powtarzałem ze skruczą, to prawda, ale co teraz robić, jak naprawić zło. I oto przyszła odpowiedź: oswobodzenie. Kiedy zawezwano mnie do komendanta, byłem przygotowany na najgorsze: może będzie pytał, czy byłem w Artykty. /415/ Sasza był uroczysty: Pozdrawlaју z oswobodzeniem. Przez moment wyglądało to na drwinę - ale nie - była już przygotowana odpowiednia sprawka i skierowanie do Celinogrodu.

Więc jestem wolny - dziś upływa równo osiem miesięcy.

Kilka dni temu miałem sen w którym było coś podobnego, choć w innych okolicznościach. Wtedy jeszcze we śnie przyszło mi na myśl, żeby to nie był sen. I rzeczywiście z przykrością przebudziłem się do smutnej rzeczywistości. Dziś na przechadzce walczyłem po prostu z myślą, że może to też sen i odruchowo szukałem w kieszeni zbawczego świstka papieru.

21.XI. Ostatnie dni w Arszałyńsku nie były podobne do wszystkich poprzednich. Nie sposób było normalnie myśleć, cóż dopiero coś rozsądnego przedsięwziąć. Przede wszystkim zaczęło się rozdawanie produktów, których /416/ nagromadziło się bez liku. Iwan Iwanowicz dwa razy przychodził z workiem. Mikołaj nie mógł się nadziwić, że go coś podobnego spotyka. Spory worek z pieczywem ucieszył brać z sąsiedniej pałaty, za co nie miałem już kłopotu z opałem.

We czwartek przyjechała niespodzianie Władzia z Barbarą i jeszcze ta gospodyni przysłana z Tainczy, która miała zamiar dzielić moją dolę. Było to wprost opatrznościowe, bo nie wiem, jak dałbym sobie radę z nadmiernym bagażem. Aż wstyd mi było, że wyjeżdżam tak tryumfalnie. Wciąż mi stał przed oczyma skromniutki proboszcz z Ars, który biedny swój węzełek ciągnął na wózku. U nas nie było wózka, ale Barbara z Władzią musiały dwa razy objuczone tobołami wędrować tam i z powrotem na aerodrom. Byłem wzruszony, kiedy opuszczałem swoją izdebkę, w której przeżyło się tyle różnych dni. Teraz wyglądała ona jak porzucona w nieładzie rupie- /417/ ciarnia, bo spie-

szyliśmy się nie wiedząc dokładnie kiedy przyjdzie samolot. Tymczasem czekaliśmy na próżno wyglądając na pogodnym niebie pożądanego ptaszka. Widocznie trzeba było lepiej jeszcze poznać skąd dobra Opatrzność mnie wyprowadza. Pokazało się, że w całym sowchozie już trzy dni nie ma wody. Owa niedoszła gospodyni załamывała ręce: "jak dobrze, że ojciec stąd wyjeżdża". Ale przed nami stanęła młodziutka księżna Elżbieta, którą też wygnano. Właśnie w Jej dniu odlecieliśmy wreszcie szczęśliwie całą piątką, bo na aerodromie zjawiła się jeszcze Maria. Przywiozła do Arsztatyńska pierzynę i jeszcze jakieś prowianty, a teraz musiała to wieźć z powrotem. Ci ludzie już nie wiedzieli, jakie mi stworzyć wygody.

Byłem zdumiony jak się w ciągu tego niespełna roku rozbudował Celinogradzki aeroport i autostrada. Teraz wszystko zdolne człowieka oszołomić. Ale u Kati i Emmy wszystko jak dawniej przed ośmiu mie- /418/ siącami: dzieci, trochę młodzieży, parę przybyłych kobiet. Tylko staruszki z obwiązaną głową wyglądam na próżno. Zdaje mi się, że przyczłapie znowu swoim niezdarnym krokiem i zacznie głośne wyznania: ich arme Sünder ... Nie, od miesiąca już spoczywa zadowolona, że odeszła w sam Pierwszy Piątek dostąpiwszy Obietnicy. Spotkamy się, kiedy "ukaze się znak Syna Człowieczego".

Boże mój! Jak wzruszające to pierwsze nabożeństwo po tylu miesiącach. A jeszcze te słowa intronitu: "ja was wysłucham i wyprowadzę z niewoli" albo św.Pawła: dziękując Bogu "który nas wyrwał z mocy ciemności". Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że moje wyzwolenie nastąpiło w dniu M.B.Ostrobramskiej. Matka Miłosierdzia spogląda na mnie z okterzyka. Dziś przypomnieliśmy sobie Jej dziecięcą służbę w świątyni. Dzieci przyszły przed szkołą, żeby uczcić /419/ trzyletnią Maryjkę ofiarowaną na służbę w świątyni. A jak pięknie śpiewały: Maria, Maria hilf.

Sokołów nie otrzymał jeszcze dokumentów - kazał czekać do pojutra. Jutro św.Cecylii - dalekie echo chóru, młodzieży zebrań u Haneczki już teraz budzi wspomnienia: O "Cecyljo Bogu miła!" 26.XI. "Et ab omni perturbatione securi". Te słowa Kanonu przypominają mi się często w tym tygodniu. Bo czyż to nie prawdziwa perturbatio, że już cztery razy chodzę za dokumentami i wciąż słyszę jedno i to samo, że jeszcze nie nadeszły, a dzisiaj Sokołów nawet

się nie zjawił. Przychodzą różne niepokojące myśli, ale właściwie może chodzi o to, żeby odpocząć przed pracą. Taka noc jak na św. Jana od Krzyża wystarczy, żeby wyczerpać na całą dobę, a prawie to zdaje się wracać. Wszakże zaczyna się adwent: "Pora, abyśmy ze snu powstałi". Do właściwie wielu spokojnie śpi sobie. Byli /420/ w gorsowiecie i u pełnomocnika, ale z tego nic nie wyszło i opuszczają rękę. W radzie miejskiej podobno ich zbesztali. W Szort./andy/ znowu zadowoleni, że mają nabożeństwo bez trudu i kłopotu i może się gorszą, kiedy im powiedziałem, że tak dalej być nie może. "Kikt nie stawia światła pod korzec", a my się wciąż kryjemy. Jutrzejszy apel jest bardzo znamieny: "Podnoście głosy - bo się przybliży zbawienie".

Śnił mi się dzisiaj po południu Antoni Ch. Był okrwawiony, prawie konający, mówił jakieś dziwne słowa - których już teraz nie pamiętam. Wiem tylko, że mówiliśmy o mistyce, która jakoby graniczy z erotyką, a potem on powiedział coś bardzo tajemniczego o cierpieniach Boga.

/421/ 22.XII. Myślałem, że moja powieść z wygnania już się skończyła, tymczasem rozpoczyna się nowy rozdział: no Kryktach i Arsze-tyńsku - dom inwalidów. Nie byłoby to tak rozpaczliwe, gdyby nie zwlekali z tym do samych świąt. Nie wiem, czy to było zamierzone, ale tak wygląda, że to nieprzyjacielowi zależało na tym, żeby nam popsuć wspaniałe plany. A może to też potrzebne dla upokorzenia mojego samopoczucia. Bo tak pięknie się wszystko zapowiadało. Odżyły Szort/andy/ i T/incza/ już nie mówiąc o Akm/olińsku/, gdzie przebywałem prawie stale z przerwami miesiąc. Prawda - był jeszcze 11^y z piękną nocą św. Eucji. I to wszystko ma być tylko epizodem?

Teraz w 47^{ej} pałacie cicho, bo dwóch wczasowiczów już śpi, a reszta poszła do kina, które się niebawem zacznie. Nie mam ochoty na ten kulturalny przysmak, którym darzą moich nowych nieszczęsnych towarzyszy, ale byłem tam mając nadzieję spotkać jakąś pokrewną twarz. Jest wiele poczciwców, ale kto wie, co w ich duszy się mieści. Niemożliwe, żeby wszystkie były zam- /422/ knięte dla Boga. Ale jak je odnaleźć - te dla których może właśnie tu się znalazłem?

Kiedy Katia dziś rano przyszła do Heli z oznajmieniem, że mnie mają wywieźć - w pierwszej chwili zdawało mi się, że tracę równowagę.

To jeszcze tego trzeba było? Staruszka radziła jechać od razu do M-y. Nie! zdobyłem się na rezygnację - zresztą z jakąś jeszcze nadzieją, że przecież będzie inaczej. Powiedziano mi, że jest postanowienie obkispołkomu. Musieli mi dać przeczytać. Sokołowowi trzęsły się ręce, kiedy w miejsce 3^{ej} grupy - wpisał drugą. Wyszedł stąd taki brak konsekwencji: niezdolny do pracy inwalida 2^{ej} grupy złowiestno ukłoniajetsa ot truda - postanowiono wysłać do domu inwalidów, przy czym data 25 listopada, a więc wkrótce po moim uwolnieniu. W takim razie dlaczego trzymali mnie cały miesiąc w niepewności, wyczerpując nerwowo ciągłym wzywaniem.

Miałem satysfakcję, że przyznali /423/ pomyłkę w poprzedniej decyzji roboczej komisji. W takim razie cały sąd i wyrok był jedną omyłką, która w dodatku nadszarpnęła mi zdrowie. To wszystko można będzie zużytkować - ale teraz idą Święta! Jak je przeżyć, żeby naprawdę nie poddać się depresji. Tak mi trudno się modlić. Bre-wiarz zmówiłem po kryjomu, ale jak urządzić Mszę św. Trzeba wysłedzić moment, kiedy wszyscy wyjdą lub zaśpią, ale to będzie trudne. 23.III. Nie - to się nie udało. Załedwie wyszli na śniadanie, przyszła sprzątaczką, a potem oni wrócili. Ale jak dobry jesteś Jezu! Trzeba było, żeby ten staruszek otworzył drzwi właśnie kiedy przechodnikiem zatroskany szukając gospody jak Józef. Mnie się lepiej poszczęściło, bo Michała i Aleksandra przyjęli uprzejmie i obiecali zawiadomić Polaków. Wieczorem byliśmy jednak sami - jak trudno przełamać obojętność czy też bojaźń. Dla tych ludzi zjawienie się księdza musiało /424/ być czymś nieprawdopodobnym, a noże i niepożądanym. Mają względne wygody, rozrywki - kino, karty. Cóż im więcej potrzeba? Mnie dziś wieczorem ogarnęło silne przekonanie, że właściwie nic mi więcej nie potrzebne, kiedy mam Jego. Może właśnie dlatego tak się stało, żebym ten najuroczystszy czas spędził sam. Maryśce napisałem, że serce mi się krwawi. Może to trochę zbyt drastyczne. Byłem trochę podrażniony rozmową z dyrektorem i jego towarzyszką czy żoną. Ona powiedziała, że mnie w ogóle nie puszcza, a on obiecał, kiedy pociepleje. Znaczy to, że okres świąteczny stracony. Żeby przynajmniej było coś uczciwego do czytania. Nie mogę sobie darować, że nie wziąłem przynajmniej "Przed Bogiem", ale ten Kozak u Kati chodził za mną i niecierpliwił się. Nie chciałem

go pociągnąć za sobą do Emmy, a zresztą obiecywał, że mnie wkrótce puszcza, a dom inwalidów niedaleko. Nie bardzo to się sprawdziło, podobnie jak /425/ wtedy w sierpniu u Saszy. Jechaliśmy dobrą godzinę, drogą krętą i mało ujeżdżoną. Dyrektor mówił, że taksówka tędy nie pójdzie, a ich maszyną trzeba ryzykować postój w drodze, co grozi zamarznąciem. Nie ma więc podstaw do nadziei, żeby ktoś prędko przyjechał, choć posłałem telegram do Kati i Marii. Znowu zaczynam alarmować, ale te telegramy pewnie pójdą pocztą, więc nie ma się co łudzić.

Jest już wpół do jedenastej - moi nowi koledzy podnoszą głowy, że się jeszcze świeci, a ja myślę z żalem nad tym co dopiero czytałem: *Mane videbitis gloriam Domini*". Czyżby?

24.XII. Cicha, święta noc ... Katia mówiła, że jeszcze nigdy tak smutnych Świąt nie mieli. W jej słowach była niemal rozpacz. Bo oto najęli specjalną maszynę, szofer namarzył się czekając i odjechali z niczym. Radzili jechać bez pozwolenia, ale dyrektor groził, że zawiadomi milicję i był nieustępliwym. Widocznie dobrze mu nakazali pilnować mnie /426/ w swoim domu.

I oto zbliża się północ. Przed kilku godzinami wieczorem odprawiała się wigilijna Msza św. u Michała i Aleksandry, ale na noc nie można było tam zostawać. Prześpiewaliśmy "Stille Nacht" u Ady, która swoją chorobą i pobożnością przypomina mi Haneczkę, choć jest luteranką. Wczoraj rozmawialiśmy długo i serdecznie. Opowiadała, że jest sierotą. Niedawno odwiedził ją brat, a potem zaraz wkrótce i on umarł. Miała łzy w oczach, ale na smutny los nie narzekała - choć nie może chodzić i rękami słabo włada: *alles von Gott*. Dzisiaj zaprowadziłem do niej Katię, żeby się zapoznały. Teraz powiedziałem jej "Fröhliche Weihnachten" brzmiało to niepewnie i przyjęła z rzewnym uśmiechem. Teraz odmówiłem jutrznię i czekam północy, jak Józef, który szukał gospody. Gdzie będzie moja stajenka?

25.XII. Wśród nocnej ciszy ... nie rozszedł się żaden głos. Czasem /427/ tylko pojawił się jakiś cień i szedł dalej zdziwiony jakby ujrzał nocną zjawę. Jakiejś babce, która ciekawie zatrzymała się dłużej, powiedziałem żeby milczała, choć raczej trzeba było wołać jak anioł: ogłaszam wam wszelkie wesele - pójdźcie. Wam biedakom, kalekom, biednym. Z litości zebranych w jedno miejsce jak lupe śmiecia, wyrzuconym za burt życia, odpadkiem społeczeństw rodzi się

dzisiaj radość - pójdźcie. A jednak byłem sam. Za parę godzin, kiedy się rozwidni zgromadzi się tu wielu. Dla zabicia wlokącego się ociężałe czasu grać będą w karty, śmiać się napół przytomnie, może prowadzić jakieś frywolne flirty. Nikomu nie przyjdzie na myśl, że o północy był tu kościół, ołtarz, duchy niebieskie - Betlejem. Kto wie zresztą, czy ta niezwykła pasterka w otwartej auli przeszła niespostrzeżenie. Po Mszy św. zjawiła się większa grupa ciekawych - ale było już za późno. Świeczki były już pogaszone. /428/ Druga i trzecia Msza św. była u staruszków.

Teraz już na nic nie czekam. Pamięć i wyobraźnia śpią czy obumarły. Nie mam siły nic wspominać. Może się to jeszcze obudzi, ale teraz nic nie potrzeba. Ten trzykroć podsycany ogień powinien przecież wszystko wypalić. Przyszło mi to na myśl, kiedy się zastanawiałem, dlaczego dzisiaj trzy msze św. może odprawiać każdy kapłan choć nie ma wiernych. Dlatego dzisiaj serce przepełnione jak czara. A tamci, którzy płaczą śpiewając kolędy? Czyż nie czerpią z tej samej pełności? tak samo jak gdybym był na wygnaniu. Prawda, tam przyjechałaby przynajmniej Maria, czy kto jeszcze i podzieliłibyśmy się opłatkiem jak szczerym sercem, byłoby wiele listów i moglibyśmy po cichu kolędować. Ale czy tego wszystkiego nie można ofiarować Dzieciątku jak daru do kolebki?

27.XII. Co tobie do niego? Ty idź za mną. Te tajemnicze słowa tak dokładnie zapamiętane przez św. Jana /429/ mają teraz dla mnie specjalny sens. Znaczą one: idź tą drogą, którą ci P.Bóg wyznaczył, a nie oglądaj się na innych. Mówisz i piszesz wszyscy pracują na parafiach, czemu ja jeden mam być tu? To pytanie nie ma sensu i brzmi jak skarga. Wczoraj byliśmy z Katią i Barbarą u Ady. Dłuda męczennica ożywiła się, pokazywała nam obrazki. Na jednym z nich był Chrystus z Krzyżem, a przed Nim dusza dźwigająca z trudem swój własny. Napis głosił: tak daleko nie zajdziesz - idź za mną. Ada jest pogodna, niemal uśmiechnięta, mimo że cierpi nieznośne bóle głowy. Opowiadała, że kiedy dowiedziała się o moim przybyciu, chciała koniecznie się zobaczyć. Myślała, że pastor, ale to wszystko jedno. Cudowne było też spotkanie z Margaretą. To ta staruszka, którą w Żentekę prowadziłem z autobusu. Wypędzili ją z domu i od trzech miesięcy przebywa tutaj pełna goryczy. Teraz już jednak pogodziła się z lo-

sem , a nawet dziękuje Bogu, że tu przybyła. Wi- /430/ tała mnie jak ojca czy syna. Na Mszy św. razem z przybyłymi były więc już 3 dusze. Może będzie więcej. Jutro ma przyjść ten staruszek, który się nie spowiadał już pewnie 40 lat. Sam zagadnął mnie niewyraźnie mocno wzruszony. Jest też jeszcze ta niewidoma Łucja i jeszcze ta Polka z Celinogrodu, która mi zapowiada, że "w wolnym czasie porozmawiamy". Żeby tylko znaleźć odpowiednią izdebkę.

Barbara z Katią - moje "kuzynki" zainteresowały cały dom. Gdziekolwiek pokazaliśmy się, okrażała nas gromada ciekawych. Przywiozły mnóstwo łakoci, ale co najważniejsze - N.Testament i "Kaśladowanie". Teraz już nie boję się nudy.

Kiedy wychodziliśmy razem z domu biegła ze nami jakaś stróżka zatrwożona, że uciekam. Nie, nie ucieknę, skoro taka wola Boża, ale podania do Moskwy pójdą: do prokuratury i Sowwieta kultow w walce o sprawiedliwość.

/431/ 28.XII. C.Mateo mnie zawstydza. Trzeba naprawdę apostołować. Ten staruszek ledwie mówiący sam nie przyjdzie. Margareta też się nie zjawiała, dlatego dzień przeszedł niemrawo. Tyłce tylko, że napisałem list do Anny i Mik. Przyszło mi na myśl, że mógłby się starać wziąć mnie na utrzymanie jako wychowanek. Nie wiem, czy z tego co wyjdzie.

29.XII. Nie wiedziałem, w jakim celu brnę za wioskę śnieżystym polem, kiedy w dali ukazały się krzyże. To już trzeci po aryktyńskim i kurgaldżyńskim - nie licząc stepowych mogił w Kara Kuchu - cmentarz. Tutaj jest on nawet liczebnie dość zasobny. Spod śniegu sterczy nieśmiało las białych krzyżyków - to pewnie ostatni oddział domu inwalidów, który jest zasadniczo domem przedpogrzebowym. Jakby jakiś matecznik, gdzie przychodzą złożyć kości weterani życia. Tego charakteru nie odbiera mu trochę młodych kalek wstrzymanych w rozwoju, którzy się tu dostali przedwcześnie.

Dziś już drugi raz przychodził na /432/ pogawędkę ten Jan, któremu obcięto zgangrenowane palce. Ojciec jego był carskim żołdatem w Koczetawie, który był wtedy małą osadą. Staruszek przebywa tutaj razem z żoną. Jest wierzący i lubi rozmawiać o Bogu. Takich spotyka się tu wielu. Mój sąsiad z pałaty żegna się przy stole zamaszystym potrójnym krzyżem. Może to obecność "batuszki" tak ich ośmieliła.

Ale pożów dusz idzie opornie. Dziś próbowałem zagadnąć Lucję, która sama powiedziała mi, że jest "katholisch". Powiedziałem jej, że Jezus jej oczekuje - to nic, że już piętnaście lat nie spowiadała się - pomogę. Zaprowadziłem ją do Michała i za chwilę już jej nie było. "Czego on ode mnie chce - ja miałam muzyków - powiedziała do Aleksandry - ta zaś dodała swój komentarz: "to pustej człowiek". Żeby jeszcze mi nie zaszkodziła. Nie mam powołania na apostoła. Zresztą trudno z jednym i to kiepskim uchem rozmawiać choćby z tym Tomaszem, którego trzeba przygotować do spowiedzi z 40-tu lat. /433/ 30.XII. "A Bóg pokoju niech prędko zetrze szatana pod nogami waszymi". Te słowa tak ostre, że prawie nie Pawłowe, zostały we mnie jak kolący cierń. Powracam do nich, już nie wiem po raz który, i miałbym ochotę rozesłać je jako życzenia noworoczne.

O jakiego szatana chodzi w liście do Rzymian? Wyjaśnia to sam apostoł, kiedy przestrzega przed tymi, "którzy robią niezgody i zgorzenia na przekór tej nauce", "Panu naszemu Chrystusowi nie służą, ale brzuchowi swemu, a przez słodkie mowy i gładkie słowa zwodzą serca prostodusznych". Sapienti sat. Wicny jak te słowa przełożyć na język współczesny. Czyż to nie on właśnie, ten "nieprzyjaciel od początku", nie popsuł nam Świąt, pomieszał zbożne zamiary i wycisnął wiele łez? Myślę uparcie, jakby to było, gdybym wówczas zamiast iść do Sokołowa pojechał wprost do Moskwy lub do Tainczy. Miałem do tego pełne prawo, ale przecież łudziłem się, że jednak można będzie liczyć na jakiś pozór sprawiedliwości i dadzą swobodnych choć parę dni świątecznych. Tymczasem poza krętaństwem urzędowych słów ukazał /434/ się śmiech szatana.

Ale w takim razie co znaczy Ala, ta duszą gorąco kochająca Jezusa, na którego czeka z tęsknotą? Czy nie dla niej to moje przymusowe rekolekcje wśród kalek? Dzisiaj zwierzyła mi się, że jedynym jej pragnieniem jest jeszcze raz przyjąć "Abendmahl". Pierwszy raz było to jakoś dziwnie: pastor dał pozwolenie jakiemuś bratu i ten przywiózł im Komunię. Było jakieś czytanie - nie wiadomo czy spowiedź. Co można dla niej zrobić teraz, kiedy leży już latami przykuta do łoża, dręczona obawą, że może stracić świadomość. Jakże na miejscu byłby tu o.Mateo. Może i on miałby trudności, bo w pałacie znajdują się jeszcze trzy chore, z którymi trzeba się liczyć.

Serce Naj^{św.}dopomóż! Otuchy dodaje mi też fakt, że pomiędzy obrazkami chorej znajduje się też Niep.Serce Marii. To już wiele znaczy.

1.I. Właśnie pisałem skargę do obłispołkomu, kiedy przyszedł "dziad Króz" z życzeniami. Nie wiem, czy mnie tylko ta komedia wydaje się /435/ tutaj nie na miejscu. Widocznie tych nieszczęśliwych starców i kalek usiłują traktować po dziecinnemu, ale to się słabo udaje. Udekorowany w mikołajską szatę staruszek powiedział parę zdawkowych słów; na co równie niemądrze bąknąłem podziękowanie i orszak ruszył dalej. Potem przechodzili jeszcze obok izby, gdzie był Kazimierz z Marią - i P.Jezus. Boże mój! Gdyby oni wiedzieli, że tu jest Ten, który jedynie może dać szczęście w N.Roku! Ale nie. Nie było nawet świąteczka, a Jezus był ukryty i niewidoczny. Jak się to stało, że N.Rok rozpoczęliśmy razem?

Wczoraj przed drugą turą obiadu wyszedłem na okrężną przechadzkę wokół domu. Z dala nadjechała maszyna. Kiedy stanęła wyszło dwoje ludzi. Nie wierzę oczom: Kazimierz i Maria. Od razu mój długo wypracowywany spokój prysnął jak bańka. Gdyby maszyna zaraz nie odjechała, może bym uciekł z nimi spowrotem, nie oglądając się na nikogo. Ale /436/ maszyny już nie było, natomiast zjawilo się parę ciekawych komsomolców. Ich zawsze nadniesie. W gościnnej rozwiązał się tłumok wiadomości. Przede wszystkim listy. A więc napisał sam Prow., ale nie jakbym chciał stanowczo - delikatnie i nieśmiało. Jednakże w konkluzji: Wola Boża, abym wracał. O moim obecnym życiu jeszcze nic nie wie, ani on, ani Maryśka. W Kurg/aldzino/ zdjęli z uczotu. Można by się przypisać, gdybym siedział na miejscu. Znowu popełniłem pomyłkę jak wiele przedtem. Często z tych pomyłek wychodzi jakiś pożytek - czy i teraz tak będzie? Oby tylko nie było, jak z proboszczem Sidziny, który szukał chwały Bożej, a znalazł własną. Żegnaliśmy się może rzewniej jak zwykle. Kazimierz wspomniał o śmierci, że ma we krwi raka. Któż to wie? rozrzewnił mnie bardzo, bo się kochamy jak bracia. Stałem jeszcze, patrząc z daleka, aż skryli się w lesie. Teraz pewnie zmęczeni podróżą odpocz- /437/ wają, jak Maria niosąca Jezusa do Elżbiety. Ja zaś myślę o tym nowym znajomym, który sam mnie zagadnął i oświadczył, że strzeże polskości i wiary. Utinam! Na noworoczny koncert nie poszedłem, dość już mam tego "Nokturnu", który szarpie nerwy i kołysze zmysły. A jeszcze na końcu to "rozkrzyżowanie"!

2.I. "Ty macie tutaj wielu przyjaciół". To było powiedziane zbyt poważnie, żeby mogło być wzięte za zdawkowy frazes. A przeto ta kierowniczką stołówki wcale mnie przedtem nie znała. Trochę niepotrzebnie rozwodziłem przed nią swoje żale, ale ujęła mnie swoją uprzejmością. W ogóle wszyscy są dla mnie dobrzy. Może czują, że kocham ich jak braci, tym więcej im kto nieszczęśliwszy. Kogóżby nie wzruszył choćby ten biedak, który wiecznie klęczy na swych kikutach i wciąż coś mówi, jakby się modlił, albo ten staruszek leżący nieruchomo ilekroć zaglądam przez oszklone drzwi. A ileż nędzy kryje się w połatach, gdzie leżą nie podnoszący się z łóżek kaleki! /438/ Gdyby ich wszystkich można było ofiarować Jezusowi, a ich cierpienia uświęcić krzyżem.

Tymczasem w Tainczy rozwijają bezbożną propagandę. W samym okresie świątecznym było zebranie, gdzie się popisywali szatańską robotą. O rejestracji kaplicy nie ma mowy. I oto trzeba ich zostawić samych w ogniu walki. Słowa Hieronima są łagodne ale niedwuznaczne: wola Boża. A teraz zbliża się Pierwszy Piątek i Objawienie. Ostatni piątek z nowenny w Arykty. Czy można prosić Króla o jakiś cud, żeby na ten dzień się wydostać? Jezu Ty wszystko możesz!

3.I. Teraz z zapakem czytam Listy - te pisane przed wiekami. I zdaje mi się, że wiele zdań możnaby prawie bez zmiany przepisać w mojej korespondencji z Tainczą, Szortandy czy z którąkolwiek z parafii na Ukrainie. Taki choćby List do Filipian odpowiada oczywiście w miniaturze - mojej sytuacji. A więc najpierw dziękczynienie i prośba: Dziękuję Bogu przy każdym wspomnianiu was - za współudział /439/ wasz w ewangelii Chrystusowej od pierwszego dnia aż dotąd, ufając iż ten, który rozpoczął w was dobre dzieło, dokona go aż do dnia Chrystusa Jezusa. Jakże słuszną jest rzeczą, żebym takie uczucia żywił względem was wszystkich, dlatego, iż was mam w sercu, a w moich więzach i w obronie i w umocnieniu ewangelii wy wszyscy towarzyskami jesteście łaski mojej /wesela/. Albowiem świadkiem mi jest Bóg, jak tęsknię za wami ... I o to proszę, aby miłość wasza więcej a więcej obfitowała. A dalej: "Chcę bracia, żebyście wiedzieli, iż to co się ze mną dzieje, obróciło się raczej ku postępowi ewangelii, tak iż okowy moje w Chrystusie stały się znane wśród całej straży i u wszystkich innych i więcej u braci w Panu ufając okowom moim, nabrało większej miłości". Tu mogę dodać tylko: oby tak było.

Ale oto zdanie, które nie daje mi spokoju: "nie wiem co bym miał obrać. Ściśniony jestem bowiem z obu stron: pragnę być rozwiązany i być z Chrystusem, co jest o wiele lepiej - ale pozostać ... potrzebne dla was". Dla św.Pawła znaczy to: /440/ śmierć czy życie dla mnie, powrót czy trwanie, ale jedno z drugim prawie się pokrywa. Jakże chcieliby pewnie ci moi biedacy, żeby im powtórzyć i dalsze słowa: "zostanę i przetrwam dla was wszystkich, dla waszego postępu i wesela z wiary, aby chluba wasza obfitowała w Chrystusie Jezusie z powodu mnie, przez moje ponowne przybycie do was".

Św.Paweł pisał to z Rzymu do Filipian w M.azji. Gdyby te słowa napisać choćby do Olewska, miałyby pełny sens tak i dalsze wspomnienia: "Tylko się sprawujcie w sposób godny ewangelii Chrystusowej, abym czy to przybędę i ujrzę was, czy będąc nieobecny, usłyszę o was, że stoicie w jednym duchu, jednomyślnie współpracując około wiary ewangelii, i że w niczym nie dajecie się zastraszyć przeciwnikom gdyż wam dane jest dla Chrystusa, nie tylko, abyście w nim wierzyli, ale żebyście też dla niego cierpieli". Następujące notem nauki o miłości, pokorze i bojaźni Bożej na ogólne zastosowanie. Ale otó na zakończenie słowa znowu aktualne: /441/ "Ucieszyłem się wielce w Panu, że znowu przecież zakwitło w was staranie o mnie ...". Nie jakoby wskutek niedostatku to mówię: ja bowiem nauczyłem się poprzestawać na tym co mam. Umiem i biedować, umiem i obfitować /wszędzie i we wszystko jestem w tajemniczony/ i nasycony być i zaknać, i obfitować, i niedostatek cierpieć. Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia. Jednakże dobrzeście uczynili przychodząc z pomocą uciskowi mojemu". Apostoł skarży się dalej delikatnie, że tylko oni w Filippach o nim pamiętali: "żaden kościół nie dzielił się ze mną na rachunek: "dano i otrzymano" jeno wy sami".

Ja tego powtórzyć nie mogę, bo poczta w Kara Kacka czy w Tainczy energicznie by przecież o tem zaprotestowała /7 paczek przedświątecznych!/. Ale o to nie chodzi ani Jemu ani mnie: "nie, żebym szukał datku, ale szukam owocu, któryby się pomnażał na dobro wasze. Mam zaś wszystko i obfituję, jestem napełniony otrzymawszy, od - oczywiście Marii i Kazimierza - /442/ coście posłali" "wonność, wdzięczność, ofiarę przyjemną, Bogu miłą" trochę prozaiczniej to wyglądałoby: koguciki, miód, góra ciastek. Toteż "Bóg niechaj wypełni wszelkie pragnienia wasze według bogactw swoich w chwale w Chrystusie Jezusie". Czy kiedy taki list napiszę? Nie wiem, ale dla mnie

samego jest tu wiele do przemyślenia.

4.I. "Inimici crucis Christi". Czyżby do takich trzeba zaliczyć Alę, to biedne stworzenie, która kocha naprawdę Jezusa i żywiłowo pragnie Komunii św. A jednak kiedy próbowałem z nią zrobić znak Krzyża św., zmieniała się widocznie na twarzy i powiedziała, że tego zrobić nie może, bo przysięgła umierającej matce, że wiary nie zmieni. Kiedy usiłowałem wytłumaczyć, że taka przysięga nie obowiązuje, bo to nie jest zdrada wiary, tylko powrót do dawnej, że my z protestantyzmu nic nie odrzucamy, tylko dodajemy nowe prawdy - może wskutek wewnętrznej walki - pprzyszedł gwał- /443/ towny atak - i musiałem ustąpić. A tak się pięknie zapowiadało zwycięstwo Króla nad tą biedną. Wszystkie dogmaty: prymat, tradycja, cześć Marii, Eucharystia zdawały się być jasne i łatwe do przyjęcia. Tylko ten krzyż? Ostatecznie nie byłoby to może najważniejsze, gdyby odrzucenie tej praktyki nie było negacją wszystkiego. Dałbym wiele za poradę, jak nie stracić tej duszy, bo jestem bezsilny. Dziś we Mszy św. polecałem Ją Jezusowi: "Ty tylko to możesz".

Dyrektora w kantorze nie było - a jutro już czwartek. Trudno mi zdobyć się na spokój. Przychodzi chęć iść pieszo, ale to ryzykowne. W głowie czuję szum - może to po kąpieli. Tomasz już robi rachunek sum. Niechże przynajmniej to będzie.

5.I. Okna znowu zamurowane na cal. W pałacie chłodnawo. Mnie od nocy boli głowa - może to grypa? Tak się wszystko składa, że z planów nie będzie nic. Dyrektor znowu będzie się bał, /444/ żeby nie zamarzkł w drodze. Ale Tomasz już wypowiedany, Margareta też. Co za radość nas czeka! ich i mnie!

..... - -

Ta radość była nawet trochę większa, bo przyjechała Emma. Byliśmy więc we trójkę jak Trzej Królowie. Boże mój, jak mały i nędzny czuję się wobec ogromu Twojej dobroci. Jak trudno zdobyć się na prawdziwy poryw serca. Przecież to wszystko jest cudowne: i ta izdebka zamieniona w kościół i tych dwoje starców, którzy ledwie mogli się przywlec - oczekujących Zbawienia jak Symeon i Anna.

Teraz już właściwie mało mnie obchodzi, jaki będzie skutek mojej rozmowy z dyrektorem. Zatelefonował do Sokołowa i kazał czekać na decyzję. Jeżeli otrzymali już moją skargę - musiała chyba dojść - będą musieli dobrze się zastanowić, co nadal przedsięwziąć

chyba, że zignorują - a wtedy będziemy dalej się borykać.

Po południu w drzemce widziałem się z Marysią. Była to serdeczna pieśczoła. Czuł to jest w mojej podświadomości, jak też i Iraków z braćmi ubiegłej nocy. Ale Prowincjałem /445/ był Czesław, a gwardianem Marian, jak ich zostawiłem. Trudno mi wyobrazić sobie nowe porządki.

Emma przywiozła list od Tekli Iwanówny czarujący Leningradem. Moja sąsiadka przy stole jest też z Leningradu, raczej z dawnego Petersburga. Gdyby nie mój kiepski słuch, moglibyśmy prowadzić serdeczniejsze rozmowy. Opowiadała wiele o swojej rodzinie, a nawet zademonstrowała szereg uławnych fotografii z dzieciństwa. W ogóle miła staruszka, jak wszyscy jej rodacy. Dzisiaj nawet przyniosła mi pastylki od bólu głowy. Tekla jest również uosobieniem dobroci. Bardzo religijna - ma przy tym wielkie zmartwienie, bo syn żyje z Żydówką, a córka wciąż choruje na serce. Ona też mocno zapada. W Anglonie odwiedzałem ją beznadziejnie chorą, a potem w domu na też nie lepiej się czuła, ale zawsze była niezwykle gościnna. Teraz też zaprasza. Pewnie że pojedę, jeśli tylko będzie można. Cieszę się, że i poczciwa Apolonia mnie sobie przypominała. W najcięższych chwilach /446/ była dla mnie jak matka i nawet - choć z trudem - odwiedzała mnie w szpitalu. Może też miała nieprzyjemności. Szkoda tylko, że o Lizie nic nie wiem. Wygląda na to, że nie ma z nimi kontaktu.

Wspomnienia snują się, a czas upływa. Króć znowu zapowiada się silny. Jak Emma odjeżdża?

6.I. Surge illuminare ... Nagle gdzieś na dole zabłysło światło. Poprzez szyby migotały gwiazdy. Bezwiednie szukałem tej jedynej. Nie, nie mogę spać. Wszak to dzisiaj ten dzień ... Gwiazdka złota promienista, gdzie prowadzisz, gdzie? To Frania wyciąga starczym sopranem. Wyszkie jakby kościane palce biegają nerwowo po klawiaturze. Siwe włosy a la garconne spadają na szyję. Do stajenki Jezusa Chrysta, chcesz powiodę cię? Pewnie, że chcę i to całą duszą, lecz gdzie ta stajenka.

Józef jeszcze spał, Margareta też - aleśmy ich rozbudzili: ja jego, Emma ją: powstań, oświeć się. /447/ Inaczej nie bylibyśmy we trójkę, jak Trzej Królowie. A przecież trzeba było im powiedzieć: my tak samo przychodzimy złożyć hołd Dziecięciu. Zamiast stajni

czy ubogiej chaty jest równie nędzna pałata, a Jezus ukryty tam i tu: o mój Jezu, jakżeś mały, ubożuchny tak, płaczesz z zimna - Nie, w małej izdebce aż nazbyt gorąco - ale Ty przecież żądasz innego ciepła. A ci staruszkowie poszli na śniadanie, jakby ich mało obchodziło, co się u nich dzieje. A za ścianą Ala, która boi się Twojego znaku - symbolu wiary i miłości. A my, co Ci oddamy? Czemu serca nie płoną tylko się jarzą jak ta skąpa świeczka na nędznym ołtarzyku? Złoto, kadzidło - nic, chyba najwięcej, to już tej gorzkiej mirry cierpienia. Margareta naprawdę z trudem się wlecze na swoich szcudłach. Tomasz płacze ze wzruszenia i też się ledwie rusza. Jeszcze akt poświęcenia i odejdą już do siebie - ale chyba już inną drogą - /448/ Emma też poszła, bo podobno zjawiła się jakaś "Wołga". Oby ją P.Dóg szczęśliwie odprowadził. Mnie trzeba czekać na to "reszenie". Przychodzi na myśl Herod knujący spisek. Co oni teraz uradzą?

Byłem naiwny kładąc się, że będą szukać pozoru sprawiedliwości. Im wystarczy, że mnie mają pod kluczem. Sokołow przeczy własnym słowem. Od początku do końca oszukuje. Napiszę mu to, kiedy trochę ochłonę. Po teraz dławii mnie złość, że jeszcze się na nich nie poznałem. Nie ma żadnych względów, jeżeli chodzi o zgnębienie wiary. Trzeba być równie jak oni "chytrym jak węź". Ale teraz muszę czekać na jakąś odpowiedź z Moskwy - może też i listy coś przyniosą. Właściwie dziś już kończy się okres świąteczny. Jeszcze tylko oktawa, a potem tylko dwa tygodnie i Septuagesima. Nadzwyczaj krótki karnawał. Oczywiście kolędy trwają do Gromnicznej, ale co mnie to obchodzi? Czy kiedy wejdę jeszcze w normalny tryb życia wierzących. Św.Paweł w więzieniu rzymskim układał /449/ plany, a tymczasem przyszła śmierć. Ta zawsze może się zdarzyć, choć teraz inne czasy. Ale czy już teraz nie jestem napół umarły w tym "Martwym" domu.

Kto to jest ten Karol z Seti? Nie mogę się o tym dowiedzieć, choć już pisałem do Albina. Może myślą, że mnie takie rzeczy nie interesują, ale tu wszystko jest ciekawe, co wiąże z Rodziną. 7.I. Miałem już napisany okrutnie złośliwy list do Sokołowa, kiedy mi przyszło na myśl, że lepiej "zażyć go z mańki". Nigdy tego nie praktykowałem i nawet nie wiem, skąd pochodzi to powiedzonko, ale

dzisiaj wraz z tą myślą wstąpił we mnie jakiś dziwny spokój. Po co się żlić i odwoływać do sprawiedliwości, jeśli ta na nic się nie przyda? I oto Sokołow się dowie - że jest mi tu bardzo dobrze, mam wielu przyjaciół, świetne warunki życia, w ogóle jak w raju, dlatego rozpływam się w dziękczynieniach, że mnie tu wprowadził. Cóż kiedy wzywają do Polski. Rad nie rad muszę /450/ się starać o dokumenty ...

Jeżeli nie wyczuje drwiny, to może to co podziela, a trudno liczyć na subtelność uczuć tego kanciastego człowieka.

Mam też zamiar napisać do Gromyki, ale to już większe dzieło i trzeba się dobrze zastanowić. Tymczasem ogarnia mnie złość, że się dałem złapać jak nysz w pułapkę.

9.I. Mało mam jeszcze Sokołowa w życiu - trzeba go jeszcze oglądać w kinie. Bo wczoraj w tym "Cienkom łodzi" od początku do końca widzieliśmy tylko jego i temu podobnych. Aż mi się niedobrze robiło i ledwie dosiedziałem do końca, bo wciąż mi przychodziły rozmowy, jakie miałem w Równem, Samborze i Celinogradzie. Obłudne słowa i obłeśne uśmiechy. Ciekawym jak wyglądałby film, gdyby przedstawili polowanie na wielkiego przestępcę, obieżyświata, zakończone tryumfalnie na ulicze w Akmolińsku. A potem sąd, więzienie, zsyłka, wreszcie ostatnia rozmowa i jazda do inwalidów. Myślę, że to byłoby może nawet więcej intere- /451/ sujące niż detektywistyczne sztuki w pogoni za bandytą.

Może pod wpływem tych refleksji dręczy mnie myśl o ucieczce. Wiem, że jest to nierealne, ale zamiar siedzi we mnie jak kolący ości. Byłoby tylko jakoś wydostać paszport, bo potem mogą robić trudności z wyjazdem. Ale nic mi nie przeszkadza snuć fantastyczne plany.

Tymczasem zrobiłem ciekawe odkrycie, że mój sąsiad w pałacie nosi na szyi krzyżyk. Znaczy to, że nas wierzących jest tu większość. O dwóch pozostałych nic pod tym względem nie wiem, ale zdaje mi się, że i na ogólną liczbę mieszkańców domu większość jest wierząca. Może temu należy przypisać, że mam wielu przyjaciół. Nie mogę im ofiarować swojej duchowej pomocy, ale może nadarzy się sposobność nawiązać ściślejszy kontakt. W każdym razie poproszę, żeby mi przywieźli jakieś ruskie książki liturgiczne.

Ale oto teraz właśnie idzie "Czarne koło". Może to nie jest tak groźne jak nazwa, ale zawsze coś diabel- /452/ skiego. Na korytarzach i w pałatach cisza. Wszyscy poszli. Można spokojnie odśpiewać egzekwie na jutrzejszy dzień: "Przebacz mi Panie, bo dni moje są niczym".

Sąsiad z krzyżykiem wrócił i już śpi. Widocznie "Czarne koło" go nie pociągnęło, ale innych jeszcze nie ma. Jest cisza odpowied- nie do rozmyślenia. Z o.Bern. przenoszę się do Nazaretu. Jezus 30 lat pogrążony "w głębokim milczeniu". Ale to milczenie pełne treści, wnioski i święte. Milczy też w Tabernakulum.

"Dziękuję Ci, że w tabernakulum uwieczniłeś swoje pokorne, ofiarne i pełne skruchy milczenie Nazaretu".

9.I. Do galerii tutejszych typów przybywa jeszcze jeden: półnagi człowiek-szkielet, wlecze się korytarzem, co chwila przyklękając na jedno kolano, jakby w jakiejś pokutnej pielgrzymce. Nie wiem, co to ma znaczyć, ale takich tajemnic ludzkiej nędzy kryje się pewnie po pałatach wiele. Czasem tylko wywlecze się na zewnątrz jakiś koszmarny stwór na połamanych nogach lub bez nich, lub Harzelica z andersenowej bajki. Ale to nie bajka, /453/ lecz okropna rzeczywistość to bytowanie jakby bez sensu tych milionów połamanych ciał, bo przecież nasz dom to jakaś milionowa częśćka całości. I trzeba silnej wiary, żeby sobie powiedzieć, że to przeogromne cierpienie nie jest bez znaczenia. Inaczej i krzyż Chrystusa nie miałby sensu, bo wszakże on wszystkie cierpienia skupia w sobie jak w ognisku. Ale jakże to im powiedzieć, tym moim serdecznym braciom, z którymi coraz silniej wiążą mnie losy. Na każdym kroku wspominam tu Elżbietę. Jej pomoc jest mi gwałtownie potrzebna, choćby dla tej Aleksandry, której obiecuję ulgę w bólu głowy. Ale teraz mam już słabą nadzieję nawiązać z nią kontakt - chyba tylko przez Teklę Iwanownę.

Ja sam czuję się też niewyraźnie. W nocy i potem po południu pojawia się ból głowy i szum w uszach. Może to jakaś zatruta atmosfera pałaty nigdy nie wietrzonej tak działa, a może po prostu grypa? Jutro mabyć poczta. Czy ona /454/ wreszcie mi co przyniesie? Napisałem do T. o dokumenty. Nie można liczyć na pozwolenie, trzeba coś przedsięwziąć.

10.I. Wstydzę się tego ale czuję, że coraz bardziej pograżam się w atmosferze marazmu. Po prostu myśli nie ma o co zaczepić. Próbowalem czytać gazetę w lektorium, ale były tylko przed kilkumiesięczne numery komsomolskiej "Smieny". Tajemnicza biblioteka wiecznie zamknięta. Ranna przechadzka tylko mnie rozgoryczyła, bo widziałem całą czeredę przeważnie Kozaków cisnących się maszyną do miasta. Im wolno! a ty siedź jak skazaniec i czekaj zmiłowania. Poczta też nic nie przyniosła. Może dlatego byłem do reszty załamany, kiedy wchodziłem do Lidy. Dzisiaj rozmawialiśmy dłużej o jej chorobie, która zaczęła się w 58 r., a w marcu zeszłego roku pojawiły się kataleptyczne ataki. Te daty przypominają mi dziwne moje przeżycia. W 58 r. początek katastrofy, a w marcu /455/ więzienie. Tak jesteśmy jakby związani jakimś tajemniczym fatalizmem. Lida twierdzi, że jej przypadki nasilają się przy nowiu księżyca. Jest więc jakby ewangeliczny lunatyzm. Tym bardziej chciałbym jej pomóc. Napiszę jeszcze do Lizy, może się wreszcie odezwie, albo znowu do Tekli Iw., którą obarczyłem już wielu sprawunkami. Czuję, że chyba tylko w tej samarytańskiej służbie mógłbym znaleźć jakieś ukojenie, ale jakże jestem niedołączy! Patrząc na wlokące się na szczydkach kalectwo, wstydzę się, że chodzę prosto. Czasem zdobywam się na uprzejmy uśmiech lub datek, ale co to wszystko znaczy? kiedy nie mogę im dać prawdziwej pociechy. Dziś moi starszycy właśnie w czasie podniesienia prowadzili jakąś rozmowę - a potem wyszli - a przecież to też chrześcijanie i to wierzący. Może jeśli nasze lekarstwa pomogą co Aleksandrze, to będzie można pomówić także o tych sprawach. To znowu /456/ ten Michał, czy jak się tam pisze - obiecuje przyjść na rozmowę, ale nic z tego nie wychodzi, a tyle czasu i łaski Bożej idzie na marne.

Boże mój! Ten Michał z Równego odkrywa cudowne perspektywy. Żeby to tylko nie był złudny miraż.

11.I. Ten widok powtarza się tu pewnie nierzadko. Biała trumna na saniach. Melancholijnego konia prowadzi jakiś inwalida. Drugi zgarbiony niesie z tyłu na ramionach dwie łopaty. Ot i pogrzeb. Dziś do orszaku przyłączył się kapłan. To nic, że zmarła była prawosławna. Tu nie ma różnicy. Również nie dziwne, że proboszcz pomodliwszy się po cichu, pomagał zasypywać grób. Tutaj to nikogo nie dziwi - nawet tego młodego inwalidę, który stał obojętnie z boku i patrzył. Kiedy oni odjechali, wypisałem na krzyżu datę. Może to tak się zaczyna moja funkcja duszpasterska. Michał obiecał pomóc.

Dzisiaj ma mnie zaprowadzić do chorego, który pragnie spowiedzi, ale najpierw sam musi się przygotować. Nie mogę wyjść ze /457/ zdumienia, że to Równie przychodzi do mnie. Bo podobno Zawchoz jest też Polką z Równego. To mi tłumaczy coraz dokładniej tajemnicze słowa usłyszane w stołówe, że mam wielu przyjaciół.

Szkoda tylko, że ten Michał wygląda trochę na pomyłonego, a przy tym za wiele pije. Chciał się znowu niby spowiadać, ale nic z tego nie wyszło. Zapoznał mnie z drugim Polakiem, którym - okazuje się - jest noworoczny Dziad Mróz. Co do religii, przedstawia się mętnie.

Najciekawsze może curiosum dnia, to moja rozmowa z vice-dyrektorem, która powinna mieć następstwa. Śmiał się z moich dokumentów. Nareszcie przyszedł pierwszy list - oczywiście od Zofii. Mieli pasterkę i Święta. Władz. dobrze ich pilnuje. Ja nie mogę się pochwalić, żebym mu się odwzajemniał.

12.I. Przede mną pojawiła się zagadka. Obawiam się, że jest to swego rodzaju "misterium iniquitatis". Wczorajsze odwiedziny nie-trzeźwych przyjaciół mogły same w sobie zadziwić serdecznością. Wieczór zauważyłem brak /458/ futerału na okulary. Była to drobnostka, mógł się gdzieś zarzucić. Ale wraz z nim przepadł notes z pieniędzmi i intencjami. To okazało się dopiero dziś rano i wyprowadziło mnie z równowagi. Bolesny jest nie tyle fakt straty, ile dręczące podejrzenia, z którymi muszę walczyć jak z rojem os. Radzono mi donieść o tym dyrektorowi, bo właśnie przyjechała milicja, ale co oni mają do tego? Dobrze, że znam choć w przybliżeniu liczbę intencji.

A wszystko leżało rozrzucone na drodze. Czy to też nie cudowne, że przez całą dobę nikt tamtędy nie przechodził. Idąc na cmentarz walczyłem z myślą, że ktoś wyciągnął - ale jak? Trzeba by być nie lada specjalistą, żeby tego dokonać tak zgrabnie. A wtedy runęłaby cała moja ufność gruntowana na dobrej woli biednych współtowarzyszy. Dzięki Ci Boże, że oddalasz ode mnie czarne myśli o pocałunku Judasza.

/459/ 13.I. Moja zguba wyszła na użytek, bo wielu ze mną chwali Boga. Spotykam się z wyrazami szczerzej sympatii. Jeszcze wczoraj zaraz rano przybiegła całkiem nie znana mi sanitarka i radziła

zgłosić nieszczęście do dyrektora, zanim milicja odjedzie. A dzisiaj ten sąsiad Białorusin, którego posądzałem o wolnomyślność z szczerym zachwytem zawołał: Sława Bogu. Coraz więcej przywiązuję się do tych ludzi, do których zbliżyła mnie Opatrzność.

Tymczasem idą poważne starania o moje zwolnienie. Maria z Franją przyjechały, żeby mnie stąd zabrać. Nie myślałem, że Pietrówka tak się tym interesuje. Franja "jest" moją kuzynką po matce. Chcą mnie wziąć wraz z mężem na swoje utrzymanie. Nie wiem co się z tego uda, bo właśnie poszły do dyrektora. Ale niech będzie co chce. Po raz już nie wiem który odczytuję "modlitwę" Lermontowa:

"I wierzysia i płaczetsia

I tak lechko, lechko ".

Lecz im pewnie wcale nie lekko idzie, kiedy cały dzień nie wracają. /460/ Przypuszczam, że pojechały do miasta, bo cóżby innego z nimi się stało, ale kiedy i czemu jeszcze ich nie ma i z czym wreszcie przyjadą?

Aż mi wstyd, że moje sprawy tyle ludzi kosztują czasu i trudu. Tylko że to właściwie nie moje sprawy. To co Jezus powiedział w świątyni ma i dla nas znaczenie: "potrzeba mi zajmować się sprawami Ojca mego".

Zaczyna się ożywić korespondencja. Dzisiaj przyszedł list z Aktiubińska. Więc Jezus ich nie opuszcza. Wspominam tamtejsze nocne wędrówki. Ciekawy incydent przy chorym, kiedy wzięto mnie za bibosza i inne ciekawe przygody w Rudnikowce. Serdeczni ludzie i rzewne wspomnienia. Czy jeszcze będzie nam dane to odnowić?

Tymczasem zawarliśny bliższą znajomość z Maksymem Iwanowiczem, tym który przy stole żegna się wielkim krzyżem. Czytałem mu listy od wnuków, bo sam pisanego nie czyta. Mieszkają w Szortandy. Wszystko się kręci w niewielkim kółku, ale staruszek spędził 30 lat w Chinach. Nie byle co!

/461/ 14.I. "Wy nie odjeżdżacie od nas?" W jej głosie była jakby prośba, choć z tym biednym stworzeniem prawie nigdy nie rozmawiałem. Na korytarzu jakaś zagadnęła: kiedy u nas Jordan - to znowu inna: kiedy Pascha. Nie mogłem im dokładnie odpowiedzieć, ale obiecałem. Widocznie rozchodzą się już plotki o moim odjeździe. Aleksandra mówi z żalem, że będzie płakać. Może dlatego właśnie nic jeszcze nie wychodzi. Przyjechały wreszcie dziś i to we trójkę, bo przyłączyła się jeszcze Emilia - lecz wyzwolenia nie przywiozły.

To nie tak łatwo. Miałem zamiar po prostu uciekać, ale jeszcze mam trochę zdrowego rozsądku. To mogłoby wszystko popsuć. Tymczasem to moje niezdecydowanie pozbawiło mnie brewiarza, bo przez pomyłkę zabrakły. Pojechały z nimi też rozmyślenia i o. Mateo, myślę jednak, że nie na długo, bo Maria ma szybko przywieźć dokumenty. Jestem zły, że nie zatrzymałem tych trzech dusz na jutro. Smutno wesele w Kanie wspominać w poje- /462/ dynkę. A gdyby tak ranc: per pedes apostolorum? "Ukaż mi Panie drogi swoje".

15.I. Przez nasze okno widać dobrze kałamazkę pocztową, która właśnie zajechała przed ganek. Kulawy pocztylion granoli się z tułubów i za chwilę będzie roznosił listy po pałatach. Miałem zamiar wyjść na przechadzkę, ale jeszcze poczekam. Może i o mnie Merkuriusz pamiętał. Czekam na wiadomość od Maryski, z Żytomierza i od Mikołaja. Ciekawym kto najlepiej się spisze. Tymczasem myślę o swoich listach do ministerstwa ubezpieczenia w Akma-Ata i może do Gromyki. Wiem, że to wszystko skutku nie odniesie ale: "scripta manent".

Nie, nic nie było. Bezwiednie powtarzam ze Lermontowem:

"I tęskno i smutno i nie ma komu podać ręki".

Ale ostatnie słowa nie mają sensu. Nie, życie nie jest "głupią farsą czy żartem". Także jego pojęcie o miłości nie zgadza się z naszą mistyką:

"Kochać na krótko - wszak nie warto,

A. wiecznie kochać nie ma kogo".

/463/ Właśnie chodzi o tę wieczną miłość, za którą poeta bezwiednie tęskni. Zadziwiająca jest rzeczą, że w każdym prawie jego wierszu powtarza się słowo Bóg i to rzadko kiedy mniej poważnie w drwinach lub gniewie. W wierszu na zgon Puszkina grozi "bożym sądem", a w Borodino znalazła się "Boża wola", która oddała Moskwę Francuzom. Potem idzie pełna lirycznego piękna zaduma nad gałązką z Palestyny: "W przejrzystym mroku lampy blask, Wysoko symbol święty, krzyż rozparty, Cisza i pokój pełen łask w Tobie i ponad Tobą święty". Nawet w lirycznych zachwytach nad przyrodą choć "szczęście i na ziemi znaleźć może, to jednak "w niebiosach widzi Boga". Rzewna jest też ta znana kołysanka, w której matka daje na drogę i bó.i obrazek święty.

16.I. Otrzymałem nominację na biskupa i byłem bardzo zakłopotany, bo trzeba było powiedzieć jakąś mowę po łacinie. Chętnie byłbym tę godność odstąpił Antoniemu, ale już zdecydowano i konsekracji miał nam udzielić ks. Wysokiński, który też w międzyczasie został biskupem - zdaje /464/ się w Łucku. Może to on właśnie się przypomniał, że to dziś Marcelgo - jego imieniny. Świeć Panie jego duszy. Wraz z nim przypomina się Dubno, Krzemieniec i Winnica - zwłaszcza ta ostatnia, miejsce jego spoczynku i nasz kapucyński klasztor. Wchodziłem tam ze wzruszeniem jak pielgrzym do Mekki. W klasztorze od dawna mieszkają obcy, ale kościół z przylegającym korvtarzem był oddany do użytku wiernych. W oratorium z oknem wychodzącym na wielki ołtarz było coś w rodzaju kuchni czy mieszkanie gospodyni, a proboszcz zajmował wąski pokój, gdzie pewnie mieścił się dawniej jakiś skład.

Ks. Marcelli, niski, dobrej tuszy /nosił na sobie cały szereg futerałów/ odznaczał się długą, bujną brodą i włosami spadającymi na szyję. Była to pozostałość wschodniego obrządku, którym się jeszcze posługiwał w Dubnie dla przesiedlonych Słowaków. Był świątym kapłanem, profesorem wschodniego Seminarium, dawniejszy jezuita, opuścił zakon nie wiem z jakiego powodu. Zapoznaliśmy się w Równem w pierwszych latach mojego tam pobytu. P. Wróblewska /465/ zabrała go zaraz do Dubna i cieszyli się nim tam pewnie ze dwa lata. Trochę pustawy kościół wypełniał się więcej, kiedy nadjechali Słowacy. C. Markało poczuł się w swoim żywiole. Nawet powrócił częściowo do wschodniej liturgii, ale nie trwało to długo. Trochę wskutek szykan ze strony miejscowych władz, trochę dobrowolnie przeniósł się do Winnicy na wyczerpującą pracę. Widziałem go na parę miesięcy przed śmiercią. Był schorowany, ale pełen zapału. Śmierć zastała go na posterunku. Zaraz potem zamknięto kościół.

Równocześnie śniła mi się dziś Januśka - nie wiem z jakiego powodu - bardzo zapłakana. Może to jakieś reminiscencje z Lermontowa, który mnie całego nastraja lirycznie jak harfę.

17.I. Gdyby to było na jawie, spaliłbym się ze wstydu za tę nocną celebrę. Najpierw zabrakło wina, potem kielich okazał się nieodpowiedni, ostatecznie wyszło zamieszanie, a miała być jakaś adoracja, kazanie. Przy mnie asystował niecierpliwie o. Marian - świeć Panie jego duszy!

/466/ Jawa była inna, ale też nieprzyjemna. Przez okno zaglądał ciekawie ten kulawy inwalida, który chodzi z czerwoną opaską na rękawie i pilnuje porządku. Widocznie zainteresowały go świece, bo i drugą jakąś towarzyszkę zatrzymał. Staruszek boi się, że mogą zabrać rzeczy.

19.I. Oni wiedzą, że nas dręczą bezprawnie. Lecz dla takich jak my nie ma prawa. Oszukują, kręcą, kłamią jawnie, to nie z ludźmi lecz z szatanem jest sprawa.

A Ty może wciąż czekasz cierpliwie. Twoje młyny "tak powolny takt miałą. O wejrzyj na lud Twój żałośliwy. Kiedyż przyjdzie Twój sąd sprawiedliwy, a dla wiernych czas wieczny wesela?"

Pisząc ostatnie słowa, kiedy wezwano mnie do dyrektora. Przysłał odpowiedź obkispółkomu na moje podanie. Oczywiście powtórzono wszystkie oskarżenia z tą różnicą, że moje bezrobocie rozciągnęli do 11^u lat.

20.I. A potem był sąd - właśnie sąd - nad szoferem, który zranił człowieka. Był prokurator, sędzia, adwokat same kobiety tak jakby kulturalnych mężczyzn nie było na Łazachstanie. /467/ Może to i prawda, kiedy odpowiedzialne miejsca zajmują takie Sokolowy.

Napisałem mu jak najgrzeczniej, a on nie reaguje ani słowem, zadowolony, że się może wykręcić.

Czekam bez końca, czekam i listu od Keryski i przybycia kogoś z dokumentami: codzień wychodzę na drogę - i patrzę czy nie jedzie. Opętały mnie rymy. Nie jest to poezja, ale właśnie rymy czy asonanse. Chodzą za mną natrętnie i brzęczą jak osy, w dzień zawracają głowę, w nocy spać nie dają. Może to jakiś tajny duchowy niedosyt i marzenia dzieciństwa późno powracają. A przy tym są tu wspaniałe typy. Choćby ten wciąż klęczący biedak, jak jakiś barokowy święty. Przy staraniu możnaby stworzyć coś w rodzaju albumiku z domu inwalidów.

Tymczasem jednak przychodzą paczki i listy za które trzeba podziękować i odpisać. Posyłki przyszły z Akt/iubińska/ i z Korca. Jest to całłe utrapienie, bo nie mam gdzie podziąć i co z tym zrobić.

Z K. przyszły ciekawe ale i smutne /468/ nowiny. K.J. jest chorv. Pewnie dlatego nic nie pisze i nie ma nadziei oczekiwać stamtąd pomocy. A o mnie rozeszła się plotka /telegram!/, że jadę

do Leningradu.

Przyszła mi straszna myśl i to właśnie w czasie Mszy Sw.: a gdyby ten dom inwalidów miał stać się dla mnie grobem? Bo wszystko jest możliwe. Piszę o szatańskich siłach, ale nie zajmę sobie sprawy, że to jest rzeczywistość. Mogą kręcić, przeciągać, wreszcie odmówić. A gdyby - uchowaj Boże! zabrakło Maryski byłoby to zatrzaśnięcie trumny. Czy wtedy równie spokojnie jak teraz, mógłbym powtarzać: bądź woła Twoja? A jeśli to ascetyczne cierpienie już mnie wyczerpuje - to czem byłaby sama rzeczywistość. Nie chciałem nawet tego pisać, ale byłoby to strusie chowanie głowy. Czy mi jutrzejszy dzień pomoże rozwikłać ten węzełek, który się coraz bardziej zaciska. Czemu Maryska nie pisze? Może list nie doszedł, ponieważ był zbyt otwarty?

21.I. Jeśli napiszę do ambasady - może się uspokoję - ale tak trudno znaleźć radę i wciąż się czegoś boję. Boję się darmo, /469/ bo wreszcie wierzę, że wszystko w Boskiej mocy, lecz gdy na drodze kamień leży, próbuję czy przeskoczę. Ot dzisiaj chciałem jechać w gorod - /bo tak się tutaj rzeczce/ ale lekarze będą skoro - więc wszystko się odwleczę. Ale że dzisiaj świętej Jajny - tak przenikłej dziewczeczki - i uciesić ją gorąco pragnę, mam chętkę do ucieczki. Kiedy już wreszcie ktoś przyjedzie, przywiezie te papiery - a to w więzieniu siedzi - tygoźnie równo cztery.

22.I. Wiedziałem, że mnie wysłuchasz, bo nie wysłuchać nie możesz. Gdy znękanego ducha wnoszę do Ciebie Boże. Wieczorem już się kończyła - Chrystusa święta obiata - gdy nagle się zjawiała Wiktorja z Małgorzatą. Agnieszka też święte dziewczę - do nas się uśmiechnęła i w serce znów raz jeszcze - pogoda Boża spłynęła.

23.I. W pałacie okna do połowy zasypał śnieg, na polach na nowo grubą płachtą legł. Poczta pewnie nie pójdzie może parę dobrych dni. Jakże mi smutno, Boże - jakże ciężko mi. Wieczorem przyjdzie biedna Maria Antonowna. Potrzebne choćby jedno pocieszenia słowo. A gdzie je znaleźć, kiedy znowu w mej duszy tak ciemno, /470/ przepaść jakaś trwożna we mnie i nade mną. Jak też one biedne dotarły do miasta, w lesie same jedne, kiedy burza wzrosła znalazły się one pieszo w okropną, suchą zawięję. Kiedy to przypomnę, serce mi drętwieje. Lecz Ty byłeś z nimi jak ongiś na morzu z wielce trwożliwymi

rybakami w Łodzi. Więc chociaż zawieja sypało śnieg w oczy, nie tracą nadziei - boś Ty z nimi kroczył.

Napisałem list do Nikołaja i Bronisława, ale P. Bóg wie, kiedy odprewię.

24.I. Na wiosce już spokojnie, lecz w polu jeszcze wieje - żeby kto mógł przyjechać trudno mieć nadzieję.

Lecz znów wyszedłem, na drodze pies mnie witał szczekaniem, ktoś mu utracił nogę - mam dość tego czekania. Ten pies jeszcze niedawno nie dał mi drogą przechodzić, ale dałem mu ciastko i całkiem się rozpozgodził. Żeby też tantych można jako te psy ugłaskać i z wrogów przyjacielem zrobić z pomocą ciastka!

Dziś nic mi się nie składa - głowa ołowiem cięży - choć ręka piórem włada - myśl z myślą się wiąże. Jak ptaszek w klatce ginie i rzuca się w udręce.

Wieczorem będzie kino - "Kogo lubimy więcej".

/471/ Ps.12

Jak długo Panie, dokąd jeszcze będę u Ciebie w zapomnieniu.

Czemu oblicze Twe złowieszcze przede mną

Ukrywasz w grośnym mroku cienia.

W duszy mej boleść tkwi codzien i noc,

A serce smutku znieść nie może.

Nade mną wróg podnosi głowę.

O wejrzyj na mnie, Panie Boże.

Niechaj wróg nie mówi: zwyciężyłem,

rozjaśnij moje łzawe oczy,

W Tobie nadzieję mą zkożyłem,

Choćby mrok śmierci, mnie otoczył.

Niech się serce moje raduje

Pomocą Twą nieustanną,

Za niezliczone dary dziękuje

I śpiewa Panu wieczne Hosanna.

25.I. Dziwne, jak własne słowa mogą człowieka podniecić. Zastępca dyrektora zapytał mnie w dobrym humorze o zdrowie. Odpowiedziałem: może zwariuję i od razu prysnął spokój nad którym tak mozolnie pracuję. Chciałem pisać coś w rodzaju elegii na śmierć tej zakonnicy w Paryżu, która życie oddała jako ofiara miłości - nawet już się składały pierwsze stychy:

Bóg to jest wartość - czy wierzysz
/472/ więzienne drzwi otwarły się szerzej ...
a teraz pusto i nawet czytać się nie chce, bo kiedy mu rzuciłem ze
złością: co robić? On odpowiedział: czytać książki. Teraz to wszyst-
ko mi obrzydło. Prawda, została ewangelia.

27.I. Wczoraj jakby róg obfitości się otworzył. Najpierw poczyt-
lion przyniósł aż 5 listów z różnych stron. Potem spotkałem na dro-
dze maszynę z Marią i Katią. Nareszcie - Maria przywiozła metryki
i list od Maryśki, ale pisany jeszcze z Wrocławia, kiedy jeszcze
nie wiedziała, że jestem u inwalidów. Listy są wzruszające. Bielak
mój "krewny" chce mnie zabrać. Z Olewska wybierają się do Kołpaku.
Z.O. każe liczyć cierpienia tak jak Paweł. Słowem powstaje wrzenie,
które spowodowały moje skargi. Wstyd mnie ogarnia na myśl, o tym,
że tyle kłopotów narobiłem swoją nędzną osobą.

Wieczorem byliśmy u Kati i dzisiaj rano. To już naprawdę coś
znaczy. Chatka skraju - jakby /473/ powiedział Wilk Hilary. Tylko
myśl o Marysce mnie niepokoi: Czemu nie pisze, mimo że od Niny list
już przyszedł, a wysłałem do nich równocześnie, może nawet do mar.
w sam dzień wigilijny. Zagadką jest, że moje listy do Niny przedtem
przepadły.

A przy tym ta starosc. Rejonowa jest nieznośna - robi z niej
zgrzybiałą staruszkę. Zresztą kto wie, co może zmartwienie. A ona
dopiero po moim zwolnieniu przyznała się, że wiele przeszła. Może
pociesz ją i mnie. Ale Twoja wola!

28.I. Dziś o. Bernardyn mówi jakby wprost do mnie. Właściwie Duch
św. przez niego. "Jeśli ziarno nie obumrze", ile razy już to sły-
szałem, ale teraz te słowa mają specjalne znaczenie. Wczoraj w tej
"chątce skraju" zdawało mi się, że umrę. Pot wystąpił na czoło i
siły opuściły. Ale nie chodzi o to. Obumieram codzień, tylko trzeba
się łączyć z Chrystusem. Jak on pięknie mówi o tej kropliczce wody,
która w kielichu przeistacza się w Krew Chrystusową.

/474/ Nie wolno uważać się za człowieka niepożytecznego, który się
już do niczego nie nadaje. A ja właśnie to rozpisuję na cały świat
i rozbijam się w bezsilnej męce jak ptak w klatce. A może to właś-
nie ta ofiara potrzebna była, a nie moja niedołączona służba. Ileż
to pomyłek i błędów trzeba odpokutować i naprawić, a przy tym jak

słodką pociecha: "Gdy aniołowie zaniosą kiedyś wasze dusze przed Pana, Pan objawi wam moc i nagrodę waszych trudów; wiele dusz, które zbawiły się waszym przykładem, modlitwami i łzami. I powie wam: Najmilsi synowie, inni głosili kazania i trudzili się mowami mądrości, ale owoc zbawienia sprawiłem ja przez wasze zasługi. I dlatego w nagrodę za swe trudy i jako owoc swych zasług otrzymacie królestwo wieczne, któreście porwali gwałtem swej pokory i prostoty, modlitw i łez" /Sw.Fran./

/475/ 29.I. Kazimierz zatęsknił i przyjechał. Kotia nie przyjęła - ich na noc. Ich chata to nie kościół: powiedziały nam to dziś dzieci, bo ona nie przyszła wcale. Pracuje dziś cały dzień, bo druga zachorowała. Boi się męża - trzeba powrócić do staruszków. Kazimierza odprowadziłem do lasu - nawet trochę dalej niż przedtem i oglądaliśmy się więcej razy, aż rozłączył nas pagórek.

Przyszedł list od Zofii - pogrzebowy. Umarł "młody starzec" - Ledyński. Przedtem nigdy nie chorował. Dopiero od dwóch lat przestał pracować i zaniemógł - a teraz śmierć przyszła prawie nagłym paraliżem. To ten, który mnie woził swoimi końmi do Zdobunowa, a potem płakał nad kościołem, kiedy go zabrali. Uszczupła się krąg moich przyjaciół.

Niepokój o Mar. nadal mi dokucza.

30.I. Słońce świeci jaśniej

Śnieg leży jak tafle srebrzysta -
oby tak było właśnie - na święto
Matki Przczystej.

Któż to powiedzieć może - czy ziszczą się nasze plany -

jeśli Ty nie chcesz Boże

/476/ Napróżno je układamy

Ale daje możemy już

święto przeżyć w marzeniu.

W rękę gromnicę bierzemy,

śpiewamy w upojeniu;

Światło na oświecenie pogan

i ludu Twego chwałę,

Uprosi nam Matka droga.

Niechaj już życie całe,

Jak ów starzec Symeon

co zgonu spokojnie czekał,
idziemy za tym światłem,
które oświeca człowieka,
co na ten świat przynadzi
w ciemności błędach grzesnu,
ale do życia się rodzi.

Nie, nic mi się nie składa. Może tak samo się nie złoży we
środe. P. Bóg to wie. W każdym razie zrobiłem dziś dobry trening.
Oblewane trzy godziny brodzikiem w śniegu po lasach i haszczach
pewnie dobrych ze sześć kilometrów. Dzięki temu z nosa zrobiła się
fontanna - a co potem będzie - nie wiem.

31.I. A jednak K. przyszła wczoraj po pożyczkę. Znaczy, że nie
wszystko stracone. Ale w ogóle otacza mnie /477/ mglisty tuman jak
u Tagorego: ciemnością okrążony - zguba ze wszech stron - uspokój
duszę co się miota. Jak ciemno. Nic nie widzę - zmiłuj się, pomóż
Boże. /Dziwne, że u tego Hindusa odzywa się jakby psalm pokutny/.

Skierowania do laryngologa nie dają - a naismutniejsze, że
nie ma listu od Marysi. Już nie wiem co myśleć. Jeżeli nie dostała
mojego adresu, to byłoby dziwne, ale jeszcze znośne. A jeśli?
"O mój Boże, wstań i broń, zlituj się nade mną".

Długo li mnie po ziemi się wlec? Nie ciało pogrzeba się w nieprzeby-
tym bagnie, brodzę w ciemnej mgle.

2.II. Wczoraj była mietelica, ale Emma z Teresą przyjechały. I oto
poświęciliśmy gromnice, może tak jak nikt dotąd. W kącie leżała na
swoym łóżku połamana kaleka, a przy drzwiach klęczały one dwie ze
świecami. Przez oszklone drzwi zagłędnęła posługaczka i już wszyst-
kim wiadomo. Oczywiście - "dom inwalidów to nie dom modlitwy" -
jakby jedno drugie wykluczało. Może będą nieprzyjemności, ale wszyst-
ko mi jedno. Teresa poszła naprzód jak młoda. Może powtarza po swo-
jemu "nunc dimittis".

/478/ Z moją "miłą staruszką" mam kłopot. Obraziła się czegoś i
nawet nie przyszła na obiad. Coś jak zawiedziona sympatia. To zno-
wu Bielak chce mnie zabrać do siebie - oby mu się udało.

Do Mar. pójdzie telegram - oby prędzej była odpowiedź.

3.II. Ale ten telegram poszedł niepotrzebnie. Pomiędzy gazetami
od Czajk. znalazł się list od Marysi i z Kajowa. Gdybym popatrzył
prędzej, obeszkoby się bez alarmu. Od razu spadł mi kamień z duszy.

Teraz nogę czekać cierpliwie. A cierpliwości trzeba wiele, bo ostra zima nie wiadomo jak długo będzie trzymać, a więc i na jakies odwie-
żiny nie prędko można liczyć. "Ucieczka" wciąż ryzykowna, bo w
nocy sprawdzają obecność, zresztą i jakaś grypa do mnie się dotiera.

Dziś pierwszy piątek - drugi już z rzędu w samotności. Ale w
tamtym - Trzech króli była Emma i dwoje miejscowych - a dziś sam
jeden odprawiałem po raz pierwszy w pałacie, kiedy trzech poszło
na śniadanie, a jeden spał. /479/ Jak tu w takich warunkach można
się skupić, ale i za to dzięki Bogu.

Napisalem znowu do obłasci i posłałem list do Wieloka - bez
wielkiej nadziei. Poszły też listy do Maryški i do Lijowa - a może
będą leżały w skrzynce, bo na taki mróz pocztylion nie jedzie.

Ale dzisiaj był i przywiózł mi Kraków i Lwów i jeszcze Matej-
kę. Ta książka mnie pochłania tym bardziej, że Bodnicki był moim
kolegą. Albin nie dostał mojej "jeremiady". To mi tłumaczy dłużej
milczenie Maryški. Może i do niej nie dopuścili. Byłby to ciekawy
przyczynek do walki z bezprawiem.

Teresa S. chce mnie wziąć jak Jan. Nie wiem, czy komu z nich
się uda. W każdym razie wzruszająca jest ta wszechstronna byczli-
wość.

Umarł Sigmund na raka. Majaczy mi w pamięci jako kleryk.
..... Romuald chorw. W klasztorze grypa. Albin wie, że mnie
rodzina interesuje. ks. Koziański też opuścił swoją placówkę: Der-
dyczów, Michałówkę H.Z. Bielak tym gorliwiej się stara. Ale jakie
plany Boże? Dyrektor dziś /480/ uprzejmie mnie pozdrowił, ale nie
było miejsca na rozmowę.

4.II. Krótki w tym roku karnawał - carne vale - dla mnie właści-
wie nie było go wcale, ale tak jakos spokojnie dzień za dniem scho-
dzi, choć dusza w mroku jak w gęstej mgle brodzi. Najważniejszy
ten jasny słoneczny poranek. Słońce gdzie ono? Okna jak oczy zapła-
kane. W pazacie sprawa i z lewa śpią nakrywszy głowę. "Nijde o
orterza" - brznią psalmy Dawidowe. Boże jak smutno. Maksym siedzi
w czapie - nawet przy podniesieniu - tamci jeden drugi chrapie.
Panie nie jestem godzien - Kaleków dom się budzi - błyskają świat-
ła w oknach - zew dla biednych ludzi i tutaj przyszedł do inwali-
dów domu /choć oni nie nie wiedzą/. Idźcie - Msza już skończona -
mówię - a nie wiem komu.

5.II. Słońce dziś trochę grzeje - lecz okna wciąż zamglone - Maria Michajłowna przysłała mi ikonę. Nie wiem jednak, co znaczy to poświęcenie na zawsze?

6.II. Katia przysłała z Niobową wieścią, że mi chcą zabrać rzeczy. Nareszcie! Czekam żeby się coś zaczęło, ale nic /481/ im nie dam - od Gromnicznej we czwartek zaczęła się bieda.

7.II. Cokolwiek na mnie zeslesz, wszystko to z rąk Twoich przyjmę. Dzisiaj to była wyrocznia.

Maryśka nerwowo chora - a co jeszcze za tym się kryje. Boże! Oby prędzej tam się znaleźć.

13.II. Teraz mogę pisać tylko telegraficznym skrótem. Parę dni przemknęło szybko jak taśma filmu. Środa popielcowa. Niebo smutne jak popiół. Wracam złamany. Trzeba jeszcze jedną noc przeżyć napół senną. Ale jeszcze jakiś błysk nadziei. Może. I oto maszyna staje przed samym domem dyrektora - nic to - jedziemy. Naprzeciw taksówka. To może Maria z Katią. Istotnie przyjechaliśmy prawie razem. W czasie Mszy św. pomyślałem o tym, jak P.J. zawstydzą mnie swoją miłością. Boże, co za radość w tym smutnym dniu. Popiół sypie się na schylone głowy. "Nie bądźcie smutni jak obłudnicy". Następują jeden za drugim - cuda. A więc - sprawa z Kurg. przyjdzie się do rejestracji. Mam już dwa dni /482/ zajęte leczeniem - ambulatorium - protezno. Piątek - Szortandy - jeszcze raz - może ostatni - 11 rocznica Władzi. Tymczasem wyzyw od Maryśki. Już się coś wreszcie zaczyna. Lamy informacje z milicji. Przyjeżdża Maria z Moskwy. Kurojedow okazał się Piłatem. Wydał mnie w ich ręce - ale w poselstwie ożakali.

Wczoraj pierwsze niedziela postu - ale było nas mało i to sami prawie przyjezdni z Sz. Oczywiście przypomnieliśmy sobie, że i nas szatan prześladuje jak Chrystusa. Dziś/reno byłem w obszebzie, ale na próżno - tego pana który się zajmuje moimi sprawami nie było. Po południu zamiast jego spotkałem - dyrektora. Znowu jak Piłat w Credo. Obiecał dać sprawki, ale trzeba tam jechać - a tak chciałbym już tam nie wracać.

9.III.